STR. 8,9 literackie jubileusze
STR. 5 co w teatrach?
STR. 6 STRESS CHOROBA XX w.

ODGŁOSY

ROK XIX NR 51 (993) 19 GRUDNIA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ZA TYDZIEŃ ŚWIĄTECZNY NUMER „ODGŁOSÓW"

Za tydzień, **w czwartek 23 grudnia 1976 roku,** ale z datą 26 grudnia 1976 roku, ukaże się w kioskach **„RUCH"** świąteczny numer **„Odgłosów".** W numerze Czytelnicy znajdą wiele interesujących artykułów, reportaży i felietonów:

— Jacka Indelaka **„JEDEN GRUDNIOWY DZIEŃ"**

— Krzysztofa Pogorzelca **KTO SIĘ BOI MATA HARI?"**

— Adama Czerskiego **„ATAK NASTĄPIŁ O ŚWICIE"**

— Lucjusza Włodkowskiego **„KONIEC IMPERIUM KRUPPA?"**

— Jerzego Wilmańskiego **„ANTYKWARIAT PRZY PIOTRKOWSKIEJ"**

— kolejny obszerny odcinek opowieści Andrzeja Makowieckiego o piłce nożnej **„KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY"**

— prozę jugosłowiańskiego pisarza Aleksandra Tisma pt. **„ŚLADEM CZARNOWŁOSEJ DZIEWCZYNY"**

— w świątecznym numerze o obyczajach piszą: Wiesław Jażdżyński **„STARE GRZECHY W NOWEJ SZACIE"** i Ryszard Binkowski **„ROZBÓJNICE"**

— w ostatnim grudniowym numerze „Odgłosów" Czytelnicy znajdą też **„ŁATKI ADRESATKI"** Mieczysława M. Szargana i satyryczne opowiadanie Mirosława Kuźniaka **„POLOWANIE"**

— o powieściach kryminalnych i sensacyjnych pisze Bogda Madej w artykule pt. **„ZABILI GO I UCIEKŁ".**

— poza tym świąteczny numer „Odgłosów" przynosi cotygodniową porcję felietonów i recenzji.

UWAGA! NASTĘPNY numer „Odgłosów" z datą 2 stycznia 1977 roku ukaże się już 30 grudnia 1976 roku. W numerze tym opublikujemy sylwetki kandydatów do tradycyjnego plebiscytu **„ŁODZIANIE — 1976".**

RWPG

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY POTRZEBNY NAM JEST EKSPORT?

CZYTAJ STRONA 3

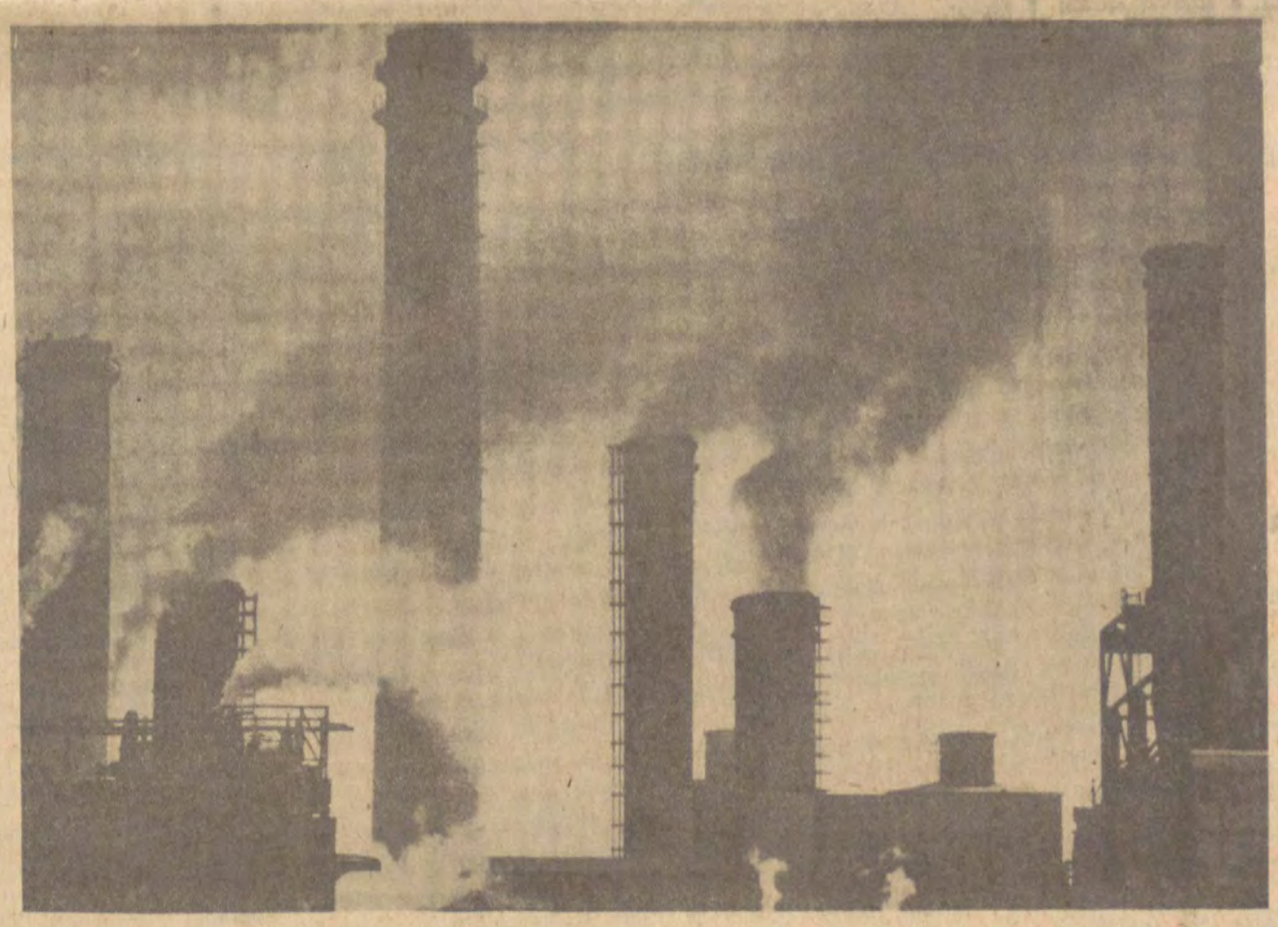

ARCHITEKTURA

PRAWO WIELKIEJ LICZBY

Z mgr inż. arch. BOLESŁAWEM KARDASZEWSKIM — posłem na Sejm, głównym projektantem „Miastoprojektu" w Łodzi — rozmawia KONRAD FREJDLICH

— Czym właściwie jest architektura dzisiaj? Czy jest to dziedzina sztuki, czy sposób architektona, że użyję tu słowa, przez które starożytni Grecy rozumieli głównego budowniczego?

— Ani jedno ani drugie. Architektura dzisiaj, to produkt działania procesu inwestycyjnego opartego o nierówne partnerstwo wykonawcy, inwestora, projektanta. Kolejność podana w tym „triumwiracie" nie jest przypadkowa. Nie jest to także dziedzina sztuki, nawet materialnego tworzenia, nie jest to również sposób działania „głównego budowniczego". Architektura współczesna oparta o nową skalę zaspokajania skutecznie potrzeb spo-

Dalszy ciąg na str. 10

PIŁKA NOŻNA (4)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

TRENING

Cygaro trenował nas dopiero od czterech miesięcy i jak każdy nowy coach próbował oczarować Zarząd Klubu własnym programem szkolenia. Jego poprzednik, Józef Skrzydło, ograniczał się z reguły w dni pomeczowe do lekkich sparringów i luźnej zabawy z piłką, a w kość dawał nam dopiero we wtorki. Cygaro odwrócił kolejność i w poniedziałek na bocznym boisku ganiał nas do siódmych potów.

Tym, co nam miało podkręcić kondycję, była skakanka. Nic, tylko skakanka. Skoki do przodu, skoki do tyłu, skoki w bok, skoki ze skrzyżowaniem nóg, skoki z ugięciem kolan, bieg od bramki do bramki, i znowu skakanka uderzająca z piaskiem w pozbawione trawy klepisko.

— Gaz, panowie! Gaz!

Był to chyba najgłupszy i najgorszy coach, jakiego znałem. Uprzednio trenował markową drużynę belgijską i robił to tak skutecznie, że zleciała do drugiej ligi. Chudy, łysy, o wytrzeszczonych oczach i żółtych od nikotyny palcach, przypominał zawodowego kaprala.

— Gaz! Gaz!

Zauważyłem, że unika mnie wzrokiem. Ćwiczyłem pilnie, żeby się dodatkowo nie narazić. Zresztą — nie mogłem narazić się gorzej. I tak mnie nie lubił, a po tym, co mu powiedziałem, musiał mnie znienawidzieć. Prawdopodobnie poskarżył się Patronowi i dlatego zostałem wezwany. Nieważne, że jestem dobry... Mogą mnie zniszczyć — zawiesić albo wystawić na listę transferową. Znowu przejdę do innego klubu; będę musiał zagrzewać miejsce, przyzwyczajać się do nowych kolegów, nowego boiska i nowych systemów treningowych. Transfer nie musi być korzystny dla zawodnika. Zechcą — spuszczą cię do drugiej ligi, wezmą za ciebie milion, dwa sam dostaniesz kilkadziesiąt tysięcy; nie zgodzisz się — będziesz gnił miesiącami na ławce; zwiejesz — otrzymasz karencję. Są oczywiście faceci, którzy przeniesieni wbrew woli zaczynają sabotować grę — opieprzać się, lenić, chorować, ale lepiej nie bierz z nich przykładu. Zmniejszą ci gażę, skreślą premie, trafisz na aut, fama pójdzie, że jesteś skończony i w tym momencie choćbyś stawał na głowie, naprawdę będziesz skończony. Już tak to sprytnie wymyślili, że gdzie byś nie był, musisz grać na pełnych obrotach. Sam czujesz, kiedy jest źle — dwa słabsze mecze, kiepska prasa, gwizdy publiczności i jeśli znowu i to szybko, nie błyśniesz, nie strzelisz jakiejś efektowniej bramki, możesz rozejrzeć się za sznurkiem.

Dalszy ciąg na str. 12

POLEMIKI

REFLEKTOR NA LALKI

Z niemałym zdziwieniem przeczytałam w „Odgłosach" z 28 listopada 1976 r. artykuł Zbigniewa S. Nowaka pt. „Reflektor na lalki". Reflektor skierowany jest na pewno właściwie, tylko że światło niepełne. W artykule czytamy:

„Obejrzałem nie tak dawno kilka „lalkowych" spektakli — jakich, gdzie i kiedy, nie powiem, bo po prostu wstyd. Repertuar, że tylko zapłakać, ordynarna scenografia, nader mierna „gra", ot, zwykła „odwalanka", aby zaliczyć jeszcze jeden raz, staropanieńska minoderia, mocno naciągana „dydaktyka" — to całe „bogactwo kulturalne" oferowane zwykle najmłodszym i to też niezbyt hojnie".

Szkoda, że autor artykułu nie pokusił się o konkretną egzemplifikację, że precyzuje swoje zarzuty w sposób ogólny. Szkoda także, że miał wyjątkowego pecha w wyborze oglądanego repertuaru. Śledzę osiągnięcia teatrów lalkowych dosyć wnikliwie (uczestnicząc w przeglądach poznańskich — Biennale sztuki dla dziecka, w festiwalach bielskich i opolskich, gdzie bogato reprezentowane są zespoły zagraniczne), daje mi to możliwość dokonywania pewnych spostrzeżeń na dość szerokim materiale. Ponieważ ton artykułu prowokuje do dokonania takiej oceny, pozwolę sobie przytoczyć rzeczową wypowiedź wybitnego znawcy przedmiotu doc. Henryka Jurkowskiego („Teatr" nr 22, 31.X.1976 rok).

„...Brak więc w naszych teatrach współczesnego, żywego spojrzenia na świat otaczający dziecko. Nowa twórczość nie jest w tym względzie inspirująca (...). Stan ten ma źródła w izolacji środowisk twórczych. Literaci piszą dla wydawnictw, reżyserzy ograniczają się do istniejących zasobów repertuarowych. Brak kontaktów, które by pobudzały do nowych działań. Wydaje się, że zatrzymaliśmy się w miejscu. Taki stan równowagi między ambicjami twórców, a dostępnymi im środkami działań twórczych jest zjawiskiem normalnym po okresie dużego wysiłku twórczego. Gwałtowny rozwój teatru lalek w ostatnich trzydziestu latach trzeba teraz zrównoważyć okresem ciszy..."

Ciszę tę łamią jednak konsekwentnie: **Jan Dorman** (patrz „Vademecum teatromana" T. Kudlińskiego str. 300—302. Dorman obok Kantora!), **Leokadia Serafinowicz** i **Wojciech Wieczorkiewicz, Zygmunt Smandzik, Zofia Jaremowa, Natalia Gołębska** i **Stanisław Ochmański**. Wymienieni przeze mnie ludzie robią przedstawienia kunsztowne, jednorodne stylistycznie, wysmakowane. Dlatego żałuję, że Zbigniew S. Nowak tak źle wybrał. Mało, dokonał na niepełnym materiale tak daleko idących uogólnień. Artykuł „Reflektor na lalki" jest w moim odczuciu świadomie atakujący i to dobrze, to znaczy byłoby dobrze, gdyby jego autor wykazał się znajomością tematu i wreszcie (może moje wymagania są zbyt wygórowane), fachową terminologią, tą podstawową. Po dokonaniu oceny tzw. „środowiska lalkarskiego", Zbigniew S. Nowak przechodzi na własne, łódzkie podwórko.

„...Na dobrą sprawę jednak obaj (St. Ochmański i J. Michalak — przyp. J.S.) zaczynają (bo „Arlekin" zamierza wystąpić z nowymi propozycjami), a początki zawsze są trudne, tym bardziej, gdy chce się odstąpić od nie najlepszych, choć dość powszechnie przyjętych i praktykowanych schematów działania, o których była już mowa..."

I dalej:

„Tu należy się pewna uwaga. Zarówno „Arlekin", jak i „Pinokio" to nie jakieś tam „teatrzyki", nigdy bowiem takimi nie były, a o ich wieloletniej znakomitej pracy, zasługach i sukcesach nie tylko krajowych długo mówić czy pisać."

Ten brak zdecydowania w ocenie przeszłości artystycznej obu teatrów, zmusza mnie do pewnych wyjaśnień. Ograniczę się jedynie do działalności teatru **„ARLEKIN"** (lepsza znajomość tematu). Nie boję się stwierdzenia, że teatr ten był ewenementem na skalę ogólnopolską. Nie jest to opinia gołosłowna. Znajduje ona potwierdzenie w licznych publikacjach (patrz archiwum teatru). Tu powstają głośne przedstawienia m.in. „Kolorowe piosenki", które przez długie lata były wzorem przedstawienia dla najmłodszych. „Sambo i lew", „Nal i Damayanti", „Lekarz mimo woli", „Młynek do kawy", „Balladyna" i „Lilla Weneda". „Arlekin" to teatr szerokich poszukiwań formalnych. Teatr nierozłącznie związany z nazwiskiem **Henryka Ryla.** Ten niespokojny twórca, zafascynowany przedstawieniami L. Schillera (początki sięgają obozu jenieckiego w Murnau), stworzył w wyzwolonej Polsce specyficzny rodzaj widowiska lalkowego, szokującego formą, która była wspierana dużą ilością komparsów. Z teatrem współpracowali m.in. **T. Paciorkiewicz, R. Iżykowski, T. Kiesewetter, K. Penderecki, H. Poulain, St. Fijałkowski, A. Kilian, W. Kondek** i inni. Staranny dobór realizatorów, gwarantował wysoki poziom przedstawień. To prawda, że w latach 1960—70, kiedy nastąpił pewien zwrot w rozwoju teatru lalkowego, kiedy do głosu doszły nowe wartości, kiedy plastyka w teatrze lalkowym zaczęła operować symbolem, a fabularność dramaturgii nie była wyłącznością — **„ARLEKIN"** jak gdyby stracił swoją mocną pozycję. Jednak w dalszym ciągu był to teatr, nie „teatrzyk". Powrót do Łodzi **St. Ochmańskiego** zwiastował zatem zmianę stylistyki a nie walkę ze złymi schematami. Dyrekcję i kierownictwo artystyczne objął artysta z dużym doświadczeniem i sporymi zasługami. Twórca o nowym widzeniu teatru i odmiennej wrażliwości. Wraz z nim pojawił się typ widowiska (nieznany na gruncie łódzkim, ale kontynuowany w dorobku artystycznym St. Ochmańskiego), który reprezentują takie przedstawienia, jak: „Ludowa szopka polska", „Konik Garbusek", czy zrealizowana przez W. Wieczorkiewicza „Pieśń o lisie" i „Ula z Ib" — w reżyserii Jana Wilkowskiego.

W podsumowaniu swojego artykułu Zbigniew S. Nowak pisze:

„...Dwa teatry, a nie „teatrzyki". Dwa teatry, a nie dwa spośród wielu. Nasze dwa teatry, łódzkie, z których chyba będziemy mogli być dumni..."

Powiedziałabym raczej: Dwa teatry spośród wielu dobrych w Polsce. Zawsze bowiem drażnił mnie partykularyzm i powierzchowna znajomość podejmowanych tematów.

JADWIGA SĄCIŃSKA

WYSTAWY

„ŁODZIANIE W FOTOGRAFII"

Wyszliśmy już, sądzić należy z pewnego impasu i doceniamy wreszcie nasze miasto a nawet próbujemy po maleńku pogłębiać wiedzę o nim i jego mieszkańcach.

Wydaje się, że coraz bardziej interesują nas wydarzenia sprzed lat. Tym zainteresowaniom wychodzą naprzeciw zarówno powołane do tego instytucje, jak i indywidualni hobbiści zainteresowani Łodzią, kolekcjonujący „łodziana". Wśród nich mamy Zdzisława Konickiego — działacza turystycznego, społecznego — jednego ze współzałożycieli Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i długoletniego członka zarządu, kolekcjonera od lat trzydziestu gromadzącego i udostępniającego wszelkie „łodziana" niekiedy wręcz zaskakujące. Aktualnie epatuje nas otwartą 13 grudnia wystawą „Łodzianie w fotografii retro 1900—1939" będącą bodaj siódmą już jego wystawą publiczną urządzoną społecznie, przeważnie w gościnnych salach KMPiK.

Można zastanowić się dlaczego autor wyznaczył akurat taką cezurę czasową, ale nie jest to istotne, bo istotna jest treść ekspozycji, która na pewno wzbudzi zainteresowanie takie albo i większe niż poprzednie wystawy tym bardziej, że obecna zawiera tak ciekawą treść — wizerunki ludzkich twarzy. A oglądanie udanego i udatnego konterfektu ludzkiego (szczególnie jakiejś sympatycznej buzi dziewczęcej lub kobiecej) budzi zawsze pozytywne odruchy u każdego widza niezależnie od miejsca i epoki, w której to się dzieje. I dlatego z zaciekawieniem a sądzę bez znużenia obejrzymy tych 300 twarzy jakie wybrał (nie zapominając o urodziwych paniach) dla nas autor wystawy ze swojej grubo ponad 1.000 fotografii liczącej kolekcji. Kolekcja ta składa się zarówno ze zbiorów rodzinnych, jak i darów przyjaciół oraz znajomych autora i wzrosła niepomiernie szczególnie od momentu gdy rozeszła się wieść o urządzaniu takiej wystawy. Skoro wystawa otrzymała takie poparcie łodzian, na pewno jest potrzebna i obejrzą ją tłumy, sądząc z otwarcia i tych minionych dni oraz wypowiadanych tam pochlebnych opinii. Zachwyty, zachęta i komplementy są także „pro domo sua", bo piszący te słowa też palce maczał w treści i urządzeniu wystawy wtrącając nie tyle swoje trzy grosze, co liczne fotografie, z przekonaniem, że znajduje ona pełne pokrycie w rzeczywistości.

Na zdjęciach widzimy niemal cały przekrój warstw społecznych mieszkańców ówczesnej Łodzi: robotnicy-włókniarze z całymi rodzinami, rzemieślnicy, kupcy, biuraliści, przedstawiciele wolnych zawodów i szereg innych z wyjątkiem fabrykantów i chyba słusznie! Widzimy zbiorowe portrety robotniczych grup zawodowych np. tkaczy, czy przędzalników przed swoim oddziałem fabrycznym, sportowcy, uczniowie i szkolne oddziały, strażacy, oddziały straży pożarnej, zjazdy organizacji kulturalnych czy społecznych i wreszcie cały zestaw potretów ślubnych łodzian — to niemal osobna wystawa. Wydaje się jakby pierwotny zamysł został znacznie przekroczony i jak gdyby brakowało już miejsca i oddechu w czytelni KMPiK.

Może się też i tak zdarzyć, że ktoś zwiedzając wystawę przypadkiem natknie się na podobizny swoich dziadków lub rodziców, jeśli mieszkali oni akurat w północnych dzielnicach Łodzi (Stare Miasto, Bałuty, Doły, Żubardź, Żabieniec, Radogoszcz etc.) i tam starali się o dokumenty tożsamości składając jak i dziś odpowiednie dokumenty i fotografie. Fotografie ciekawe, niekiedy więcej mówiące o człowieku i epoce niż niejeden dokument. I w ten sposób ulegla nobilitacji makulatura — tak, nie bójmy się tego stwierdzenia — bowiem część swoich zbiorów nie tylko zresztą fotografii Zdzisław Konicki zgromadził penetrując stosy bezużytecznej wydawałoby się makulatury.

W majestacie prawa, stosownych przepisów (jako, że dokumenty owe utraciły „ważność urzędową a i historyczną") ale czy zawsze zatem rozsądnie przeznaczamy na makulaturę owe „stare papierzyska"? Nie tylko stare papiery, gazety, widokówki, fotografie ale i inne przedmioty zapomniane leżą nieraz w starych biurkach, szafach, komodach bądź na strychach a przy kolejnych przeprowadzkach są beztrosko wyrzucone. Kto zatem zajmie się ocaleniem od zapomnienia, opracowaniem i udostępnieniem — chyba warto?

Oglądamy wiele fotografii „gabinetowych" naklejonych zgodnie z ówczesną modą na tekturze, ozdobne, często złocone passe-partout zawierające nazwisko, adres fotografa i jego wysokie kwalifikacje — o czym świadczyć miały nagrody i medale zdobywane na wystawach przemysłowych. Fotografowie bowiem w Królestwie Kongresowym stanowili wolny zawód i byli zaliczani do przemysłowców. Najlepiej jednak, sądzę o kwalifikacjach fotografów świadczy fakt, że mimo upływu dziesiątków lat nader wiele z tych fotografii zachowało pełną wyrazistość, ostrość rysunku, zabarwienie tonalne obrazu, czytelność twarzy i szczegółów ubioru! A jest co oglądać i podziwiać — te kunsztowne fryzury i wymyślne stroje pań, garnitury panów, krawaty, muszki, halsztuki, szale, chustki „apaszowskie" — zgodne z przewidywaniami u charakterystycznych typów bałuckich. Hej, łza się w oku kreci — przysłowiowe fotografie babuni a na nich moda retro — co na to plastyczki — projektantki mody, a co elegantki, które mogą podpatrzeć i brylować — jeśli się moda retro utrzyma. No i stylowe meble oraz dekoracja ateliers fotograficznych.

Właśnie — atelier fotograficzne, firmy fotograficzne, cała ich plejada, z Kalisza, Częstochowy, Warszawy, ale najwięcej oczywiście z Łodzi — bardzo i mniej znane albo zupełnie nieznane. Takie, które nie utrwaliły się w pamięci łodzian ani w literaturze przedmiotu, ale i takie nazwiska-hasła wywoławcze cytowane w almanachach fotograficznych, w annałach dziejów fotografii w Warszawie i Łodzi. Ot, chociażby Dominik Zonner, Bronisław Wilkoszewski, Jan Mieczkowski, Jan Tyraspolski („Varsovie — Lodz — Odessa — Woornege"!) i szereg innych. Wiele o historii fotografii mogą powiedzieć zgromadzone tu eksponaty.

I w tym miejscu nasuwa się jeszcze jedna refleksja. Znamy opracowanie początków fotografii polskiej dokonane przez Aleksandra Macieszę, Wacław Żdżarski napisał i niedawno ogłosił drukiem historie fotografii warszawskiej. W przygotowaniu są opracowania innych autorów z dziejów polskiej fotografii, nie słyszałem jednak, aby ktoś podjął temat dziejów łódzkiej fotografii — czyżby był to aż tak niewdzięczny temat? Szkoda, może jednak ktoś pokusi się o opisanie dziejów łódzkiej fotografii — Zdzisław Konicki na pewno będzie w tym pomocny, nie tylko zresztą eksponatami z omawianej wystawy. Wystawę jednak gorąco miłośnikom Łodzi polecam, zapraszając ich na piętro do KMPiK przez cały grudzień.

MIROSŁAW Z. WOJALSKI

INFORMACJE

KONKURS NA WSPOMNIENIA I PAMIĘTNIKI

ZG Związku Zaw. Prac. Kultury i Sztuki wspólnie z Instytutem Kultury, Towarzystwem Przyjaciół Pamiętnikarstwa, S.W. „Czytelnik" oraz redakcjami „Kultury" i „Głosu Pracy" ogłaszają pod hasłem: „Człowiek — Praca — Twórczość" konkurs na wspomnienia i pamiętniki działaczy i pracowników kultury z lat 1945—1976.

Instytucje patronujące konkursowi spodziewają się, że jego uczestnicy odnotują zarówno ważne wydarzenia jak drobne ulotne fakty ze swojej działalności tak na terenie miast jak i wsi.

Konkurs jest otwarty. Rozpatrywane będą jedynie prace wcześniej nie publikowane. Nie ogranicza się objętości, jednak ze względów wydawniczych pożądane są prace objętości 20—40 stron maszynopisu. Termin składania — do 15 kwietnia 1977 r. Nagrody: I — 15.000 zł, dwie II — po 10.000 zł, trzy III — po 7.000 zł oraz 10 wyróżnień po 2.000 zł.

Prace opatrzone godłem należy wysyłać pod adresem: ZG Zw. Zaw. Pracowników Kultury i Sztuki, ul. Lwowska 13, 00-660 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Konkurs".

30-LECIE PIW

Państwowy Instytut Wydawniczy, jedno z największych naszych wydawnictw literackich, obchodzi 30 rocznicę działalności. W 1946 roku pojawiły się na półkach księgarskich pierwsze publikacje sygnowane znakiem PIW — dwie książki Stefana Żeromskiego: „Wiatr od morza i opowieść „O żołnierzu tułaczu". O dynamicznym rozwoju w późniejszych latach tej oficyny najbardziej świadczy fakt, że jeśli w 1946 r. opublikowano zaledwie 23 pozycji, to obecnie — co roku — ukazuje się nakładem PIW ok. 300 nowości i wznowień. Bilans lat 1946—1976 to 6,5 tys. tytułów opublikowanych w nakładzie ok. 130 mln egzemplarzy.

REYMONTOWSKIE LIPCE ZMIENIAJĄ SIĘ

Lipce Reymontowskie w woj. skierniewickim dzięki „Chłopom" Władysława Reymonta to wieś szeroko znana w kraju. Obecnie Lipce niczym prawie nie przypominają wsi, którą uwiecznił wielki pisarz. W ciągu ostatnich dziesięcioleci wieś rozrosła się, obecnie liczy ok. tysiąca mieszkańców, jest prawie w całości murowana. Stoi jeszcze stary budynek, w którym przez kilkadziesiąt lat mieściła się karczma. Mieszkańcy Lipiec twierdzą, że to ta sama, w której spotykali się bohaterowie powieści. Z dala od centrum wsi, przy torze kolejowym, znajduje się domek z czerwonej cegły. Tu kiedyś mieszkał skromny pracownik kolei Władysław Reymont, który opisał życie codzienne Lipiec. Przypomina o tym tablica pamiątkowa. W najbliższych latach w Lipcach Reymontowskich ma być zbudowany dom kultury i ośrodek zdrowia.

REKONSTRUKCJA OPACTWA POCYSTERSKIEGO

Trwają prace związane z przywracaniem dawnej świetności 800-letniemu zabytkowi klasy „0" opactwu pocysterskiemu w Podklasztorzu w woj. piotrkowskim. Zakończono już prace związane z budową dachu, co umożliwia kontynuowanie robót instalacyjnych i adaptacyjnych wnętrz. Wkrótce przystąpi się do pokrywania blachą miedzianą kopuły „Wieży Krakowskiej". Prace związane z rekonstrukcją zabytku mają zostać zakończone w roku przyszłym. W b. opactwie znajdzie pomieszczenie ośrodek wypoczynkowy pracowników budownictwa, w którym jednorazowo będzie mogło przebywać ponad 700 osób. Nie zabraknie w nim również kawiarni, basenu i innych pomieszczeń uprzyjemniających wypoczynek.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny) RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

CZY POTRZEBNY NAM JEST EKSPORT?

Jest w naszym myśleniu ekonomicznym — jeśli przyjąć, że potrafimy tak myśleć — sposób patrzenia na gospodarczą rzeczywistość poprzez pryzmat handlu zagranicznego, a głównie eksportu. Byłoby oczywiście prościej przyznać, że taki sposób patrzenia przeczy umiejętności ekonomicznego myślenia, ale byłoby to też nie liczeniem się z głęboko tkwiącymi uprzedzeniami do spraw handlu zagranicznego. Dość często bowiem daje się słyszeć pogląd, że gdybyśmy nie eksportowali, to inaczej wyglądałoby zaopatrzenie rynku wewnętrznego.

Można z takim poglądem polemizować w sposób niezwykle prymitywny, zwracając uwagę, że gdybyśmy nie eksportowali, to również na naszym rynku nie byłoby towarów z importu, a wśród nich... kawy, herbaty, benzyny, wyrobów przemysłu bawełnianego i tak dalej. Tego typu argumentacja — jeśli można tak to nazwać — jest jednakże, poza swoim prymitywizmem, o tyle nieskuteczna, że w powszechnych przekonaniach panuje zupełna zgoda na import, bez zastanowienia się nad tym, skąd wobec tego brać pieniądze na ten import. Rzecz jednakże jest o wiele bardziej skomplikowana, z czego — śmiem twierdzić — nie wszyscy zdajemy sobie sprawę.

Satysfakcja z osiągnięć, jakie są naszym udziałem, z postępu dokonanego w uprzemysłowieniu i unowocześnianiu naszej gospodarki, nie powinna nam przesłaniać dystansu, jaki nas jeszcze dzieli od krajów wysoko uprzemysłowionych, a świadomość tego dystansu powinna stanowić jeden z bodźców mobilizujących do działania na rzecz jego pomniejszania. Jeśli bowiem zdarza się słyszeć, że zbyt dużo eksportujemy, to nie zawsze temu poglądowi towarzyszy wiedza o tym, że wysoki udział w eksporcie jest cechą właśnie krajów wysoko uprzemysłowionych, natomiast w naszym przypadku — nawet gdyby tak było — to byłaby to w dużej mierze wewnętrzna potrzeba, wynikająca z nieuchronnej konieczności dalszego szybkiego rozwijania krajowej gospodarki.

W ubiegłym roku na przykład **55 proc. całego światowego eksportu pochodziło z 10 krajów wysoko rozwiniętych.** Natomiast w tymże samym 1975 roku udział wszystkich krajów **RWPG** w światowym eksporcie wynosi zaledwie **9,1 procent.** A bierze się to z niczego innego, jak właśnie z dystansu, który kraje nasze dzieli jeszcze od światowej czołówki.

W tym miejscu potrzebne są dwa **wyjaśnienia.**

Pierwsze — które właściwie jest przypomnieniem, że do **RADY WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ** formalnie należy 10 państw, ale faktycznie współdziała z sobą 9. Są to: **Bułgaria, Czechosłowacja, Kuba, Mongolia, NRD, Polska, Rumunia, Węgry, ZSRR.** W pracach **RWPG** od 1961 roku nie bierze udziału Albania. Kraje należące do **RWPG** są więc bardzo zróżnicowane pod względem osiągniętego poziomu gospodarczego, ale też dzięki współpracy dążą do wyrównania wewnętrznych dysproporcji, a także do takiego podziału pracy w skali wspólnoty, aby ułatwiał on i przyczyniał się do szybkiego osiągnięcia tego celu, jak też pomagał w dalszym rozwoju gospodarczym każdego z partnerów.

Wyjaśnienie drugie — w **ZSRR** handel zagraniczny odgrywa znacznie mniejszą rolę niż w innych krajach wspólnoty, a to ze względu na wysoką samowystarczalność gospodarczą Związku Radzieckiego, jak też ze względu na wielkość rynku wewnętrznego.

Panujące tu i ówdzie zupełnie irracjonalne przekonanie, że my też moglibyśmy być samowystarczalni i ograniczyć eksport i import, **upada przy pierwszych porównaniach z innymi krajami RWPG,** pomijając już fakt, że nie dysponujemy nie tylko wszystkimi potrzebnymi surowcami, ale też i nie wytwarzamy nowoczesnej techniki, niezbędnej dla dalszego rozwoju gospodarki. A porównywać się choćby z naszymi sąsiadami bardzo lubimy, tylko że są to porównania częstokroć wynikające z powierzchownych obserwacji.

W 1974 roku zajmowaliśmy w **RWPG** jeśli chodzi o produkcję przypadającą na jednego mieszkańca:

— **pierwsze miejsce** w produkcji: węgla kamiennego (przed ZSRR, CSRS, Rumunią), kwasu siarkowego (przed Bułgarią, CSRS, ZSRR), ziemniaków (przed NRD, ZSRR, CSRS), mleka (przed NRD, CSRS, ZSRR);

— **drugie miejsce** w produkcji: surowców energetycznych (po ZSRR a przed CSRS i NRD);

— **trzecie miejsce** w produkcji samochodów osobowych (po CSRS i NRD, a przed ZSRR i Rumunią);

— **czwarte miejsce** w produkcji: stali surowej (po CSRS, ZSRR i Rumunii a przed NRD), samochodów ciężarowych (po ZSRR, Bułgarii, CSRS a przed Rumunią), telewizorów (po Węgrzech, CSRS, NRD a przed ZSRR), włókien sztucznych celulozowych (po NRD, Bułgarii, CSRS a przed ZSRR), mięsa — było to na początku gwałtownego spadku pogłowia (po Mongolii, Węgrzech, NRD a przed CSRS) oraz warzyw i sody kaustycznej i kalcynowanej;

— **piąte miejsce** w produkcji: ropy naftowej (po ZSRR, Rumunii, Węgrzech i Kubie), energii elektrycznej (po NRD, ZSRR, CSRS i Bułgarii), nawozów sztucznych (po NRD, ZSRR, Rumunii i Kubie), tworzyw sztucznych (po NRD, CSRS, Bułgarii i Rumunii), włókien sztucznych niecelulozowych (po NRD, Bułgarii, CSRS i Rumunii);

— **szóste miejsce** w produkcji węgla brunatnego, obrabiarek skrawających do metali, zbóż i owoców.

Jeśli chodzi o **transport, to w 1974 roku** pod względem ilości ładunków przewiezionych w przeliczeniu na jednego mieszkańca zajmowaliśmy w transporcie kolejowym czwarte miejsce, samochodowym ósme, lotniczym — dziewiąte, a w żegludze morskiej — drugie. Natomiast pod względem liczby pasażerów w przeliczeniu na jednego mieszkańca PKP znalazła się na trzecim miejscu, PKS — na czwartym, LOT — na dziewiątym, a żegluga morska — na drugim.

I jeszcze jedno porównanie. **Polska** pod względem obszaru zajmuje w **RWPG** trzecie miejsce po ZSRR i Mongolii, a pod względem ludności — według danych z 1975 roku — drugie miejsce.

Oczywiście tej lokaty nie można traktować zbyt mechanicznie i wyciągać stąd zbyt pochopnego wniosku, że we wszystkich porównaniach powinniśmy się plasować na drugim miejscu. Ale już tych kilka porównań wyraźnie pokazuje, jak wielkie mamy przed sobą zadania, jak wiele musimy jeszcze nadrobić zaległości, które bądź to wynikają z tego, że z innej pozycji startowaliśmy po drugiej wojnie światowej, bądź z tego, że w poprzednich latach nie zawsze harmonijnie i we właściwym tempie rozwijała się nasza gospodarka.

W ostatnim pięcioleciu dokonaliśmy wszakże wielkiego wysiłku inwestycyjnego, modernizując i rozbudowując wiele dziedzin gospodarki. Ten wysiłek wprawdzie jeszcze nie zawsze przynosi spodziewane rezultaty, nowoczesne techniki i technologie nie owocują dostatecznie nowoczesnymi produktami, ale w rezultacie, przy wzroście jakości pracy, powinno to poprawić naszą lokatę wśród państw **RWPG.** Polski handel zagraniczny będzie mógł tedy oferować zagranicznym kontrahentom wyższej jakości towary, a i skorzysta z tego rynek wewnętrzny.

Poziom techniczny i technologiczny przemysłu ma bezpośredni wpływ na strukturę eksportu. **Najkorzystniejszy jest bowiem eksport gotowych wyrobów, zawierających duży wkład pracy, myśli technicznej, tego wszystkiego, co się wysoko ceni.** Najmniej korzystny jest eksport surowców i nieprzerobionych produktów rolnictwa. Jeśli chodzi o Polskę, to **w 1974 roku,** w stosunku do 1970 roku import maszyn i urządzeń oraz sprzętu transportowego wzrósł o **155 proc.,** a w tym samym czasie eksport maszyn i urządzeń oraz sprzętu transportowego — o **87 proc.** W tym samym roku w stosunku do 1970 roku wyeksportowaliśmy więcej o **107 procent** paliw, surowców mineralnych i metali oraz o **63 procent** więcej surowców pochodzenia roślinnego i zwierzęcego oraz towarów rolno-spożywczych, ale też o **207 procent** więcej towarów przemysłowych. Te zmiany świadczą korzystnie o rozwoju naszej gospodarki, jak również i o tym, że jest to gospodarka bardzo chłonna na maszyny i urządzenia, jako że jest to gospodarka rozwijająca się.

W **latach 1971—1975** mieliśmy najwyższe w krajach **RWPG** tempo wzrostu eksportu i importu w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W **latach 1966—1970** średnie roczne tempo przyrostu eksportu wynosiło w Polsce (mierzone na jednego mieszkańca **(9,1 proc.** i było mniejsze niż w Bułgarii (10,1) i Rumunii (9,6). Natomiast w **latach 1970—1975** średnie roczne tempo przyrostu eksportu w przeliczeniu na jednego mieszkańca wyniosło 18,1 proc. i Polska ustępowała tylko pod tym względem Kubie (20,9), wyprzedzając nieznacznie Rumunię (18,0). Jednakże w tychże latach zanotowaliśmy **znaczny wzrost tempa importu,** osiągając pierwszą lokatę w krajach **RWPG,** z 22,5 proc., podczas gdy w **latach 1966—1970** średnie roczne tempo przyrostu importu w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiło **8,4 procent.**

Zmieniły się też korzystnie **kierunki eksportu.** Jeśli w 1970 roku 63,9 proc. sprzedawaliśmy do krajów socjalistycznych, to ten udział w wymianie handlowej z krajami **RWPG** i innymi krajami socjalistycznymi utrzymał się na poziomie **55,7 proc.** w roku 1974, natomiast udział sprzedaży naszych towarów do krajów kapitalistycznych rozwiniętych gospodarczo wzrósł z 28,4 proc. w roku 1970 do **36,3 proc.** w roku 1974. Ostatnio na przykład **Polska** obok ZSRR stała się ważnym partnerem w handlu z Francją i RFN. W ubiegłym roku Polska sprzedała na rynki francuskie 21 proc. wszystkich towarów wysyłanych tam przez kraje RWPG.

Czy rzeczywiście eksportujemy dużo?

Gdyby nasz eksport zmierzyć w dolarach USA przypadających z tego tytułu na jednego mieszkańca, to w 1974 roku sprzedaliśmy za **247 dolarów.** W tym samym roku **NRD** sprzedała towarów za **516 dolarów** przypadających na jednego mieszkańca, **CSRS** — za **470 dolarów, Węgry** — za **460 dolarów,** a **Bułgaria** — za **442 dolary.** Warto tu jeszcze może przypomnieć, że **według danych RWPG i ONZ** średnia wielkość wartości eksportu przypadająca na jednego mieszkańca krajów **RWPG** wynosi **214 dolarów USA,** a na jednego mieszkańca krajów kapitalistycznych rozwiniętych gospodarczo — **808 dolarów USA.** Tak więc nasz eksport waha się w granicach średniej. Ale nie jest to w żadnym wypadku powód do radości. Przeciwnie, taka wartość eksportu wynika z niedostatków naszej gospodarki i z niedorozwoju wielu jeszcze jej dziedzin, o czym warto pamiętać.

Coraz bardziej zacieśniająca się współpraca państw socjalistycznych, a także rozpoczynająca się współpraca **RWPG** z innymi państwami, staje się czynnikiem ułatwiającym rozwój gospodarczy poszczególnych członków wspólnoty. Obecnie na przykład **RWPG** jako całość dysponuje zasobami surowcowymi niezbędnymi do osiągnięcia najwyższego poziomu produkcji w każdej z poszczególnych dziedzin gospodarki. Jest to wynik prowadzonych od lat intensywnych poszukiwań geologicznych, w tym również i w Polsce, gdzie odkryślimy przecież węgiel brunatny, węgiel kamienny, miedź, siarkę, gaz ziemny.

Ten wspólny potencjał surowcowy, nierównomiernie jednak rozmieszczony, nastręcza wiele trudności technicznych związanych z jego eksploatacją i transportem. A trzeba pamiętać, że kraje **RWPG** leżą nie tylko w Europie, ale też na Dalekim Wschodzie i drugiej półkuli. Budowa dwu nitek rurociągu „Przyjaźń", a obecnie budowa rurociągu orenburskiego, w której to inwestycji uczestniczą partnerzy **RWPG** ale na nieco innej zasadzie niż przy budowie rurociągu „Przyjaźń", stanowią przykłady wspólnego rozwiązywania problemów zaopatrzenia poszczególnych krajów członkowskich **RWPG** w surowce i paliwa.

Różnica w sposobie budowy rurociągu „Przyjaźń" i rurociągu orenburskiego jest dowodem na umacniającą się i rozwijającą współpracę. Jak wiadomo przy budowie tego rurociągu każdy z przyszłych jego eksploatatorów budował własny odcinek, przebiegający przez jego terytorium. Tak też budowano linie energetyczne, wspólnego systemu zasilania w energię elektryczną. Rurociąg orenburski buduje się już na innej zasadzie. Buduje się go od podnóża Uralu, aż do zachodniej granicy ZSRR. Jego długość wyniesie 2 750 km, a budują go wspólnym wysiłkiem ekipy budowlane **ZSRR, Polski, Bułgarii, CSRS, NRD, Rumunii i Węgier.**

Tego typu wspólne działanie staje się coraz częściej metodą rozwiązywania wspólnych problemów. Na przykład na Syberii, w Ust-Ilimsku, wspólnymi siłami wzniesiony będzie wielki kombinat celulozowy, który pozwoli na właściwą gospodarkę leśną w tym rejonie ZSRR, a kontrahentom zapewni dostawy celulozy. Na podobnej zasadzie w Kijembajewsku powstanie kombinat azbestowy.

Wspólne rozwiązywanie wielu problemów gospodarczych stosowane jest nie tylko w skali całej **RWPG,** ale też stosują je poszczególni partnerzy. Na przykład przy budowie **Huty „Katowice" w Polsce** pomocą i współpracą służą budowniczowie i specjaliści ze Związku Radzieckiego. ZSRR dostarcza na tę budowę sprzętu wagi 55 tys. ton. W **Bułgarii** przy współdziałaniu ZSRR, CSRS i NRD uruchomiono produkcję włókien poliamidowych. W **Mongolii** przy pomocy ZSRR powstaje kombinat miedziowy. Przy współpracy specjalistów z Bułgarii, CSRS, Polski, Węgier i Jugosławii powstaje w **NRD** wielka cementownia.

Wspólne inwestycje, jak i coraz bardziej pogłębiający się podział pracy, stają się czynnikami przyspieszającymi rozwój gospodarczy poszczególnych krajów, pozwalają na znacznie szybsze niż gdyby każdy działał sam, niwelowanie różnic i wyrównywanie poziomów. A przytaczając obszernie występujące różnice, pokazałem w przypadku Polski jak jeszcze wiele mamy do zrobienia, jeśli chcemy nie tylko zaspokoić bieżące potrzeby, ale też stworzyć podstawy dla dalszego rozwoju gospodarczego kraju. Podział pracy i specjalizacja zadanie takie ułatwiają. A niestety, podział pracy i specjalizacja niemożliwe są bez importu maszyn i urządzeń, ani też bez eksportu produktów naszej gospodarki. Te sprawy są z sobą ściśle związane.

Podjęliśmy na przykład w Polsce produkcję samochodów na licencji włoskiego „Fiata". Na takiej samej licencji produkuje się samochody w ZSRR i Jugosławii. I to dało podstawę dla wymiany produkowanych części samochodowych w poszczególnych krajach. Zapoczątkowana wymiana przyniosła dalsze rezultaty i w Praszce koło Wielunia rozbudowuje się istniejąca tam fabryka, która podejmie się produkcji części dla wielkich radzieckich samochodów „Kamaz". Takich przykładów można byłoby podać więcej. Wszystko to jednak są przykłady umacniające przekonanie, że tylko prowadząc otwartą gospodarkę, gotową do rozszerzania międzynarodowych kontaktów i międzynarodowej współpracy, można osiągnąć zamierzone cele. Innej drogi nie ma. Każdy kraj, który izoluje się od zewnętrznych kontaktów, który ogranicza rozwój gospodarki tylko do własnych możliwości prędzej czy później musi się znaleźć daleko w tyle za innymi. A naszą narodową inspiracją jest doganianie przodujących na świecie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

HISTORIA FILMU

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

RASHOMON

Scenariusz: **Akira Kurosawa i Shinobu Hashimoto** według dwóch opowiadań **Ryunosuku Akutagawy „W gęstwinie" i „Rashomon".**
Reżyseria: **Akira Kurosawa.**
Zdjęcia: **Kazuo Miyagawa.**
Scenografia: **Takashi (So) Matsuyana**
Muzyka: **Fumio Hayasaka.**
Wykonawcy: **Tohsiro Mifune** (Tajomaru), **Masayuki Mori** (samuraj Takehiro Kanazawa), **Machiko Kyo** (Masago), **Takashi Shimura** (drwal), **Daisuke Kato** (policjant), **Kichijiro Ueda** (służący), **Minoru Chiaki** (bonza), **Fumiko Homma** (czarownica).
Produkcja: **Daiei.**
Premiera: **26.VIII.1950.**

Data powstania „Rashomona" Akira Kurosawy oznacza jeden z najbardziej doniosłych momentów w historii współczesnej kinematografii. Prezentacja tego filmu na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji uwieńczona nagrodą Złotego Lwa oraz wręczenie Kurosawie Oscara za najlepszy film zagraniczny wyświetlany w USA w 1951 roku były jedynie czysto zewnętrznymi dowodami triumfalnego podboju, jakiego dokonał „Rashomon" w Europie i Ameryce. Doniosłość tego faktu polegała na tym, że nastąpiło odkrycie nowej, egzotycznej kinematografii tworzącej dzieła o niezwykłych wartościach artystycznych. Do tej pory filmowy świat zawierał się pomiędzy Ameryką a Europą, a wszelkie kinematografie spoza tego tradycyjnego kręgu były bądź to wcale niedostrzegalne, bądź to lekceważone i niedoceniane. „Rashomon" otworzył drogę kina japońskiego na europejskie i amerykańskie ekrany, zmieniając dotychczasowe wyobrażenia na temat geografii kultury filmowej.

Przed zdumionymi oczyma widza nowojorskiego, paryskiego czy warszawskiego kina otworzył się świat nieznany, egzotyczny i fascynujący. Świat barwnych legend, podań i mitów zanurzony w kulturowej tradycji, czerpiący z niej artystyczną siłę i moralną mądrość. Filmy japońskie szybko nawiązały kontakt z nową widownią, ponieważ rychło okazało się, że pod egzotyczną powierzchnią ukrywają się uniwersalne wzorce kulturowe decydujące o tożsamości człowieka pod każdą szerokością geograficzną: pragnienie rozpoznania dobra i zła, pragnienie aprobaty podstawowych norm moralnych regulujących życie społeczne, pragnienie rozeznania miejsca jednostki w historii. W kinie japońskim odnajdywano również arrykulowany w o wiele intensywniejszej formie sens emocjonalny kontaktów człowieka z człowiekiem i z otaczającą rzeczywistością. Należy jednak zwrócić uwagę na pewną powierzchowność odbioru filmów japońskich, które przychodząc z zupełnie odmiennego kręgu cywilizacyjnego były skazane na brak pełnej czytelności i komunikatywności. Kino japońskie wyrastało bezpośrednio z tamtej kultury i w swoich fabułach, motywach, wątkach nawiązywało wprost do japońskiej klasyki literackiej i teatralnej. Podstawową cechą bogatej kultury japońskiej jest jej skrajna konwencjonalizacja. To, co dla Japończyka było w filmie wywiedzionym z tradycji i obdarzonym ściśle skodyfikowaną wartością semantyczną gestem, sposobem zachowania, typem mimiki, scenografii czy kostiumu, dla Europejczyka stanowiło jedynie sugestywną, lecz enigmatyczną ekspresję o niedostępnym znaczeniu.

Wśród reżyserów japońskich Akira Kurosawa był nie tylko tym, który pierwszy olśnił europejską publiczność, ale zdobył sobie również prymat w jej oczach i został zaliczony do wąskiego grona najwybitniejszych twórców doby współczesnej. Japończycy twierdzą, że Kurosawa jest najbardziej „europejski" spośród filmowców Japonii, że jego „Rashomon" w ojczyźnie nie zrobił takiego wrażenia jak w Europie, a jego filozofia nie została w pełni przez Japończyków zrozumiana. Teza o „europejskości" Kurosawy jest prawdziwa, ale tylko częściowo i jednostronnie. Kurosawa jest bowiem filmowym autorem, który czerpie pomysły, fabuły i idee z wielkiej skarbnicy kultury światowej. Adaptuje „Idiotę" Dostojewskiego", a cała jego twórczość jest pod wielkim wpływem filozofii moralnej tego pisarza, zna doskonale rosyjską klasykę literacką, w „Tronie we krwi" przenosi na historyczny grunt Japonii „Makbeta" Szekspira i bywa porównywany z Albertem Camusem. Kurosawa jest po prostu artystą uniwersalnym, który potrafi tradycyjne pierwiastki kultury narodowej podnieść do rangi światowej poprzez ich twórczą syntezę z najwybitniejszymi osiągnięciami sztuki i myśli naszego kręgu kulturowego. Symbolizuje tym samym najdoskonalej współczesną Japonię, która dokonała w ostatnich czasach olbrzymiego skoku cywilizacyjnego dzięki adaptacji zdobyczy światowej techniki, a jednocześnie nie zatraciła własnej tradycji kulturalnej.

„Rashomon" powstał z dwóch opowiadań japońskiego pisarza awangardowego Ryunosuke Akugatawy, piszącego pod wpływem literatury europejskiej. Kanwą filmu stała się nowela „W gęstwinie", która w oryginale miała charakter policyjnego raportu z prze-

Dalszy ciąg na str. 13

„PROFIL": PÓŁTORA ROKU PO STARCIE

Od półtora roku działa w Łodzi Zespół Filmowy „Profil". W ostatnich dniach listopada odbył się przegląd pierwszych filmów zrealizowanych w tym Zespole. Pokazano: „Rodzinę" Krzysztofa Wojciechowskiego, „Zagrożenie" Wacława Florkowskiego, „Olśnienie" Jana Budkiewicza i „Zanim nadejdzie dzień" Ryszarda Rydzewskiego. Z tej okazji o programie i planach Zespołu „Profil" rozmawiamy z jego kierownikiem artystycznym, reżyserem Bohdanem Porębą.

— Przegląd pierwszych czterech filmów Zespołu „Profil" i towarzyszące im dyskusje mamy za sobą. Jaki cel przyświecał tym spotkaniom i jak je Pan jako kierownik artystyczny Zespołu ocenia?

— Spowodowaliśmy tę bezpośrednią konfrontację, pamiętając że łódzka społeczność domagała się powstania filmowego zespołu. Obciążeni wielką odpowiedzialnością, musimy się tej społeczności wypłacić. Zorganizowany przegląd pozwolił nam pokazać cośmy dotychczas zrobili, przedstawić nasz program i plany na przyszłość oraz sprawdzić wybraną drogę. Przegląd ten stworzył sytuację, w której można było podyskutować o naszych filmach. Jeżeli będziemy pamiętali, że wszystkie cztery pokazane filmy, to utwory o tematyce współczesnej, a trzy z nich to debiuty reżyserskie, trudno będzie przecenić sens tej imprezy. Przeprowadzone w jej ramach dyskusje są sprawą pierwszorzędnej wagi zarówno dla poszczególnych twórców, jak i dla całej dalszej drogi Zespołu. Pragnę tu powiedzieć, że pewne oceny prasowe pierwszych naszych filmów traktuję jako zbyt woluntarystyczne. Wymagają one konfrontacji, gdyż pamiętać trzeba, że filmy te charakteryzują bardziej poszukiwania tematyczne niż formalne. Uczestniczącym w przeglądzie widzom przedstawiliśmy nasz program, zaprezentowaliśmy też pierwszy etap naszej drogi. Drogę tę wytycza fakt, że w Zespole „Profil" spotkali się ludzie o określonych zainteresowaniach. Nasz program pragnie się przeciwstawić pewnym tendencjom i modom, które są nam obce.

— O jakich tendencjach i modach Pan myśli?

— Po pierwsze chodzi mi o zmienność mód. Droga naszej kinematografii, jak i wielu innych, jest dość histerycznie wytyczana. Do niedawna panowała w świecie moda retro, sadomasochizm, pornografia, wcześniej jeszcze „nowa fala". Modom tym nasza kinematografia podlegała w dużej mierze, a to skazuje ją na przypadkowość, którą potęguje mała odporność twórców i brak programu. Negatywną rolę odgrywa tu także część krytyki filmowej.

Uważam natomiast, że podstawowym zadaniem polskiej kinematografii jest szukanie własnej tożsamości. Uzyskać ją można poprzez poczucie silnego związku z tradycją, poprzez uświadomienie sobie, że obowiązkiem naszym jest podjęcie próby nauki chodzenia po polskiej ziemi na nowo, zobaczenia jej, opowieści o niej.

— Jak Pan rozumie ów związek z tradycją? Do jakiej tradycji narodowej i artystycznej program Waszego Zespołu nawiązuje?

— Sztuka od zarania dziejów dzieliła się na dwa nurty. Jeden z nich nazwać można prometejskim; jest to nurt wiary w człowieka, jego siłę i możliwości kształtowania świata. Drugi — to nurt sztuki zdezintegrowanej, zdezintegrowanego człowieka. Ludzie zawsze dzielili się na takich, którzy chcąc świat kształtować, są jednostkami twórczymi i na takich, którzy są wszystko biernie przyjmującą grupą. Dotyczy to także kultury. Nie jest ona bowiem wartością samą w sobie, wierzę, że kultura ma wówczas znaczenie, gdy potrafi kształtować życie.

Ponieważ los naszego narodu jest historycznie określony, uważam, że najwspanialszą rzeczą, jaką potrafi zdziałać twórca, jest włączenie się w ten nurt, który jest właśnie nurtem historycznej prawidłowości. Wszystko, co w naszej kulturze naprawdę się liczy, było zawsze głęboko związane z głównym losem narodu. Z wyjątkiem oczywiście tej sztuki, która w wieku XX była wyrazem filozofii rozpaczy. Myślę na przykład o Gombrowiczu czy Schulzu. W gruncie rzeczy jednak są to sprawy sytuujące się poza losem narodowym. Jeśli sztukę tę akceptujemy nawet, to dlatego, że jest potwierdzeniem niemożności odejścia od tego losu. Ile razy z tej drogi zbaczaliśmy, tyle razy nasza sztuka bardzo karlała.

— Jak w kontekście tych poglądów wypada Pańska ocena tradycji i wartości, które niesie polska sztuka filmowa? Sądzę bowiem, że o ich złożoności świadczyć może choćby tylko dorobek tzw. szkoły polskiej?

— Oczywiście tradycja filmowa ma dla mnie również swą wartość. Uważam, że polska kinematografia powojenna działalność swą zaczęła niezwykle interesująco. Zgodnie z najgłębszą potrzebą społeczną zaczęła od rozliczenia z wojną. Był to obrachunek prowadzony wprost, dzielono się przeżyciami i doświadczeniami martyrologii i walki. Później nastąpił okres, do którego mam bardzo złożony stosunek. Uważam, że odchodząc od niego wylaliśmy dziecko z kąpielą. Formuła socrealizmu, dość nieuczciwie i instrumentalnie przez dużą część wykonawców traktowana, doprowadziła do tego, że sprawa ta tak nas odrzuciła. Pewne wytyczne realizmu socjalistycznego, traktowane nie jako doktryna lecz podstawowe myśli, były jednak niesłychanie słuszne. I twierdzę, że nic bardziej niż właśnie ten okres nie zaważyło na sytuacji naszej współczesnej kultury. W twórcach wytworzył się lęk przed powtórzeniem błędów czasu schematyzmu tak, jakby ktoś się tego domagał, jakby to w ogóle było możliwe.

Potem nastąpiła „szkoła polska", jest ona sprawą bardzo specyficzną. Jej czołowe dokonania niezwykle cenię. „Popiół i diament" Wajdy uważam do dziś za najwspanialszy polski film. Ale „Popiół i diament", film z 1958 roku, był opóźniony w stosunku do życia. W tym samym czasie, gdy Maćkowie Chełmiccy wtapiali się w życie społeczne, bohater filmu Wajdy umierał na śmietniku historii. Wolałbym pointę bardziej potrzebną naszemu społeczeństwu, pointę integrującą w której zawierałaby się rekompensata za ciężkie lata Maćka Chełmickiego, czyli jego pokolenia. Ale z tym wszystkim „Popiół i diament" był wielkim filmem, bo trafiał w nurt społeczny i coś rozładowywał.

Generalnie jednak rzecz traktując, od tego czasu nastąpił w filmie polskim rozziew z życiem. Im bardziej tacy ludzie, jak Chełmicki wrastali w życie, tym częściej nasze filmy pokazywały, że jest to pokolenie zniszczone, niezdatne do życia. Wydaje mi się, że było to bardzo nieuczciwe, bo kształtowało świadomość społeczną, a odpowiedzialność za to jest ogromna. Zaczęła się wówczas w kinematografii naszej „sztuka dla sztuki", sztuka kłamania w sytuacji, w której życie stwarzało coraz to szersze możliwości integracji narodowej, co jest przecież celem nadrzędnym. W tym czasie nasze filmy mówiły o tej sprawie jako o przegranej, zaczęły dzielić a nie łączyć.

— Czy te konstatacje nie prowadzą do zbyt daleko idących uogólnień? Zjawiska „szkoły polskiej" nie można traktować generalnie, zbyt różne były w niej osobowości, a sens na przykład filmów Andrzeja Munka daleki jest temu, co Pan, jako główny motyw filmów „szkoły polskiej" przedstawia.

— Spośród filmów Munka najbardziej cenię sobie „Człowieka na torze", a mówiąc o rozziewie myślę głównie o filmach epigońskich oraz o literackiej i filmowej twórczości Tadeusza Konwickiego. Gdy epigońskie zaczęło się rozszerzać, zabrakło nam jakiejkolwiek w sensie intelektualnym busoli, „Szkołę polską" zaś przyjmuję po dyskusji wszczętej przez pułkownika Załuskiego. Cenię wkład „szkoły", gdyż rozumiem ją jako autentyczną wypowiedź związaną z „odwilżą", mimo że filmy jej były wyrazem filozofii rozpaczy. Gdy zaś „szkoła polska", która przyzwyczaiła nas do festiwalowych nagród, skończyła się, trzeba było znaleźć jakąś namiastkę. Przyszły wówczas „nowe fale", kalejdoskopowe układanki, które miały zadziwić i zakryć pustkę. Przyszedł egzystencjalizm, który w naszym wydaniu był karykaturalny. Wyznam w tym miejscu, że zazdroszczę kinematografii radzieckiej, która też przechodziła różne choroby, ale jej „nowe fale" są niczym innym, jak kontynuacją określonej tradycji, stosunku do człowieka, charakteru narodowego, kontynuacją wielkiej tradycji artystycznej. Nasi zaś twórcy zawsze chcą zaczynać od „budowy na ruinach". Uważam natomiast, że tylko to nowe słowo się liczy, które kontynuuje poprzednie. Interes narodu, który chce dokonać wielkiego skoku, znaleźć właściwe dla siebie miejsce w świecie wymaga, by celem artystów było poszukiwanie trwałych wartości w przeszłości i teraźniejszości, tych, które mogą dać podnietę do życia.

— Przejdźmy do konkretów. Czy wśród faktów artystycznych ostatnich lat widzi Pan utwory, które by egzemplifikowały tę potrzebę, o której Pan mówił?

— Oczywiście — w literaturze są nimi utwory Grochowiaka i Brylla, w kinematografii — „Perła w koronie" i „Sól ziemi czarnej" Kutza, „Ciemna rzeka" Szyszki, no i najlepszy film polski ostatnich lat: „Noce i dnie" Antczaka.

— Wśród tych przykładów zabrakło mi między innymi filmów Krzysztofa Zanussiego.

— „Struktura kryształu" — proszę bardzo. „Iluminacja" nie jest mi bliska, wynika to pewnie z temperamentu i upodobań, nie lubię zimnej sztuki, która jest wyłącznie intelektualną spekulacją.

— Wróćmy do Zespołu „Profil". Jak na tle tego, co Pan powiedział, wygląda jego program i plany?

— Celem głównym jest dojście do filmu współczesnego, który byłby wyrazem naszych czasów i życia. Pierwsze filmy naszego Zespołu posiadają już tę tonację, która jest mi tak bliska. Zamykają się w tym kręgu kulturowym, który jest konieczny do uzyskania tożsamości naszej kinematografii. Manifestowana polskość jest cechą naszych filmów, preferują one również bardzo humanistyczny stosunek do człowieka, szukają wartości w człowieku samym, w jego działaniu, osadzają go w realiach naszego życia. Te filmy, które w naszym Zespole powstaną, tę postawę ideowo-moralną i artystyczną manifestować będą przede wszystkim. Jest to postawa odpowiedzialności za siebie, za kogoś innego, za kraj, za ideę.

— Trzy spośród pokazywanych na przeglądzie filmów, to debiuty reżyserskie. Czy nie obawia się Pan, że debiuty nie udźwignął zadań, jakie program ideowy i artystyczny Zespołu stawia przed nimi? Sztuka bowiem zawsze społecznie funkcjonuje wówczas, gdy jej intencje ideowo-moralne idą w parze ze szlachetnością formy.

— Nie obawiam się, gdyż nie uważam, by któryś z tych debiutantów zrealizował film nieporadny formalnie. Uważam przy tym, że koniecznością naszą jest tzw. przeakcentowanie sprawy, choć nie jest to pogląd popularny w środowisku filmowym. Mamy jednak zbyt dużo filmów, które się ładnie kleją i nic z tego nie wynika. Tymczasem trzeba na roboczo przeakcentować sprawę, żądać od debiutantów, by mieli coś do powiedzenia, a nie tylko umieli tworzyć ładny kalejdoskop obrazków. To jest konieczne, gdy chcemy robić film współczesny. Sytuacja nasza jest przy tym dziś bardzo ciężka. Nie mamy, poza tzw. literaturą wiejską, wielkiej literatury współczesnej. Literaci nie zajmują się tym, co by film interesowało — grzebią się w jaźni i rozpaczy na dnie. To zaś nie są narzędzia, którymi możemy badać naszą rzeczywistość i jej perspektywy. Nie uważam, też, że filmy już w Zespole zrealizowane są wyrazem ideału, o który nam chodzi. Będziemy go dopiero kształtować. Musi nas zatem obowiązywać cierpliwość.

— Gdzie zatem szukać tych tematów, które były prezentacją postaw, które Was interesują?

— Mówiłem o cierpliwości. Szukamy tych tematów w literaturze, czekamy i otrzymujemy już scenariusze autorskie. Sięgać będziemy do pamiętników i reportaży, czasem do improwizacji, tak jak to zrobił na przykład już Krzysztof Wojciechowski.

— Właśnie „Rodzina" Krzysztofa Wojciechowskiego jest filmem, który à rebours potwierdza mój niepokój zawarty w pytaniu o szansę sukcesu debiutów, w których nie zawsze jakość treści i formy idą w parze. Sukces „Rodziny" jest bowiem bezsporny dlatego, że łączy się w tym filmie głęboka świadomość celu i określona postawa wobec człowieka z autentycznym filmowym talentem.

— Uważam, że „Rodzina" jest punktem wyjścia a nie dojścia. Byłoby teraz niezwykle interesujące, gdyby Wojciechowski swoje doświadczenie wykorzystał w realizacji filmu fabularnego. Proszę przy tym zwrócić uwagę, że ludzie mego Zespołu to w ogromnej mierze dokumentaliści, bowiem wierzę, że oni mają większą szansę dotrzeć do autentyzmu naszej rzeczywistości.

— Przypomnijmy Czytelnikom członków Zespołu „Profil".

— Proszę bardzo. Są to: Grzegorz Królikiewicz, Krzysztof Wojciechowski, Ryszard Filipski, Waldemar Podgórski, Ryszard Ber, Roman Wionczek, Krzysztof Gradowski, Janusz Kidawa, Jan Budkiewicz, Wacław Florkowski, Ryszard Rydzewski, Hubert Drapella, Witold Leszczyński, Bohdan Dziworski, Ignacy Gogolewski.

— Czy wszyscy ci realizatorzy pracują już nad filmami bądź scenariuszami?

— Oczywiście tak, większość — nad filmami. Poza czterema filmami, które pokazaliśmy w przeglądzie, w mocno zaawansowanej realizacji mamy kilka. Mój film pt. „Gdzie woda czysta i trawa zielona" — film o ostrzu publicystycznym, film o moralności partyjnej, o przystawaniu idei do praktyki, o współodpowiedzialności ludzi rządzących i rządzonych. Dalej film Grzegorza Królikiewicza według powieści „Tańczący jastrząb" Juliana Kawalca. Wszystko zapowiada, że będzie to naprawdę wielki film. Realizowane też są dwa następne debiuty. Stanisław Brejdygant, reżyser teatralny, przygotowuje według własnego scenariusza psychologiczny film pt. „Zakręt" — historię obrachunku z własnym życiem człowieka zajmującego stanowisko dyrektora wielkiej budowy. W realizacji znajduje się też film dwóch absolwentów PWSFTviT — Lecha Majewskiego i Krzysztofa Sowińskiego pt. „Zwiastowanie". Film ten zrodził się bardzo ciekawie. Po dokumentacji dokonanej na terenie Bełchatowa złożyli oni w naszym Zespole szkic scenariusza, do jego napisania zaprosiliśmy Juliana Kawalca. Ta poetycka opowieść o umieraniu starego i rodzeniu się nowego jest już w realizacji. Wszystkie te cztery filmy chcielibyśmy pokazać na kolejnym, drugim przeglądzie prac naszego Zespołu.

Przygotowujemy się do podjęcia realizacji filmu „Małpi gaj" według Andrzeja Makowieckiego, a w reżyserii Bogdana Dziworskiego, „Odpowiednia chwila", Ryszarda Filipskiego i „Antyki" Krzysztofa Wojciechowskiego. Mamy zatwierdzony scenariusz filmu według powieści Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz", który najprawdopodobniej reżyserować będzie Stanisław Brejdygant oraz scenariusz filmu „Hamlet 2" Bohdana Drozdowskiego, który jest próbą spojrzenia na „Hamleta" przez pryzmat pomysłu Stanisława Wyspiańskiego. Realizacja tego filmu jest moim marzeniem.

Przygotowujemy też dwa filmy — „parowozy" dla naszego Zespołu — — „Sekret Enigmy" według Strumph-Wojtkiewicza w reżyserii Romana Wionczka i „Rzeczpospolita na rozdrożu" — wielką panoramę historyczną Złotego Wieku. Przygotowujemy też serial telewizyjny „Sztafeta" — film o ratowaniu dzieł sztuki w okresie II wojny światowej. Dla TVP zrealizowaliśmy „Latarnika" w reżyserii Zygmunta Skoniecznego, przygotowujemy też filmy następne, w tym jeden w kooprodukcji z telewizją NRD wg utworu Anny Seghers „Córka delegatki".

— Ile filmów rocznie ma szansę zrobić Zespół?

Teoretycznie pięć. Startując przed półtora rokiem od zera, dziś jesteśmy pod względem produkcyjnego rozmachu na drugim — trzecim miejscu.

— Czy dotychczasowe doświadczenia potwierdziły ową sformułowaną, społeczną potrzebę powołania Zespołu w Łodzi? Czy okoliczności jego istnienia tutaj określają tryb pracy, możliwości, dobór ludzi?

— Jesteśmy oczywiście na początkowym etapie naszej drogi i trudno ją jeszcze w pełni oceniać. Dziś jestem już zadowolony z tego, że jeśli przed trzema laty przypadał w naszej kinematografii jeden debiut na rok, to w tym roku było ich siedem, z tego pięć — w „Profilu". Powstanie naszego Zespołu i preferowanie debiutantów wpłynęło na pewną konkurencję w tej sprawie, ale i wzbudziło w środowisku pewien niepokój. Zadowolony jestem, że filmy, które już zrealizowaliśmy świadczą, że debiutanci mogą robić następne filmy.

To, że Zespół „Profil" jest w Łodzi, sprzyja realizacji naszego programu. Nie ma tu tego salonu artystycznego, którego nie cierpię. Tu mówi się pewne rzeczy prościej, a my tę prostotę musimy odnaleźć. Zespół nasz, podobnie jak „Silesia", potwierdza rację decentralizacji naszej kinematografii. Stosunek władz partyjnych i miejskich do nas jest taki, o jakim nie można by marzyć w Warszawie. Spotykamy się z ogromną troską o rozwój naszego Zespołu. Jest to nawet trochę żenujące, bo dało nam kredyt zaufania na wyrost, ale to zobowiązuje.

— A jak wygląda problem integracji Zespołu „Profil" ze środowiskami twórczymi Łodzi?

— W kierownictwie Zespołu znajduje się rektor PWSFTviT, Stanisław Kuszewski i prezes łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz naczelny redaktor „Odgłosów", Jerzy Wawrzak. To chyba już wiele mówi. Wraz z Wydziałem Kultury Urzędu Miasta i „Głosem Robotniczym" ogłosiliśmy konkurs na scenariusz, na jego plon bardzo liczymy. Łódzki Ośrodek TVP zaproponował członkom Zespołu realizację kilkunastu programów w roku. Jakie to ma znaczenie dla naszych realizatorów — nie muszę chyba mówić. Liczę też, że uda się naszym reżyserom wejść do łódzkich teatrów. Wciągamy też do współpracy z Zespołem łódzkich literatów, kompozytorów i plastyków. Ogłosiliśmy na przykład konkurs na winietę naszego Zespołu. Ściśle współpracujemy w Wytwórnią Filmów Oświatowych i z „Semaforem". Korzystamy z ich studia, ale i z ich realizatorów. Troska władz łódzkich o to, byśmy się w środowisko twórcze tego miasta wtopili, jest duża, my zaś dajemy temu wyraz w działaniu. Dowodem tego jest także zorganizowany obecnie przegląd naszych filmów. Są to wszystko sprawy, które nas bardzo zobowiązują i chcemy się jak najlepiej z nich wypłacić.

Rozmawiała:
EWA NURCZYŃSKA

TEATR

Paweł Tomaszewski

bez kurtyny

Widownia pogrążona w półmroku. Fotele nakryte pokrowcami. Dwa reflektory oświetlają scenę pozbawioną dekoracji. Kurtyna podniesiona.

Przed pierwszym rzędem stoi niewielki stolik, a na nim: lampa, egzemplarz scenariusza, popielniczka i butelka pepsi-coli. Wchodzi **Roman Kłosowski.**

— Pani Krysiu — woła — **zaczynamy!**

Inspicjentka, **Krystyna Sabara** wzywa przez głośniki aktorów na scenę. Maszyniści ustawiają na scenie prowizoryczne dekoracje: kawałki ścian ze sklejki, okno z celuloidowymi szybami, drzwi, ławę, stół.

— Czy wszyscy do sceny przesłuchania już są? — pyta reżyser. — Andrzej? Bogdan? A gdzie Zyga? Dobra! Zaczynamy.

Andrzej Łągwa gra rolę „Mrocznego", **Bogdan Sobiesiak** rolę „Starego", **Zygmunt Malanowicz** — kapitana Zyberta. Jeszcze są rozluźnieni. Wchodzą na scenę.

— Więc tak: ty, Andrzej, wchodzisz tędy, potem siadasz. Bogdan, ty stoisz tu. Dobra! Nie, dwa kroki do przodu, o tu. Pokazujesz mu ruchem ręki taboret. Dwa razy. Pamiętaj, Andrzej, jesteś na przesłuchaniu, pierwszy dzień w oddziale, nie boisz się, ale nie wiesz też, co z tobą zrobią. Siadasz dopiero, gdy Bogdan pokaże ci drugi raz miejsce. Gdzie stoi taboret? Dobra. Bogdan, ty z lewej strony... aha, gdy wchodzi „Mroczny", na taborecie siedzi „Wołk" (gra go Mieczysław Szargan), **to on przecież był przedtem przesłuchiwany. Tego nie ma w scenariuszu, ale widzowie powinni wiedzieć, że odbyło się to przed wejściem Andrzeja. Trzeba im to zasugerować. Proszę, od tego zaczynamy.**

„Mroczny" siada na taborecie, odpowiada na pytania dowódcy brygady.

Reżyser krzywi się:

— Nie graj mi tego. To jest udawane. Mów ten tekst zupełnie „na biało". Nic nie przeżywasz, relacjonujesz tylko, spokojnie. No, proszę, jeszcze raz.

Powtórka sceny.

— Po co te gesty? Zapomnij, że grasz „Mrocznego". Na taborecie siedzi Łągwa i odpowiada na pytanie Sobiesiaka. Zrób to normalnie, po ludzku.

Powtórka.

— A gdybyś tak wstał w momencie, jak mówisz swoje imię i nazwisko. No, zagrajmy ten temat.

Powtórka.

— A ty, Bogdan, jak ci Andrzej wstaje, klepnij go lekko po ramieniu, niech usiądzie z powrotem. Przecież musisz na jego ruch zareagować.

Powtórka.

— Bogdan, chłopie! nie wyprzedzaj tego, co się dopiero stanie. Przecież on jeszcze nie wstał, a ty już się szykujesz. Wytrzymaj to.

Przerwa.

2.

— Słuchaj, Bogdan, a gdybyś tak, jak „Wołk" mówi ci o zniszczeniu pancerki, poszedł sobie do drzwi. Najpierw słuchasz go, dwa-trzy zdania, nagle odwracasz się, idziesz do drzwi. Nie możesz stać jak cztery litery, musisz ograć jakoś Szargana, bo sytuacja robi się drętwa.

— Nie! — krzyczy reżyser — **nie tak, i niepotrzebnie tak lecisz z tym tekstem. Patrz, to jest tak, jak ty robisz...** i reżyser Kłosowski zmienia się błyskawicznie w aktora Kłosowskiego, zajmuje miejsce Szargana i gra. Właściwie nie tyle gra, co improwizuje. Nie zna tekstu — nic nie szkodzi. Tu ważny jest ruch sceniczny, mimika, sposób mówienia. **— No, dzieci** — zwraca się do wszystkich obecnych — **tak lepiej?**

Roman Kłosowski schodzi ze sceny. Zapala papierosa. Siada w fotelu. Nie należy on do grupy reżyserów-tyranów, chętnie słucha propozycji aktorów i asystentki, ale ma przecież swoją własną koncepcję widowiska. Tej koncepcji wszystko inne musi być podporządkowane.

3.

Rozmowy aktorów.

— Zupełnie nie wiem, co zrobić z rękami, jak się poruszać.

— Bo to jest źle napisana rola. Jedyna dobra, to rola Bołdyna. Wszystkie inne są blade.

— Nie przesadzaj.

— Jak to czytałem, to dziwiłem się, jak można to zaadaptować na scenę.

— Przecież to zupełnie coś innego niż powieść. A poza tym to nie jest ot, tak, zwyczajnie o wojnie, o partyzantach. W tym jest coś ponadczasowego...

— Miejmy nadzieję, że na „Bołdyna" przyjdą ci, co nie czytali powieści.

— Nie. Przyjdą i ci, co czytali, żeby się przekonać, jak to jest zrobione.

4.

Po przerwie. Reżyser wyznacza aktorom miejsca za stołem. Ciągle coś jest nie tak.

— Nie możemy tak siedzieć. Jest za ciasno, nie mamy tu co grać.

— Tak, to bardzo przypomina scenę ze „Słonia".

— Bardziej przypomina to ostatnią wieczerzę.

Śmiech.

5.

Pierwszemu aktowi „Bołdyna" poświęcono miesiąc pracy. Każdą sytuację trzeba było powtórzyć kilkanaście razy. Aż do znudzenia. Czasami było kilka propozycji rozegrania danej sceny i wtedy trzeba było wybierać. Reżyser musiał decydować o ostatecznym kształcie przedstawienia. Oglądając gotowy już spektakl, widzimy tylko jedną, najlepszą z reguły wersję sztuki, a na próbach powstaje takich wersji parę. Każdą scenę można bowiem zagrać na wiele sposobów i dopiero wtedy widać, jak niektóre z nich są fałszywe, nienaturalne. A trzeba przy tym pamiętać o zmianach świateł, których jeszcze nie ma, a które przecież odgrywają istotną rolę w gotowym już spektaklu. O muzyce, którą dopiero komponował Bogdan Pawłowski, zaglądający często na próby, jak również i o innych efektach akustycznych, które aktor musi uwzględnić w swoim zachowaniu się na scenie, a które w czasie prób mógł sobie tylko wyobrazić.

Moment rozmowy Procnala (**Mirosław Szonert**) z Krupickim (**Bogdan Wiśniewski**). Są sami na scenie i w pewnej chwili obaj słyszą warkot niemieckiego samolotu. Warkot naśladuje asystentka reżysera — **Romana Kamińska.** Aktorzy muszą spojrzeć do góry, po czym rozbiegają się przestraszeni.

Albo inna scena. Spotkanie „Mrocznego" z Danutą. Rolę Danuty grają na zmianę: **Julitta Sękiewicz** i **Magdalena Cwenówna** — młode aktorki, stawiające dopiero swe pierwsze kroki w teatrze. Danuta, mówiąc: **„Chodźmy stąd, wiesz, szwendają się tu..."** — powinna sugerować, że czuje gdzieś w pobliżu czyjąś niepożądaną obecność. **Julitta Sękiewicz** nie bardzo mogła sobie poradzić z tym, zdawałoby się zupełnie prostym, zadaniem aktorskim. Na jednej z prób, aby ułatwić jej zagranie tego epizodu, reżyser w odpowiednim momencie tupie nogą w podłogę. Młoda aktorka podświadomie reaguje na ten bodziec i, zdradzając jednocześnie zaniepokojenie i zaciekawienie, rozgląda się wokół. Odruch jest zupełnie naturalny. O to chodziło. Przy powtarzaniu tej sceny wystarczyło tylko odtworzyć takie zachowanie.

Próby trwają zwykle do godziny drugiej. Potem kilka godzin na załatwienie spraw osobistych, zjedzenie obiadu, odpoczynek, a wieczorem — znów do teatru. Wielu aktorów biorących udział w próbach do „Bołdyna" gra przecież w „Turoniu", „Szwejku" i „Centku". Inni mają oprócz tego próby w telewizji, grają w filmie, pracują przy dubingowaniu seriali.

6.

Projekt scenografii do „Bołdyna" Przygotował **Jan Banucha,** stale współpracujący z Teatrem Powszechnym. Większa część akcji odbywać się będzie w partyzanckiej ziemiance, jej wnętrze zatem trzeba będzie odtworzyć na scenie. A skoro ziemianka, partyzanci i Białoruś (tam bowiem działa zgrupowanie samozwańczego generała Bołdyna), to oczywiście i brzoza, jako podstawowy budulec.

Ale z czego zrobić dekoracje? Obliczono, że gdyby ściany ziemianki wykonać z pełnych brzozowych pni, to cała dekoracja ważyłaby, bagatelka.... około 5 ton. Zdecydowano, że jednak brzoza, tyle tylko, że nie całe bale, a przybite do specjalnych ram tartaczne obrzynki z korą na wierzchu. I tu znów szybkie obliczenia — potrzeba około 8 metrów sześciennych świeżo ściętej brzozy. Skąd wziąć tyle drewna? Po wielu staraniach udaje się uzyskać zgodę w Nadleśnictwie w Żakowicach koło Koluszek na wycięcie potrzebnej ilości drzew. Ale kto to ma zrobić? Kto ma odwieźć drzewo do tartaku, a potem przywieźć deski do Łodzi?

Mnożą się trudności. Kierownik techniczny teatru — **Ireneusz Kubacki** dwoi się i troi, by wszystko na czas załatwić. Z głębi lasu na przejezdną drogę wciągał brzozowe pnie najęty razem z koniem rolnik. Do transportu drewna do tartaku wynajęto ciągnik z kierowcą z Kółka Rolniczego w Skrzynkach koło Ujazdu. Ładowali zaś na przyczepy pracownicy techniczni Teatru Powszechnego, choć nie leżało to w zakresie ich obowiązków zawodowych. Mogli odmówić, krzywić się, ale oni kochają swój teatr i wiedzą, że na takie poświęcenia muszą być zawsze przygotowani.

Dosyć długo szukano odpowiednich mundurów, niestety bez skutku. Nie pomagały starania oficjalne, ani znajomości. Wreszcie, zupełnie przypadkiem wydało się, że w studium wojskowym łódzkiej Akademii Medycznej jest trochę starych mundurów, które właśnie zamierzano wyrzucić. Były w sam raz. Oczywiście nie rozwiązuje to w pełni problemu — część mundurów i tak trzeba było uszyć, inne poprawić. Pozostawały do zrobienia buty oraz różne drobne rekwizyty. Ponadto trzeba było skądś wypożyczyć broń. Można, co prawda, zrobić karabiny z drewna — stolarze doskonale to potrafią — ale aktorzy wolą autentyczne. Lepiej im się gra.

Były też kłopoty z... butelkami, tyle że nie po piwie, a po wódce. Z butelkami, jakie były w użyciu w Polsce w latach 40-tych — litrowymi z cienkimi szyjkami. Niejeden strych i niejedna piwnica zostały przewrócone do góry nogami, nim nazbierano całą skrzynkę takich butelek. Ale czegóż się nie robi dla sztuki?

7.

Urzekła mnie w czasie obserwowania narodzin scenicznego „Bołdyna" atmosfera teatru. Nie tego wieczornego, uroczystego, z podnoszącą się i opadającą kurtyną, z oklaskami widzów, ale tego teatru przedpołudniowego — bez kurtyny i oklasków. Jest w tej atmosferze coś fascynującego.

Alicja Sarnat

człowiek z kwiatem w ustach

Teatr im. Stefana Jaracza gra właśnie sztukę Pera Olova Enquista pt. „Noc Trybad", która robi karierę na świecie. Nie schodzi z afisza na Broadwayu, w Polsce będzie grana w pięciu teatrach, a po raz pierwszy właśnie w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi.

Trwały właśnie próby **„Protokółu pewnego zebrania".** Na jedną z nich zaproszono kolporterów, którzy sprzedają bilety na przedstawienia. Oglądając sztukę reagowali żywo i widać było, że znajdowali w niej problemy sobie bliskie. A więc stawanie się teatru. Jego tworzenie. Przypatrzmy się tym, którzy go tworzą. Posłuchajmy, co mówią.

U FRYZJERÓW

— W październiku mamy zawsze więcej pracy. Wznawiane są sztuki sprzed wakacji, trzeba poprawić peruki. Przed każdym przedstawieniem je odświeżyć. Muszą wyglądać jak prawdziwa fryzura. Przygotowujemy trzy nowe premiery, a do jednej tylko są potrzebne aż cztery nowe, duże peruki. Duże peruki tzn. peruki na całą głowę. Oprócz tego robimy jeszcze tresy z długich włosów, dopina się je z tyłu głowy, i małe peruki tzw. tupety. Tupet musi harmonizować z naturalnym kolorem włosów, bo aktor nakłada taką peruczkę na czubek głowy, a z tyłu i z boków widoczne są jego własne włosy.

Zawsze ktoś z naszej pracowni musi być obecny na próbie generalnej, bo wtedy, kiedy aktor zaczyna poruszać się na scenie, widać dopiero, czy peruka jest dobra — czy się nie zsuwa, czy ułożone loki nie rozlatują się. Wtedy trzeba poprawiać, przycinać, nadawać ostateczny kształt. Najwięcej pracy jest przy sztukach kostiumowych. Nie wszyscy używają peruk. Na przykład aktorki często mają własne długie włosy. Wtedy czeszemy przed każdym przedstawieniem. Pracujemy rano i wieczorem.

U SZEWCÓW

— Niektóre buty wystarczy przemalować, ale większość trzeba wykonać na nowo. Buty muszą być wygodne. To nie są buty do chodzenia! W nich trzeba grać! Wysokie buty nie mogą się zsuwać; cholewka musi leżeć, jak ulał. Wszystkie buty robione są ze skóry. Muszą być zgodne z epoką. Na przykład w „Nocy Trybad" aktorki mają buty z cholewkami, takie, jakie nosiły kobiety w XIX wieku. I chociaż aktorki grają w długich sukniach i buty są mało widoczne, są zrobione zgodnie z modą danej epoki. Po pierwsze pomaga to aktorom, jeśli kostium jest autentyczny, po drugie aktorki w czasie przedstawienia siadają, zakładają nogę na nogę i wtedy brak obuwia zgodnego z kostiumem po prostu raziłby.

TEN KOLOR NIE WYJDZIE

Jest w teatrze człowiek, którego wszyscy nazywają **„człowiek z kwiatem w ustach".** Malutki staruszek, ubrany w szary kombinezon, w czarnym berecie, naciśniętym na głowę. Wygląda bardzo niepozornie, trochę jak robotnik budowlany. To farbiarz. Nosi w ustach kolorowe paseczki materiału, jak krawiec szpilki. Te paseczki, to próbki kolorów. Często wybiega ze swojej pracowni na światło dzienne i porównuje próbki z otrzymanymi kolorami materii. Farbowanie jest w teatrze konieczne, nie zawsze można kupić materiał w takim kolorze, jaki życzy sobie scenograf.

Spotkałam go na korytarzu w budynku administracji, kiedy zaaferowany biegał w poszukiwaniu jakiegoś pana X. Zaczepił mnie:

— Niech pani spojrzy. Ten kolor tu nie wyjdzie! To jest wełna. Farba tego nie weźmie!

Nie umiałam mu nic poradzić i pobiegł dalej. Pracuje już w teatrze wiele lat. Obecnie na pół etatu, bo nie chce iść na emeryturę.

ABY KOSTIUM BYŁ JAK SKÓRA

Krawcy też pracują nie tylko w swojej pracowni. Na dzień przed próbą generalną odbywa się przegląd kostiumów. Dotąd aktorzy „próbowali" albo bez kostiumu, albo tylko w jakiejś jego części. Na przykład, gdy aktor ma występować we fraku, musi dostać go wcześniej niż na pierwszej generalnej, aby się przyzwyczaić do sposobu poruszania, siadania w nim itp. Nie zawsze jest to od razu „jego" frak. Czasem „próbuje" w jakimś starym, z innej sztuki. Aktorki, gdy mają grać w długich sukniach, na próbach występują w płóciennych halkach, sięgających od pasa do ziemi, suto marszczonych, z falbaną u dołu.

Na pierwszej generalnej wszyscy aktorzy grają w kompletnych kostiumach. Obecność krawca jest wtedy konieczna. Co prawda, dzień wcześniej aktorzy przymierzali kostiumy i zostały wprowadzone poprawki, ale teraz, kiedy zaczynają poruszać się na scenie, zgodnie z wymaganiami sztuki, ujawniają się nowe braki.

Aktorzy nie są najłatwiejszymi klientami. Oni muszą grać. Nie mogą myśleć podczas gry o kostiumie. Nic nie może uwierać, marszczyć się. Kostium musi być jak własna skóra!

— Nie mogę tak chodzić! Dół zaczepia mi się o sandały.

I krawiec ucina pół centymetra materii.

— Usiądź, zobaczymy, jak się ułoży —mówi reżyser. **— No, tak... Wie pan, panie Wacławie, chyba trzeba podkleić cały tył, ten tren musi być sztywny.**

— Te rękawice są do niczego! Nie mogę w nich pracować, mam całe ręce spocone. Poza tym są za grube. Muszę cały czas operować laską. Nie mogłyby być z jedwabiu?

Każdy kostium jest wypracowany do najdrobniejszego szczegółu. Nie wystarczy uszyć rękawy-bufy, trzeba je odpowiednio usztywnić, aby podczas gry na scenie nie oklapły. Takie usztywnienie, to cała misterna konstrukcja.

AKTOR JEST CHORY

Jutro premiera. Aktorka ma grypę. Czerwony nos, załzawione oczy, zawroty głowy, kompletnie zachrypła. Ostatnia próba generalna. Aktorka „chodzi w sytuacjach", tzn. markuje grę prawie nie mówiąc tekstu, aby jej koledzy mogli „próbować". Czy wyzdrowieje do jutra?

Nazajutrz rano wszyscy nerwowo dopytują się o jej zdrowie. Martwi się dyrektor, reżyser, koledzy, portierzy, bileterki.

— Podobno czuje się lepiej. Może mówić, wieczorem będzie grać!

Inna próba. Któraś z kolei, nawet nie generalna. Aktor ma zapalenie węzłów chłonnych. Nie może poruszać głową, przy każdym słowie okropny ból w gardle. Ma zwolnienie lekarskie, ale wstał z łóżka i jest na próbie. Ma jedną z głównych ról, bez niego jego koledzy nie mogliby „próbować". Mija czwarta godzina próby...

Reżyser: **— Panie Jurku, musi pan ostrzej, wtedy oni też lepiej wchodzą w konflikt. Proszę spróbować jeszcze raz!**

Dałby mu spokój — myślę sobie — przecież wie, że chłopak chory.

Ale przedstawienie jest sztuką kolektywną...

PRZED PREMIERĄ

Przed każdą premierą wszyscy, począwszy od dyrektora, a skończywszy na portierze, są szalenie zdenerwowani. Drukarnia nie odbiła programów, a na premierze będą goście, prasa nie tylko z Łodzi...

Z portierami to nie przesada. Portierzy w teatrze są chyba jedynymi portierami na świecie, którzy doskonale wiedzą, co się dzieje w ich instytucji, gdzie kogo można znaleźć: w garderobie, w bufecie, na próbie.

Teatr to naprawdę sztuka kolektywna.

Wieczorem na długo przed tym, zanim państwo wyjdą z domu, wszyscy są już na swoich miejscach. A przecież tego samego dnia rano mieli cztery godziny próby, cztery godziny ciężkiej pracy w światłach reflektorów, wieczorem o dziewiętnastej spektakl, reflektory o wiele silniejsze. Bardzo często chorują na zapalenie spojówek. Niektórzy po próbie pędzą na obiad i grają jeszcze popołudniówkę, o godzinie szesnastej. „Szaleństwa panny Ewy" były na początku grane w każdą niedzielę trzy razy. Przedstawienie jest niezwykle dynamiczne, dużo biegania, skoki, gonitwy. Trzy przedstawienia w ciągu jednego dnia, to ciężka praca, a co dopiero takie trzy przedstawienia.

Oto, dlaczego idąc do teatru, powinno się wkładać odświętne ubranie. To nie jest mieszczański przesąd. W ten sposób możemy wyrazić szacunek dla tych wszystkich, dla których każde spotkanie z nami to święto.

NAJGROŹNIEJSZY: WIRUS GRYPY

Fot. Archiwum

WIRUS. W odwiecznej walce człowieka z tą najmniejszą cząsteczką żywej materii, ledwie widoczną pod elektronowym mikroskopem, tylko wirus grypy wciąż nie daje się ujarzmić. W ostatnim stuleciu medycynie udało się wziąć pod kontrolę niemal wszystkie groźne choroby epidemiczne, które przez wieki dziesiątkowały ludzkość. Medycyna zwyciężyła dżumę, z powodzeniem zwalcza cholerę, żółtą febrę, ospę, malarię, chorobę Heinego-Medina. Tylko grypa drwi sobie z wirusologów...

Czterdzieści lat po wykryciu czynnika zakaźnego choroby i trzydzieści lat po otrzymaniu surowicy przeciwgrypowej, grypa nadal pozostaje jedyną chorobą infekcyjną, która okresowo obiega świat, jakby medycyna w ogóle nie istniała.

Od 1510 roku, aż po dzień dzisiejszy pandemie grypy ogarniały świat 35 razy! **Najbardziej pustosząca** pandemia rozpoczęła się w **kwietniu 1918 roku** wśród żołnierzy amerykańskich, stacjonujących w zachodniej Francji, niedaleko Brestu. Przypuszcza się, że chorobę zawlekli do Francji chińscy robotnicy. Do końca wiosny grypa opanowała większą część terytorium Europy, w lipcu przerzuciła się do Indii i Nowej Zelandii, a we wrześniu — do Południowej Afryki Nieco później, w końcu września, pierwsze przypadki grypy zanotowano po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, w Bostonie.

Ale epidemia grypy nie zakończyła się bynajmniej na tym. Jesienią tegoż roku wybuchła z nową siłą i błyskawicznie osaczyła świat, atakując praktycznie każdy zamieszkały zakątek kuli ziemskiej, z wyjątkiem wyspy św. Heleny i Nowej Gwinei. Później, w **lutym i marcu 1919 roku**, trzecia — tym razem ostatnia — fala tej grypy zwaliła się na ludzkość. W niektórych krajach ludzie, którzy przechorowali grypę podczas jej pierwszego lub drugiego ataku, opierali się nowej fali choroby, lecz w skali masowej już przebyta grypa nie chroniła od powtórnego zachorowania. Gwałtowna pandemia trwała 14 miesięcy, atakując około pół miliarda ludzi i powodując **śmierć ponad 20 milionów osób.** Nie miała sobie podobnych w długiej historii ludzkości.

Zupełnie przypadkiem odkryto, że świnie w okolicy Fort Dodge (Stan Iowa) w USA po raz pierwszy zapadły na chorobę podejrzanie przypominającą grypę, na którą chorowali ludzie. Choroba rozprzestrzeniała się niewiarygodnie szybko i w ostatnich miesiącach 1918 roku chorowały już na nią miliony świń. Weterynarz, J. Cohen, nazwał tę chorobę grypą. Jego diagnoza potwierdziła się dwanaście lat później.

2.

WIRUS, który wywołuje epidemie grypy w swojej najbardziej infekcyjnej formie jest ciałkiem kulistym, pokrytym na całej swej powierzchni — nazwijmy to umownie — drobniutkimi „kolcami". One to wchodzą w receptory zewnętrznych powłok komórek zwierząt, w tej liczbie także człowieka, i mocno przylegają do ich powierzchni. Jest to pierwsza faza infekcji. Następnie wewnętrzne jądro wirusa, zawierające jego genom (jednostka dziedzicznej informacji) przenika przez powłokę komórki. Znalazłszy się w jej wnętrzu, jądro wirusa zaczyna kierować montowaniem nowych wirusów.

Wirusy grypy mogą się rozmnażać tylko w żywych komórkach i tylko określone komórki nadają się do tego celu. Najczęściej atakują one komórki wyścielające drogi oddechowe: od jamy nosowo-gardłowej do płuc.

Z początku wirusy grypy atakują tylko kilka komórek, a następnie, po upływie każdych 6 godzin liczba wirusów zwiększa się stokrotnie i, oczywiście, w związku z tym atakują one w bardzo szybkim tempie coraz więcej komórek. 48 godzin po przeniknięciu wirusa do organizmu ludzkiego zaczynają występować znane nam symptomy grypy.

3.

Zaatakowane komórki dróg oddechowych zareagowały na wtargnięcie wirusów wytworzeniem czynnika zwanego **INTERFERONEM**, który zahamował rozmnażanie się i chorobotwórcze działania zjadliwego wirusa. Niemal równocześnie z wydzieleniem interferonu inne komórki obronnego systemu organizmu zaczynają wytwarzać antyciała, specjalnie przystosowane do przywierania do „kolców", umieszczonych na powierzchni wirusa. W ten sposób komórki bronią się przed atakiem czynnika choroby. W dalszym ciągu tego procesu wewnętrzny system obronny organizmu ludzkiego „alarmuje" inne komórki, które atakują osłabionego już wirusa i niszczą go.

Po chorobie wytwarza się odporność na grypę, lecz jest ona tylko częściowa. Zaczyna ona słabnąć już po upływie kilku miesięcy od przebytej choroby i zazwyczaj przestaje działać całkowicie po dwóch latach. Szczepionka ochronna, zawierająca osłabiony wirus grypy, wytwarza także tylko krótkotrwałą odporność. Natomiast wirus grypy posiada podstępną właściwość zwalczania odporności organizmu zarówno naturalnej, jak i wytworzonej drogą szczepień ochronnych.

Warto odnotować, iż właściwości powierzchni wirusa grypy mogą się zmieniać nawet kilkakrotnie podczas jednej epidemii, przekształcając w ten sposób zarazek grypy w „kameleona nr 1" wśród wszystkich innych wirusów, a także w jednego z najgroźniejszych wrogów ludzkości.

W czasie rozmnażania się wirusa w komórkach organizmów żywych, głębokiej modyfikacji ulegają jego genomy i w wyniku licznych kombinacji połączeń wirusów może się pojawić nowy szczep wirusów, których powierzchnie różnią się od „rodzicielskich". Zmodyfikowany w ten sposób wirus jest nie do poznania i może przeniknąć niepostrzeżenie do organizmu ludzkiego, omijając jego system obronny, uodporniony — drogą szczepienia lub w wyniku już przebytej choroby — na grypę wirusa „ojca".

Tak właśnie zdarzyło się w początkach kwietnia 1967 roku, kiedy uczeni w Hongkongu wyodrębnili, od ludzi zakażonych grypą, zupełnie inny od innych i nieznany przedtem szczep wirusa. I tak pojawił się nowy wirus, przeciwko któremu nikt na świecie nie był uodporniony. W tej sytuacji wybuch nowej pandemii grypy był tylko kwestią czasu.

4.

Grupy lekarzy w ponad 100 laboratoriach świata prowadzą wspólne badania i poszukiwania tajemniczego zarazka, który wywołuje wciąż nowe epidemie grypy Uczeni wiedzą, jak on wygląda, gdzie może się pojawić najpierw, jak się rozprzestrzenia i jaki jest jego wpływ na organizm ludzki. Niemniej nie są bynajmniej przekonani, że uda im się kiedykolwiek ująć go w karby

W ostatnim półwieczu zapobiegano z powodzeniem niebezpieczeństwu epidemii takich chorób jak dżuma, tyfus plamisty ospa, żółta febra. W tym samym czasie wirus grypy trzykrotnie wywołał globalne pandemie i mnóstwo mniej groźnych wybuchów. Jest to jedyny znany wirus, wciąż jeszcze wywołujący epidemie, których nie można wziąć pod kontrolę.

Szczególne zaniepokojenie wzbudza fakt, iż epidemia grypy może wybuchnąć w każdej chwili. Nowe, infekcyjne formy wirusa, tzw. mutanty, przeciwko którym nikt nie jest uodporniony, pojawiają się co kilka lat. Co roku wirus grypy ulega częściowej zmianie i wywołuje niegroźne lokalne ogniska grypy. Następnie, periodycznie co dwa lub trzy lata, następuje mutacja wirusa i zaczyna się nowa epidemia. Te cykliczne przemiany wirusa już same w sobie są bardzo niebezpieczne. Ale mniej więcej raz na 10 lat powstaje mutant wybitnie różniący się od swoich poprzedników. Ten nowy zarazek wywołuje globalną epidemię **— pandemię.**

5.

Następna całkowita przebudowa wirusa grypy powinna nastąpić w 1978 roku. Wydaje się, iż wirusy te bardzo skrupulatnie przestrzegają określonej cykliczności. To, co wydarzyło się na wiosnę 1973 roku w Port-Chalmers, w Nowej Zelandii, można uważać za stosunkowo lekki wariant, ale i taka nawet modyfikacja wirusa wykazała zwiększone niebezpieczeństwo wywołania epidemii. Z lekka zmodyfikowany wirus stał się przyczyną milionów zachorowań.

Latem 1973 roku jedno z 70 specjalnych laboratoriów Światowej Organizacji Zdrowia odnotowało, iż epidemia grypy w Port-Chalmers odznacza się szczególną siłą. Uczeni stwierdzili, że mają do czynienia z nową modyfikacją wirusa. Nazwano go: A/Port-Chalmers/1/73. Latem 1974 roku nowozelandzki wirus rozprzestrzenił się w Australii, w południowo-wschodniej Azji i Południowej Ameryce. Jesienią przedostał się na półkulę północną.

Mutanty wirusa grypy wywołujące epidemie są jednym z najbardziej osobliwych zjawisk w świecie wirusów. Pojawiają się wciąż nowe i nowe mutanty i nikt nie wie, czy kiedykolwiek nastąpi koniec tej wielopostaciowości wirusa grypy. Niektórzy wirusolodzy przypuszczają, że wirus żyje w organizmie ludzkim w czasie sporadycznych wybuchów grypy między epidemiami. Inni sądzą, że wirus znajduje się wewnętrz komórek organizmu ludzkiego w zamaskowanej, nieinfekcyjnej formie. Oba te przypuszczenia nie zostały jednak udowodnione.

6.

Jesienią zazwyczaj gwałtownie zwiększa się liczba chorób przeziębieniowych, co sprzyja masowemu rozpowszechnianiu się grypy. Zdaniem niektórych specjalistów w tym roku, w okresie jesień-zima, należy oczekiwać, szerszego niż zazwyczaj, rozprzestrzenienia się tej choroby, a przy tym w barwie zagrożonych zawałem i zawałowców — jest zdania, iż stress stanowi „wspólny mianownik czynników grożących zawałem". Wśród innych przyczyn zgonów związanych ze stressem często wymienia się wypadki drogowe, jako następstwo obciążenia stressem za kierownicą; marskość wątroby powodowaną spożyciem dużych ilości alkoholu, aby np. rozwiać strach będący konsekwencją sytuacji stressowych; rak płuc i nieżyt oskrzeli, powodowane przez palenie tytoniu i zanieczyszczenie powietrza.

STRESS-CHOROBA XX WIEKU

Fot. Archiwum

STRESS — zjawisko określane często jako nowa choroba stulecia. W społeczeństwach wysoko rozwiniętych niektóre skutki chronicznych stressów psychicznych i emocjonalnych, jak wysokie ciśnienie, wrzody żołądka i dwunastnicy, artretyzm, astma i inne choroby — dawno już zastąpiły epidemie i choroby zakaźne, jako główne problemy medycyny. Na przykład już w 1969 roku około 172 tysiące obywateli USA w wieku poniżej 65 lat zmarło na schorzenia sercowe, a 207 tysięcy Amerykanów, w tej samej grupie wieku, na apopleksję. Te, wynikające ze zbytnich napięć nerwowych, schorzenia są uważane za produkt ery przemysłowej.

Dr **Max Halhuber**, dyrektor kliniki rehabilitacyjnej w Hoehenried (RFN), przez którą w ciągu ostatnich ośmiu lat przewinęło się ponad 38.000 pacjen-

Stress — zjawisko, które badacze uważają za istniejące, pojawia się nie tylko u ludzi, występuje bowiem również u jednokomórkowych pantofelków, u drętw, u których wyzwala ładunek elektryczny o potencjale ok. 300 V, u świni domowej czy dzika itp. Zgodnie z poglądami panującymi w szerokim kręgu specjalistów — stress jest motorem życia i ewolucji. On bowiem miał spowodować, że w wyniku trwającego 2 miliony lat rozwoju z małpy wykształcił się homo sapiens.

Chociaż czynniki wywołujące stress mogą być bardzo różnorodne, zawsze powodują jednakową reakcję biologiczną: **natychmiastową gotowość organizmu do sprostania nagłemu wzrostowi wymagań.** Odkrycia tego dokonał już w 1935 roku kanadyjski lekarz, profesor **Hans Seyle,** uważany za pioniera w dziedzinie badań nad zjawiskiem stressu. Stwierdził on wówczas, iż głód, hałas, strach, ciosy w tył głowy, wstrząsy elektryczne bądź wstrzykiwanie do organizmu pewnych substancji zawsze wywoływało u badanych przezeń zwierząt identyczną „reakcję alarmową". Rozpoczynała się ona każdorazowo błyskawicznym przestawieniem się organizmu w stan zwiększonej gotowości do działania.

Frederic Vester, autor znanej pracy na temat stressu, „Phänomen Stress" tak oto obrazowo przedstawia reakcję alarmową na przykładzie prehistorycznego człowieka:

„Spróbujmy sobie wyobrazić, jak leżąc przed ogniskiem, wypoczywa on przed polowaniem. Nagle słyszy trzask i spostrzega cień zbliżającego się drapieżnego zwierzęcia. Bez chwili namysłu jego ciało reaguje teraz automatycznie i błyskawicznie natychmiastową mobilizacją energii. Bowiem wszelkie zastanawianie się, wszelkie kalkulacje, stanowiłyby marnotrawstwo czasu..."

Reakcja alarmowa przebiega tak, jak gdyby była sterowana przez komputer: w jednym z rejonów międzymózgowia zasygnalizowany zostaje strach i poprzez nerw współczulny pobudzone zostaje gwałtownie nadnercze, które wydziela do układu krwionośnego hormony: adrenalinę i noradrenalinę. Tętno ulega przyśpieszeniu, zwiększa się ciśnienie krwi, napoczęte zostają rezerwy cukru i tłuszczu i przekazane do mięśni, w których działają tak jak zastrzyk glikozy, powodując ich pełną aktywność.

Zarazem następuje wydzielenie innego hormonu z nadnercza: hydrokortyzonu. Wyłączony zostaje proces trawienia i funkcje seksualne, tak, że całkowita energia może być skierowana na spotkanie z niebezpieczeństwem. Czerwone ciałka krwi napełniają arterie, ażeby zapewnić organizmowi więcej tlenu. Wzrasta przy tym nasilenie czynników powodujących krzepliwość krwi, żeby podczas ewentualnego zranienia rany szybciej się zamykały.

„W ten sposób przygotowany, może nasz człowiek z epoki kamiennej — kontynuuje Vester — **bez trudu uciekać, przystąpić do polowania i zdobyć swój łup, lub w mgnieniu oka zniknąć w pieczarze".**

Taka reakcja może również i dziś w niejednym przypadku uratować człowiekowi życie. Często jednak jest daremna: któż bowiem po silnej sytuacji stressowej, wywołanej na przykład domową sprzeczką, przepływa rzekę, czy pod wpływem hałasu ulicznego wdrapuje się na drzewo? Toteż mimo przygotowania organizmu do najwyższego wysiłku, ciało pozostaje na ogół w stanie bezczynnym. Ta mobilizacja energii nie pozostaje bez śladu. Nie wykorzystane „paliwo" zostaje przekształcone w cholesterol i odkłada się w ściankach naczyń krwionośnych, przyśpieszając zwapnienie tętnic. Zmiany w budżecie hormonalnym prowadzą do zakłóceń w układzie wegetatywnym. Skutek jest na ogół znany — obciążenie układu krążenia i wzrost niebezpieczeństwa zawału. Inne następstwa stressu to spadek odporności organizmu i wzrost podatności na infekcje.

O ile jednak człowiek epoki kamiennej narażony był na krótkotrwałe, przejściowe stany alarmowe, które były sytuacjami wyjątkowymi i zawsze po nich następowały fazy wypoczynku i odprężenia, o tyle dziś ludzie są wystawieni na coraz bardziej długotrwały alarm. Podniety stressowe przybrały do tego stopnia na sile i na czasie trwania, że przekraczają możliwości przystosowawcze organizmu ludzkiego. Chociaż po reakcji alarmowej następuje faza dopasowania, a następnie faza odpoczynku, to jednak jeśli stress utrzymuje się ciągle i jest dość silny, dochodzi do stanu wyczerpania, a nawet śmierci na skutek wyczerpania. Śmierć następuje przy tym nie w wyniku skończenia się rezerw energii, lecz raczej wskutek przekroczenia zdolności przystosowawczej organizmu.

Jak ustalili specjaliści praca, która jest przecież biologiczną koniecznością, sama przez się nie wywołuje stressu. Stress występuje natomiast u pracowników, od których żąda się zbyt wiele, albo też gdy praca ma charakter monotonny. Z kolei bezrobocie wywołuje zawsze stress, ponieważ pozbawia człowieka poczucia przydatności społecznej i odbiera życiu sens. Toteż wielu urzędników, którzy po osiągnięciu wieku emerytalnego rozstają się z pracą w pełni sił i zdrowia, choruje potem i przedwcześnie umiera.

Stressem jest poza tym każdy rodzaj frustracji, zwłaszcza, gdy utrzymuje się przez długi okres czasu i gdy związany jest z istnieniem jakiejś hierarchii. Ofiarą stressu staje się przy tym nie ten, kto zajmuje kierownicze stanowisko, lecz przede wszystkim ten, kto bardzo pragnie piąć się w górę. Swe dążenie do zaszczytów opłaca często nieświadomą trwogą i nadmiernym wydzielaniem adrenaliny i noradrenaliny. Szczególnie groźny jest wpływ hierarchii wówczas, gdy nie jest ustalona w sposób trwały. Każda wątpliwość, co do aktualnie zajmowanej pozycji, wywołuje agresję, depresję, trwogę czy nawet rozpacz.

Jest zupełnie oczywiste, iż bliskość obiektu stressu powiększa każdy stress, tak samo jak każdy wymuszony brak komunikacji i bodźców zmysłowych prowadzi do uwarunkowanego stressem cierpienia nawet wówczas, gdy łagodzi go miła temperatura i smaczne pożywienie. Odnosi się to zarówno do ludzi jak i do zwierząt. Jednakowo reagują również ludzie i zwierzęta na wszelkiego rodzaju hałas, który stawia ich w świadomy lub podświadomy stan alarmowy, powodując wzrost poziomu wydzielanej adrenaliny i noradrenaliny. W odróżnieniu od sytuacji w puszczy czy dżungli, hałasy powodowane przez cywilizację rzadko tylko przestrzegają przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, jednakże ten fałszywy alarm także powoduje stress. Do hałasu nie można się przy tym przyzwyczaić, organizm nie posiada również żadnej swoistej ochrony przed falami dźwiękowymi. Nieosłonięte uszy rejestrują hałasy powodujące stress przez całą dobę, również w czasie snu. Szczególnie wyraźnie można to zaobserwować u kierowców samochodowych, ponieważ występują u nich całe zespoły czynników wywołujących stressy, takich jak myśliwskie zacięcie, strach, izolacja i hałas. Nawet u zdrowego kierowcy powodują one stałe przyśpiesze-

ZDROWIE

dzo ostrej formie. Nie wykluczone bowiem, iż w wyniku mutacji wirusa grypy, pojawiła się nowa forma zarazka, na który organizm ludzki nie został jeszcze uodporniony. Na razie jednak nic nie wskazuje na rozprzestrzenianie się tej formy wirusa. I być może epidemii w ogóle nie będzie.

Minionej zimy w Anglii pojawił się kolejny szczep wirusa grypy typu „A-Viktoria", nazywany tak od australijskiego miasta, w którym po raz pierwszy wyodrębniono go w laboratorium. W zagadkowy sposób, charakterystyczny dla tej choroby, ujawnił się nieoczekiwanie w gardle pewnego starszego mieszkańca Epsom. Do końca stycznia 1975 roku całą Anglię ogarnęła już epidemia. Przy niewielkiej epidemiii w Anglii umiera 2—3 tysiące ludzi, w „ciężkim" roku — około 30 tysięcy osób.

Specjaliści więc z niepokojem oczekują na zbliżający się „grypowy" okres roku. Powodem tego niepokoju była śmierć w lutym tego roku młodego amerykańskiego żołnierza, odbywającego służbę w Fort-Dix (stan New Jersey), w USA. Wirus „A-Viktoria" zwalał rekrutów z nóg. Był wśród nich 19-letni żołnierz, David Louis. Dostał kataru, nieco później zaczął gorączkować. Ale, zamiast położyć się do łóżka, pomaszerował z kompanią na strzelnicę. Po powrocie z ćwiczeń zemdlał. Zmarł w drodze do szpitala. Sekcja zwłok wykazała wirusowe zapalenie płuc, najniebezpieczniejszą formę tej choroby. 24 godziny później stwierdzono, że ów zarazek jest podobny do wirusa, który wywołał w latach 1918—1919 pandemię tzw. „hiszpanki". Obraz zniszczeń w płucach Louisa bardzo przypominał zniszczenia obserwowane u zmarłych w 1918 roku. I znów zagadka. Wirus „Fort-Dix" znikł tak samo tajemniczo, jak się pojawił. Naukowcom nie udało się wyjaśnić, skąd się wziął.

Niektórzy wirusolodzy uważają, że nowe szczepy wirusa wytwarzają „hybrydy" wirusów, powstałe ze skrzyżowania wirusów grypy spotykanej u człowieka z zarazkami tej choroby na którą zapadają ptaki i niektóre zwierzęta, jak np. świnie. Utrzymują oni, że w przeludnionej Azji ludzie i zwierzęta najczęściej „współistnieją" w najbliższym sąsiedztwie, zupełnie mimo woli „hodując" kolejną epidemię.

W 1918 roku wirusologia znajdowała się jeszcze w okresie raczkowania, pierwsze wirusy grypy wydzielono dopiero 15 lat temu. Do tego czasu „hiszpanka" zniknęła ostatecznie, ale antyciała zapewniające uodpornienie na ten zarazek grypy pozostały we krwi setek milionów ludzi, którzy przebyli tę chorobę i są na nią uodpornieni po dziś dzień. I oto po zbadaniu antyciał we krwi wybranych ludzi, którzy przechorowali „hiszpankę", stwierdzono, że wirus z 1918 roku jest bardzo podobny w budowie do wirusa, który od tamtego czasu nadal wywołuje zachorowania świń w Ameryce Północnej. Spotyka się go w organizmach świń po dzień dzisiejszy. Ten szczep wirusa okazał się analogiczny w budowie z ludzkim typu „A—New Jersey". Czyżby przeniknął on do Fort-Dix z jakiejś farmy Środkowego Zachodu USA? Ale „grypą świńską" człowiek się zazwyczaj nie zaraża. I tak tajemnica nie została wyjaśniona...

7.

W długim cyklu „współistnienia" człowieka — wbrew jego woli — z wirusem grypy, jest zupełnie możliwe, że te same szczepy wirusów powracają po długich okresach „nieobecności". Po przeanalizowaniu antyciał wciąż jeszcze obecnych we krwi ludzi starych, niektórzy uczeni doszli do wniosku, że pandemię grypy w 1889 roku wywołał wirus „azjatycki".

Nikt jeszcze nie zdołał wyprowadzić ścisłych wniosków z geografii rozprzestrzeniania się grypy. Uczeni do dziś nie mogą zadowalająco wyjaśnić, gdzie i w jaki sposób „ukrywają się" wirusy w przerwach między epidemiami? Dlaczego zachorowania mają właściwości wybuchu w kilku miejscach na raz? Na grypę chorują ptaki i zwierzęta, ale nie wiadomo do dziś, czy to my zaraziliśmy ptaki i zwierzęta, czy one nas? I niestety, nie wiadomo też, dlaczego wybuch grypy w jednym kraju, czy nawet w jednym mieście, może być o wiele bardziej gwałtowny niż w innych krajach, czy w innych miastach. Np. w 1951 roku epidemia grypy, która ogarnęła całą niemal Anglię, nieoczekiwanie spowodowała setki śmiertelnych wypadków w Liverpoolu.

Oto dlaczego wydarzenie w Fort-Dix znajduje się w centrum uwagi uczonych. Powtórzenie się roku 1918 jest mało prawdopodobne. Specjaliści brytyjscy uważają, że można mieć na względzie w najgroszym razie epidemię, ale nie pandemię.

Tymczasem laboratoria całego świata śledzą z uwagą ruchy wirusa „A-Viktoria", przerzucającego się z kontynentu na kontynent. Tego roku wykazywał on aktywność na południowej półkuli przez całe lato. Uczeni stale mają się na baczności na wypadek nawrotu „hiszpanki". Ale, ogólnie rzecz biorąc, są nastawieni optymistycznie. Zdaniem **Margaret Pereira**, kierownika Brytyjskiego Laboratorium Kontroli Wirusów, członka grupy konsultacyjnej dla problemów grypy, żyjemy obecnie w lepszych warunkach niż w 1918 roku. Mamy antybiotyki. Nawet, jeśli pojawi się hiszpanka, to jej wybuch nie powinien okazać się bardziej gwałtowny, niż „zwykłej" epidemii grypy.

(W. STOK.)

nie tętna, podwyższone ciśnienie krwi i zmniejszone zaopatrzenie w tlen mięśnia sercowego, toteż zawodowi kierowcy są szczególnie podatni na zawały.

Oczywiście każdy człowiek indywidualnie reaguje na różnorodne sytuacje stressowe. I tak na przykład muzyka beatowa jest dla miłośnika beatu harmonijnym dźwiękiem, a nie stressem, podobnie jak właściciela psa cieszy jego szczekanie, podczas gdy dla sąsiadów może być ono uciążliwym hałasem i przyczyną stressów itp. Różnice występują przy tym nie tylko w stopniu wrażliwości poszczególnych osób na czynniki wywołujące stress, lecz również w sposobie, w jaki organizm na nie reaguje.

Specjaliści rozróżniają **dwa zasadnicze typy** ludzi, w zależności od budowy ich wegetatywnego układu nerwowego, który steruje automatycznie przebiegającymi procesami życiowymi, takimi jak bicie serca, trawienie czy oddychanie i nie jest podporządkowany woli. Jeśli w sterowaniu przeważa układ współczulny, pobudzający aktywność, chęć ucieczki i agresywność, mamy do czynienia z typem popularnie zwanym cholerykiem, jeśli zaś — układ przywspółczulny „rządzący" spokojem i wypoczynkiem, mówimy o typie flegmatycznym. U pierwszego z nich przy nadmiarze stressu występują szybko dolegliwości serca i układu krążenia, drugi natomiast reaguje osłabieniem i depresją, nieżytem żołądka lub nawet owrzodzeniem przewodu pokarmowego. Odpornymi na stress okazali się jedynie ludzie, u których istnieje pierwotna równowaga między układem współczulnym i przywspółczulnym, to jest tacy, którzy mówią: „niech się dzieje, co chce".

Aczkolwiek reakcja biochemiczna przebiega według tego samego wzoru, niewiadomą stanowi to jakie wywoła skutki u danego osobnika: czy ofiarą jej padnie żołądek, czy jelita, czy odbije się na tarczycy, czy układzie krążenia. Mimo wszystkich badań, często jeszcze **pozostaje zagadką, jaki organ wybierze chorobotwórczy stress.**

W związku z tym wyłania się istotne pytanie, **jak przeciwdziałać stressom, jak leczyć ich skutki?** Problem stosowania odpowiedniej terapii jest przy tym dosyć różnorodny, wydaje się bowiem, iż stressy należałoby rozpatrywać indywidualnie w odniesieniu do każdego pacjenta. Przy tym podawanie farmakologicznych środków uspokajających lub pobudzających wobec takich skutków stressów, jak wyczerpanie, bezsenność czy impotencja, jak to obecnie najczęściej czynią lekarze, nie zawsze jest uważane za metodę właściwą. Nowoczesne kliniki rehabilitacyjne i ośrodki antystressowe proponują aktualnie program pomocy pacjentom odczuwającym stressy, polegający na: **usuwaniu lub ograniczaniu stressów w środowisku pacjentów; przerywaniu utrzymującego się stanu długotrwałego alarmu przy pomocy terapii zachowania, albo przez indywidualne treningi, kontemplacje bądź uprawianie jogi; zneutralizowaniu nagromadzonej w wyniku stressu energii, głównie przez ćwiczenia fizyczne, lecz również przez takie czynniki antystressowe jak twórczość, sympatia, stwarzanie miłej atmosfery itp.**

W ostatnich latach rozpowszechniły się dość szeroko metody zwalczania stressów, noszące nazwę **„Medytacji Transcendentalnych"**. Tak na przykład w roku 1967 Beatlesi udali się do Indii do jogi **Maharishi Mahesha**, który wówczas był już dość dobrze znanym w świecie mnichem, stosującym różne własne metody w celu osiągnięcia całkowitego **„wewnętrznego spokoju"**. Jedna z metod propagowanych przezeń polegała na tym, że pacjent powinien dwa razy dziennie, na okresy 20-minutowe, zamknąć oczy, starać się oderwać od nurtujących go problemów i szeptać jakieś podane przez nauczyciela słowo, które nazywa się „mantra". Podobno daje to wewnętrzne uspokojenie i psychiczne odprężenie. Skutek jest przy tym niemal zawsze taki sam: tętno maleje, podobnie jak zużycie tlenu, wzrasta zaś nasilenie fal alfa w mózgu. Innym, nowym wariantem świadomego wpływania na procesy życiowe, takie jak ciśnienie krwi, tętno i ruch jelit, jest tzw. trening biologiczny. Tą metodą można np. pacjentom chorym na serce zwiększać lub zmniejszać częstotliwość tętna o 20 procent i dzięki temu przeciwdziałać skurczowi mięśnia sercowego

Pesymiści zadają jednak pytanie, czy przez tego rodzaju ćwiczenia można odwrócić wpływ stressów na los ludzkości. Alarmowa reakcja organizmu, niegdyś tak celowa, jest — jak widać — coraz mniej przydatna w czasach współczesnych. Jak pisze bowiem tygodnik „Der Spiegel":

„Zespół alarm — kontrakcja — śmierć" jest wrodzony i w drodze dziedziczenia nadal przekazywany w formie nieskorygowanej z pokolenia na pokolenie, prowadzi ludzkość ku przepaści: pod wpływem stressu ludzie żyją krócej, są częściej chorzy, wydają mniej potomków, nie mogą rozsądnie wykorzystać potencjalnych zdolności swego mózgu".

Opr. ADAM CZERSKI

NIE TYLKO HISTORIA

DRAMAT KRÓLEWSKI

Spośród wielu rozróżnień dzielących Średniowiecze od Renesansu nasuwa się przy czytaniu „Barbary Radziwiłłówny" Zbigniewa Kuchowicza refleksja, że w Średniowieczu człowiek nie doznawał poczucia indywidualnej odrębności w takim stopniu, jak w czasach Odrodzenia, ale nie czuł się też (w Średniowieczu) w takim stopniu samotny jak później. Że przeżywał w Renesansie witalną radość istnienia, odwagi i wolności, ale też nietrwałość i uzależnienie od fluktuacji społecznych i politycznych w znacznie wyższym stopniu niż w minionej epoce. Zrywając pęta scholastycznego myślenia i obyczaju, ludzie wyzwalali się jednocześnie od ślepego posłuszeństwa Kościołowi i od przemożnego lęku (w Europie Zachodniej) przed Świętą Inkwizycją.

Jednym z poważnych walorów „Barbary Radziwiłłówny" jest to, że autor opisując perypetie miłosne Barbary i Zygmunta Augusta potrafił odtworzyć wiernie atmosferę nowych czasów, czyli Renesansu w Polsce w pierwszej połowie XVI wieku.

Zacząłem od odwagi. Dowody jej dał król Zygmunt August, który w czasie burzliwych debat na sejmie piotrkowskim 1548 roku odpierał mężnie sam gwałtowne ataki rozwydrzonych posłów, podżeganych przez kler w osobach prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego, biskupa przemyskiego Jana Dziaduskiego i możnowładców Kmitę, Górkę, Tęczyńskiego i innych. Napisałem „odpierał sam", bo też król stanął twarzą w twarz z całym sejmem, domagającym się unieważnienia małżeństwa króla z Barbarą. Dochodziło do teatralnych, bezprecedensowych sytuacji: posłowie padli gremialnie na kolana i błagali histerycznie króla o opuszczenie żony. A gdy to nie odniosło skutku obrażali Zygmunta Augusta skandalicznymi pomówieniami. W takich warunkach wytrwać bez mała sześć tygodni (sesja trwała od 30 października do 12 grudnia) sam przeciwko wszystkim, którzy szarpali króla jak wilki, wymagało odwagi, opanowania i hartu ducha. Nikt by nie przypuszczał, że Zygmunt August, subtelny znawca arrasów, dzieł sztuki, drogich kamieni i precjozów potrafi przetrzymać huraganowe ataki izby poselskiej i nie załamie się. A miał przeciwko sobie nie tylko posłów, miał ojca (Zygmunta Starego), matkę (Bonę), siostry, kler i całą szlachtę z możnowładcami w Koronie i Litwie, jednym słowem, cały naród szlachecki. Ci, którzy mu pomagali (Radziwiłłowie), Mikołaj Rudy i Mikołaj Czarny byli raczej jego doradcami i nie narażali się na bezpośrednią konfrontację z przeciwnikami.

Autor „Barbary Radziwiłłówny" kreśli doświadczoną ręką czołowe postacie, które brały udział w królewskich perypetiach. Najlepiej wypadł portret głównego bohatera. Zygmunt August stał się w książce Kuchowicza reprezentatywną osobistością nowych czasów, najpełniej wyrażającą swoją działalnością i postawą ducha epoki Odrodzenia.

Kłopoty miłosne króla i jego wybranki skomponował autor pomysłowo, w sposób wzbudzający rosnące zainteresowanie. Rozdział I mówi o Radziwiłłach, ich tyranii w stosunku do chłopów, mieszczan i drobnej szlachty oraz o montowaniu frontu przeciwko dworowi królewskiemu i polityce Bony, dążącej do rewindykacji majątków należących niegdyś do Jagiellonów. W rozdziale II dowiadujemy się o obyczajowości kobiet litewskich, które korzystały ze znacznie większej swobody erotycznej niż białogłowy w Koronie czyli w Polsce. Słusznie chyba można domniemywać, że rozdział ten jest swoistą uwertura usprawiedliwiającą zręcznie i od razu na wstępie, a więc niejako z góry Barbarę z jej żywego usposobienia i temperamentu.

Pierwszy Statut Litewski z 1529 r. nie stanowił nic o cudzołóstwie ani o tzw. zwodnictwie. Dopiero późniejsze statuty przewidywały za zdradę małżeńską surowe kary dla kobiet. Jeżeli dodać, że matka Barbary korzystała ze swobody erotycznej wywołując zgorszenie nawet w Koronie, to można się zgodzić, że Barbara miała już za młodu dużo złych przykładów. A czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Czy to usprawiedliwia naszą heroinę? Zostawiam to pytanie bez odpowiedzi. Wkraczamy tutaj w duszną atmosferę erotyzmu na Litwie w czasach Renesansu.

„Barbara Radziwiłłówna" wywołała duże zainteresowanie i miała już wiele recenzji. Niektóre z nich sugerowały w sposób aluzyjny lub jawny, że wartościowa monografia Profesora jest nazbyt przesycona erotyzmem. Sugestie te są chyba niesłuszne. Nie zapominajmy, że konflikt pomiędzy królem a narodem wynikł z powodu małżeństwa królewskiego, a w takich wypadkach ujawniają się pewne drastyczne szczegóły, których sumienny historyk nie może pominąć. Pamiętajmy również, że poza Marysieńką i Sobieskim nie mamy w naszej historii zbyt wiele królewskich romansów o podobnie dramatycznym przebiegu i tragicznym finale. Nie należy się więc dziwić, że autor poświęca proporcjonalną część tekstu analizie stanów emocjonalnych zakochanej pary. A wreszcie przyszłość pokaże, czy śmiałość tej monografii nie będzie premiowana za jej odwagę i czy nie przyniesie Profesorowi uznania historiografów za nowatorskie podejście do pasjonującego tematu?

Miałbym natomiast pewne zastrzeżenia co do opinii i wagi, jaką autor przypisuje osobie Barbary Radziwiłłówny. Nie bez powodu wysunąłem na pierwszy plan osobę Zygmunta Augusta, który może nawet wbrew woli autora staje się główną postacią monografii. O Barbarze Radziwiłłównie jest miernego mniemania i nie mogę się zgodzić na pogląd, wyrażony przez Profesora, że Barbarę Radziwiłłównę należy uznać za jednostkę wybitną i nieprzeciętną. W wielu dziedzinach działalności rola jej była wyłącznie bierna, w pewnych jednak inicjująca". Czy dlatego, że wryła się głęboko w świadomość pokoleń, była idealizowana, a później wokół jej postaci narosła legenda? Było to chyba nieporozumieniem. Nikt już dzisiaj nie bierze na serio Barbary z dramatów Felińskiego, Wężyka czy Magnuszewskiego. Sam autor monografii nie wysuwa podobnych sugestii referując obiektywnie poglądy najwybitniejszych historyków: Szujskiego (który widział w Barbarze kobietę bierną, oddaną tylko życiu miłosnemu), Bogatyńskiego (żyła wyłącznie dla siebie), Kolankowskiego (ograniczona, zła, niemoralna i rozpustna), Konopczyńskiego (urocza, czuła, ale na wskroś zepsuta), Pociechy (nie odgrywała żadnej roli politycznej, była narzędziem w rękach braci).

Należy jednak ocenić świetną charakterystykę kontrowersyjnej (w ubiegłych latach) postaci Barbary. Profesor Kuchowicz przestrzega surowo wymogów obiektywizmu, nie potępia swojej heroiny, co mu nie przeszkadza jednak widzieć jej błędy i cytować różne złośliwostki i komeraże, na przykład, że Barbara nazbyt hojnie wynagradzała służbę i... swoich faworytów.

A w sumie czyta się „Barbarę Radziwiłłównę" jak interesującą i dobrze napisaną powieść, rozumiem przez to, że czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem i korzyścią dla znajomości historii.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PORTRET OBYCZAJOWY BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Wybitny humanista włoski Eneasz Sylwiusz Piccolomini, kiedy pisał swe wspaniałe dzieła historyczne, geograficzne czy polityczne, zasypywał możnych tego świata wykwintnymi listami, nie mógł przewidzieć, że jego twórczość przysporzy mu sporo kłopotów. Został bowiem w końcu papieżem: jakże to człowiek piastujący tę godność mógł rozpisywać się o wyższości soboru nad głową Kościoła? Eneasz jednak robił kłopoty nie tylko sobie samemu. Przysporzył ich wcale sporo historykom, nie tylko dawnych, lecz również i współczesnych nam czasów. Oto w swym dziele o Europie napisał o litewskich paniach swojego, piętnastego stulecia, ni mniej ni więcej, tylko takie słowa: „Kobiety szlacheckiego pochodzenia mają publicznie i za zgodą mężów kochanków, którzy nazywają się tam pomocnikami małżeńskimi". Liczba owych panów miała zależeć od pozycji małżonka pani; mieli oni być utrzymywani na koszt męża, którego na mocy dawnego obyczaju zastępowali w czasie niemocy, choroby czy podróży.

Sprawą tej bajki Eneaszowej, która „postawiła Litwinki na długie lata pod zarzutem niemoralności, powtarzanym chętnie w Polsce czy na Zachodzie w celach anegdotycznych, czy też wręcz nieprzyjaznych", zajął się swego czasu wybitny historyk kultury Odrodzenia, zmarły przed kilkoma laty Ignacy Zarębski. W swej monografii o stosunkach Eneasza Sylwiusza z Polską, wydanej w 1939 r., korzystając z badań litewskiego historyka Augustinasa Janulaitisa, opublikowanych — niestety po litewsku — w 1928 r., polski historyk nie tylko ukazał faktyczną bezpodstawność tej plotki o Litwinkach, lecz także zwrócił uwagę na jej ideologiczno-polityczne znaczenie w kontekście opowieści włoskiego humanisty. Przyszły papież Pius II powiadał podobnie miłe rzeczy nie tylko o obyczajności pań litewskich: to, co napisał o kobietach wiedeńskich również nie było zbyt pochlebne. O nas, Polakach, powiadał tylko, żeśmy pijacy — ale to nie budziło sensacji. Włoski humanista obyczajami interesował się szczególnie: jego opis perypetii dwojga kochanków, zawarty w „Historii Euriala i Lukrecji" do dziś komentatorzy wolą przytaczać w oryginale łacińskim niż tłumaczyć go na współczesne języki!

Wysoka wartość literacka i informacyjna, jak również autorytet papieża — humanisty sprawiły, że jego pisma były rozchwytywane w całej Europie. Do najbardziej poczytnych należało zaś dziełko, w którym znajdowała się anegdota o Litwinkach. Traktat o Europie znali, korzystali zeń i komentowali liczni autorzy polscy XV—XVII w. Wśród dziejopisów zachodnioeuropejskich jak podkreślił I. Zarębski, największe powodzenie miał właśnie rozdział o Litwie. Plotka o Litwinkach rozeszła się więc po świecie. Jakżeby nie powtarzać tak smakowitej anegdoty? Trawersowali ją i przerabiali również i Polacy, jak Krzysztof Opaliński czy Wacław Potocki.

Pogłoska o litewskich „pomocnikach małżeńskich" pochodzi więc nie od bliżej nieznanego nuncjusza z czasów Władysława Jagiełły — jak sądzili J. Jaroszewicz, J.S. Bystroń i inni — ale od Eneasza Sylwiusza. Ma swą określoną proweniencję literacką i odzwierciedla bardziej wpływ pism włoskiego autora na pisarzy i historyków innych krajów niż jakąś rzeczywistość, którą zdawałoby się opisuje. Myślę, że przypomnienie tej sprawy ma pewne znaczenie również dla obrazu obyczajowości kobiet litewskich, przedstawionego przez Zbigniewa Kuchowicza w jego ostatniej książce. W moim przekonaniu wątek literacki, jakim jest opowieść o Litwinkach, stał się tworzywem dla pewnych wyrastających na gruncie swego rodzaju ksenofobii poglądów bez pokrycia, czy raczej o minimalnej podstawie. Że zaś obyczajowość epoki Odrodzenia mało miała wspólnego z obserwowaniem zakonnej czystości, o tym wiadomo nie od dzisiaj. Feudalna elita społeczna rządziła się wreszcie własnymi normami obyczajowymi, również na Litwie, jak gdzie indziej.

Zbigniew Kuchowicz w „Barbarze Radziwiłłównie" (Wydawnictwo Łódzkie, 1976) proponuje obyczajowy portret swej bohaterki. Tego rodzaju spojrzenie wiedzie go do rewizji dotychczasowych poglądów na królową. Z demonicznej intrygantki, która owinęła koło palca młodego, niedoświadczonego króla, z kobiety która była narzędziem intrygi politycznej, pod piórem Z. Kuchowicza przekształca się Barbara w swego rodzaju symbol piękna, miłości, „szczęścia i tragedii ludzkiego życia". Barbara — kobieta przesłania monarchinię. W jaki sposób autor przeprowadza tę tezę przypominać nie będę, bowiem „Odgłosy" zapoznały już Czytelników z obszernymi fragmentami tej książki, drukując je na swych łamach. Nie należy jednak zapominać, że krytyczny, nieraz aż do przesady — polemizuje z tym Z. Kuchowicz — pogląd o Barbarze wypływał z ogólniejszych koncepcji historycznych, spopularyzowanych w naszej historiografii. Od czasów Oświecenia uważano śmierć Zygmunta Augusta za zwrotny moment w dziejach Polski, swego rodzaju katastrofę, rozpoczynającą czasy narastania czynników przyszłego upadku. Skoro wygaśnięcie dynastii przypisywano, niesłusznie — jak tego dowiódł historyk — Radziwiłłównie, zaś litewską magnaterię — słusznie — uważano za szczególnie niebezpieczną dla jedności państwa i powagi władzy monarszej, ocena Barbary mogła być tylko jedna: krytyczna. W jakiej mierze Z. Kuchowicz zdołał podważyć te ogólne przesłanki dotychczasowego spojrzenia na tę bohaterkę? To pytanie zostawmy czytelnikom jego książki.

ANDRZEJ F. GRABSKI

POLE NICZYJE

Długie lata uprawiania twórczości sensacyjnej (uwieńczone sukcesem wymiernym między innymi popularnością „Stawki większej niż życie") znakomicie wręcz zaowocowały w najnowszej powieści Zbigniewa Safjana. Wykorzystanie techniki powieści sensacyjnej i kryminalnej w prozie politycznej okazało się zabiegiem skutecznym i korzystnym.

Książka Zbigniewa Safjana należy do tej odmiany powieści politycznej, o której pisał kiedyś obszernie Jerzy Ziomek, a wcześniej jeszcze Kazimierz Wyka — interesuje ją przede wszystkim mechanizm władzy. Władzy sprawowanej przez ścisłą elitę, skupioną wokół wodza. „Pole niczyje" jest wnikliwą analizą przeżyć, posunięć i zabiegów człowieka odsuniętego od władzy przez dawnych kolegów ze Szczypiorny i Oleandrów w momencie, gdy umierający wódz desygnował go na swego następcę. Choć rozgrywa się w konkretnych realiach końcowych miesięcy II Rzeczypospolitej, odsłania mechanizmy nie tyle przeciwstawnych interesów, co skuteczności i nieskuteczności działania ludzi uprawiających politykę. I w tym sensie nabiera ogólniejszego aspektu utworu o smutnym losie i tragicznie przedwcześnie ujawnionego następcy. Słusznie pisze też KTT że mogłaby to być powieść i o innych, na przykład o Lin-Piao.

Powieść polityczna ukazująca „mandarynów" tradycyjnie już bywa identyfikowana jako utwór z kluczem. Po części dotyczy to i „Pola niczyjego", gdzie obok mniej lub bardziej czytelnych literackich nośników odpowiednich postaci historycznych pojawiają się w szerokim tle one same.

Jeszcze przed kilkunastu miesiącami, gdy „Literatura" rozpoczynała druk powieści Safjana w odcinkach, głośno było, że jest to tekst o Walerym Sławku (Jerzy Rawicz przypomniał nawet tę powieść czytelnikom pisma). Istotnie nie ulega wątpliwości, że Sławek stanowił model dla pułkownika Wacława Jana. Podobnie jak wzorem Jerzego Barozuba, twórcy literackiej legendy legionów był Juliusz Kaden Bandrowski. Nie o ścisłość realiów wierność prototypom czy nawet zgodność przebiegu samych wydarzeń jednak tu chodzi (samobójczą śmierć Sławka przypisał na przykład autor Alfredowi Zawiszy-Poddębskiemu), idzie raczej o ukazanie określonego rodzaju, więzi grupowych, a nawet o pewną depersonalizację. Książka Safjana powstała bowiem w wystarczającej odległości czasowej, by bezpośrednie emocje zastąpiła w niej rzeczowa analiza sytuacji i wyraźna odpowiedź na pytanie, dlaczego elita rządząca postąpiła tak, jak postąpiła, i dlaczego do końca wolała nie wiedzieć tego, o czym przecież w gruncie rzeczy wiedziała...

Wacław Jan należy do najbardziej tajemniczych postaci „Pola niczyjego". Półkonspirator, półwięzień, pół-Komendant wreszcie (a raczej nieodłączny ongiś cień Komendanta) z sakramentalnym pytaniem zwracający się do resztki wiernych mu kompanionów: — „A kto z was o Polsce?". Przekonany bez reszty o zbawiennym wpływie idei wodzostwa na Polskę i widzący jedyną kandydaturę do jej ucieleśnienia — siebie.

Zadziwia ta książka podtekstami i aluzjami. Wśród nich metafora najdobitniejsza, bezpośrednio korespondująca z tytułem. Oto jeden z bohaterów, Zawisza-Poddębski najbardziej zresztą pryncypialny w gronie zwolenników Wacława Jana, nie może odnaleźć się w ojczyźnie, jakkolwiek przecież należy do legionowej elity: „Czuł się tak, jakby krążąc po ulicach znanego sobie miasta, wśród dobrze pamiętanych kamienic, stawał co chwila na nie oświetlonym placu i nagle, tracąc orientację, nie wiedział, dokąd iść, a nawet nie był pewien, czy czyniąc następny krok, nie znajdzie się w pustce, w przestrzeni obcej, z której nie będzie już żadnej drogi. Kiedyś, na polu niczyim, nocą bez gwiazd, wydawało mu się, że idzie wzdłuż pozycji swoich i wroga, właśnie wzdłuż, ciągle ziemia niczyja, i będzie tak szedł do końca nocy, ponieważ nie zdoła podjąć decyzji, jaki kierunek należy obrać...".

Zawiszy otwiera oczy na całość sytuacji w sposób ostateczny dopiero rozmowa z Aleksandrem, byłym przyjacielem, a potem kochankiem jego żony który właśnie przybył do Warszawy jako reporter „L'Illustration". To właśnie Aleksander spełnia w powieści funkcję rezonera, znającego kraj i sytuacje od wewnątrz, a zarazem posiadającego europejską perspektywę. To on wyjaśnia parę spraw Zawiszy i Barozubowi. Stawia niewygodne pytania i sam zresztą udziela odpowiedzi. Mocnych odpowiedzi.

„Pole niczyje", jak każda powieść polityczna, spełnia funkcję komentującą wobec konkretnych faktów historycznych. Jej „polityczność" nie mieści się w wąsko pojmowanej współczesności, dotyczy dziejów Polski spiętych klamrami „radości z odzyskanego śmietnika" i wrześniowej klęski. Ale autora nie same mechanizmy polityczne interesują. Przy ich okazji zastanawia się wnikliwie nad różnymi naszymi cechami narodowymi, ich tradycją i żywotnością. I w tym tkwi aktualność książki, którą uważam za najciekawsze literackie wydarzenie ostatnich miesięcy.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Z. Safjan „Pole niczyje", PIW, Warszawa 1976, nakład 20.000 + 290 egz., cena zł.30

JUBILACI

Z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin często w tym roku wymieniano razem nazwiska pięciu autorów: **Tadeusza Hołuja, Juliana Kawalca, Eugeniusza Paukszty, Wilhelma Szewczyka i Wojciecha Żukrowskiego.** Dorobek każdego z nich w innym zmierza kierunku, ale formuła jubileuszu pozwala na taką właśnie wspólną prezentację w okolicznościowym szkicu. A zresztą wspólnota urodzeniowa, podobieństwo przeżyć i tożsamość pokoleniowego doświadczenia postawiły przed nimi taki sam zespół podstawowych problemów i zbliżone ewokowały pytania. Pokolenie, do którego należą dzisiejsi jubilaci, wkroczyło w życie publiczne tuż przed wybuchem wojny. Z jego przedstawicieli rekrutował się podstawowy trzon żołnierzy Września i późniejszych konspiratorów. Na tym pokoleniu spoczywała też odbudowa zniszczonego kraju i realizacja wymogów nowej rzeczywistości. Ten oto krąg doświadczeń, pogłębiony niejednokrotnie o perspektywę historyczną, decydował zasadniczo o obszarach pisarskich penetracji. Uwarunkowane były więc one — najogólniej mówiąc — obywatelską służbą literatury. I w niej dopatrzeć się można wspólnego rysu pisarstwa Kawalca, Paukszty, Szewczyka i Żukrowskiego.

Skuteczność literackiej i obywatelskiej ich działalności wymierna jest popularnością, wysokimi nakładami. Utwory Żukrowskiego na przykład osiągnęły do dnia dzisiejszego łączny nakład około trzech i pół miliona egzemplarzy. Z oddźwiękiem wśród czytelników idzie w parze oficjalne uznanie: odznaczenia i wyróżnienia państwowe, nagrody ministra kultury i sztuki, laury konkursowe. Również poza granicami Polski książki jubilatów spotykają się z żywym zainteresowaniem.

LITERATURA W SŁUŻBIE IDEOLOGII

Przed jak poważnym zadaniem staje pisarz, który w formach literackich szuka wyrazu dla doświadczeń czynnych uczestników prac i walk na głównym szlaku historycznych przemian — komunistów i ich rewolucyjnych antenatów XIX wieku, wiernych najśmielszym ideom wolności i sprawiedliwości — świadczy twórczość **Tadeusza Hołuja.** Skala trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, a zatem i wysoki pułap ambicji autora wyznacza nie tylko nieostygła aktualność opisywanych spraw, uniemożliwiająca wytworzenie się korzystnego dla literatury dystansu, ale także suma dotychczasowych niedoskonałych realizacji tematu. Te bowiem, powszechnie znane, niepowodzenia w beletryzacji ideologii socjalistycznej nader wiele dostarczają przestróg i lęków pisarzom, skądinąd szczerze przekonanym o potrzebie oświetlenia indywidualnego losu ludzkiego na tle przekształcających rzeczywistość procesów społecznych, inspirowanych przez ideologię postępu. Nawet jednak przekonanie o tym, że bez pogłębionej kreacji człowieka jako teraźniejszego współtwórcy historii literatura nie będzie w stanie spełnić sobie tylko właściwej misji poznawczej, nie wystarcza do pokonania oporu, jaki stawia twórcy zawikłana natura zjawisk społecznych i krępujący wyobraźnię nacisk schematów myślowych, fabularnych, motywacyjnych. Toteż tym więcej szacunku budzi postawa pisarska Hołuja który nie rezygnuje z trudnego tematu i nie zadowala się jego konwencjonalnymi ujęciami, wprost przeciwnie, konsekwentnie dąży do wypracowania wartościowych środków realistycznego przedstawienia bohatera, zaangażowanego w konflikty polityczne naszych czasów, nieobojętnego i nieanonimowego ideologicznie.

Rodowód zaś tego bohatera, jak to już wynika z charakteryzowanej na wstępie sytuacji pokolenia, wywodzi się z przeżywania sprzeczności ustroju kapitalistycznego, spotęgowanych przez wstrząs wojny i okupacji niemieckiej. Przełom ideowy dokonuje się w hitlerowskim obozie. Ale Oświęcim to nie literacka sceneria dla rewolucji światopoglądowej i moralnej fikcyjnej postaci powieściowej, lecz bolesna karta biografii rzutująca na całą późniejszą postawę ideową pisarza-komunisty. Nie porażenie złem, wpędzające w katastrofizm nihilizm, lecz wzmocnienie wiary w sens i konieczność walki ze złem oraz wybór ideologii komunistycznej jako drogowskazu życiowego są rezultatami lagrowego doświadczenia. Po „Końcu naszego świata" następuje cały szereg powieści o działaczach partyjnych, o ludziach podejmujących odpowiedzialność za budowę i utrwalenie nowego ładu społecznego. Pod rzetelnym piórem Hołuja powstaje więc szereg postaci o różnym stopniu komplikacji duchowych, a co za tym idzie o mniej lub bardziej przekonywającej psychologicznej motywacji decyzji, poglądów i odruchów. „Początek" „Jedno stamtąd", „Drzewo rodzi owoc", „Osoba". Pojawia się wreszcie śmiała próba rekonstrukcji historycznej — powieść o Ludwiku Waryńskim. I bodaj w niej właśnie najpełniej wypowiada się osobowość pisarska Tadeusza Hołuja. Nie jest to zresztą jego pierwszy krok w stronę ubiegłowiecznej historii, gdyż autor ma już za sobą ciekawą powieść o powstaniu listopadowym „Próba ognia", wydaną tuż po wyzwoleniu oraz cztery księgi „Królestwa bez ziemi" — cyklu o Gromadzie Grudziąż, radykalnym odłamie Wielkiej Emigracji. Waryński, który skupia najistotniejsze wątki polskiej tradycji rewolucyjnej, w tym również jej wewnętrzne spięcia wokół kwestii narodowej, sylwetka tragiczna, uwikłana w swym życiu osobistym w kontrowersyjne moralnie sytuacje, otrzymuje rysunek wyrazisty i nie uproszczony zarazem natrętną idealizacją. Sukces tego portretu literackiego jest pouczający dla nas i dla autora, pokazuje bowiem jak wszechstronną złożonością odznaczać się musi obraz człowieka współczesnego, by mógł przemówić z równą mocą prawdy artystycznej. Wszystko wskazuje na to, że pisarz kontynuuje w tym kierunku swoje poszukiwania także na gruncie tematu współczesnego.

TADEUSZ HOŁUJ

JULIAN KAWALEC

TEMATOWI PRZYPISANY

Tematykę wiejską uważa się od dawna za polską specjalność. Towarzyszyła ona naszej literaturze tradycyjnie i najczęściej spełniała określone społecznie funkcje służebne, ale takiego nasilenia i takiej różnorodności postaw, jakie zarysowały się w ciągu ostatniego kilkunastolecia jeszcze nie było.

Twórczość **Juliana Kawalca** stanowi zwartą całość. Rysuje się w niej kilka podstawowych problemów, w zmienionych ujęciach i zróżnicowanych realiach przewijających się przez wszystkie niemal utwory. Jest on najwybitniejszym przedstawicielem tej wersji tematu, która ukazuje rozmaite kłopoty związane z przejściem ze wsi do miasta. Wieś i miasto w tej twórczości to dwa światy zupełnie odrębne i chyba nie do pogodzenia. Ich wyróżnikami są nade wszystko sprawy moralne i obyczajowe, stąd też najtrudniejsze w konfrontacji swoistej prostoty i sielskości z destrukcyjnym molochem miejskim okazują się psychologiczne uwarunkowania przejścia ze wsi do miasta. Owo przejście, konsekwencja społecznych i gospodarczych przeobrażeń, stawia bohatera prozy Kawalca poniekąd w sytuacji rozdartej sosny: oznacza bowiem awans cywilizacyjny i kulturalny, ale jednocześnie stanowi ucieczkę od dziedzictwa ojców, niesie z sobą kompleks „zdrady" Bohater ten jest przecież „ziemi przypisany" i nawet wówczas, gdy potrafi bezwzględnie wykorzystać szansę awansu, to przecież poczucie obcości w nowym środowisku, kompleks pochodzenia, specyficzna wrażliwość dostarczają mu aż nadto perypetii.

Powieść „Ziemi przypisany", nadająca zaczerpniętemu z odległych dziejów określeniu „glebae adscripti" nowa, rozgrywająca się w świecie wyobraźni treść, stała się sztandarowym niejako dziełem Kawalcowej wersji sprawy chłopskiej dzisiaj. Tytuł zrobił karierę jako zwięzłe ujęcie dramatyzmu niemożności oderwania się od wsi w ciągu jednego pokolenia.

Twórczość Kawalca jest właśnie przejawem konfrontacji wiejskich pokoleń: tego, które nie zdążyło się jeszcze wedrzeć do miast, na uniwersytety i stanowiska (poza nielicznymi próbami drastycznie opisanymi w słynnej „Spowiedzi" Józefa Mortona) z pierwszym pokoleniem powojennym wykorzystującym szanse, jaką dawał czas „wywalczony i stworzony bohaterstwem innych". Ustawiczna konfrontacja to nic innego przecież, jak rozpamiętywanie dwudziestowiecznych dziejów wsi polskiej, jej emancypacyjnych ambicji i możliwości spełnienia.

Świadomość plebejskiego pochodzenia tkwi w bohaterze prozy Kawalca bez przerwy — nie opuszcza go nawet u szczytu kariery, przeszkadza w sytuacjach najintymniejszych. Często przeradza się w efektowny motyw zemsty za urodzenie:

„Nadchodzi więc rocznica mojej nocy poślubnej, a także rocznica tych ostatnich minut przed przekroczeniem progu sypialni, w której czekała na mnie leżąca już w łóżku i rozebrana córka profesora akademii handlowej, żona Andrzeja Tabora, jeszcze prokuratora powiatowego, ale już mającego w kieszeni nominację na prokuratora wojewódzkiego, czyli moja żona. Za chwilę wejdę do sypialni i wezmę w ramiona to białe ciało córki profesora, mojej żony. Ja, spłodzony na skrzypiącym łóżku, na słomie pokrytej zgrzebną płachtą, przez nie myjącego się ojca, zrodzony przez nie myjącą się matkę, wsunę się za chwilę na materace, w dymkową pościel i na to białe ciało córki profesora akademii handlowej, mojej żony. I zemszczę się za takie moje urodzenie, za takie urodzenie mojego ojca, matki, dziadka, babki i tych wcześniejszych, zemszczę się za to miłością do tej kobiety i miłością tej kobiety do mnie. Nie przyznam się nikomu do tego, że w mojej miłości do żony i miłości żony do mnie odnalazłem element zemsty; a i do tego się nie przyznam nikomu, że to wsunięcie się na białe, zgrabne ciało córki profesora akademii handlowej, czyli mojej żony, uznam za jedną z nominacji, jakie rewolucja rozdziela ludziom zrodzonym z brudnych, nie mytych matek (...). A i tego nikomu nie powiem, że na moje dziecko spojrzę jak na następny dowód zemsty za dolę ojców, dziadków i tych wcześniejszych, pańszczyźnianych, chodzących za wołami na dworskich polach. I do tego się nie przyznam, że ja nie jestem jeszcze w stanie zaznać ulgi, bo w miłości małżeńskiej odnalazłem element zemsty i w pełnym wygód życiu mojego przyszłego dziecka odnajdę dowód zemsty. Nie mogę zaznać tej ulgi, jakiej zazna może dopiero mój syn albo córka, bom jeszcze przypisany ziemi..."

Dramaturgię wydarzeń w tej prozie determinuje odchodzenie od dotychczasowego trybu życia wsi, od uświęconej tradycji, obyczajów, mentalności. Dramat odejścia i dramat przystosowania się do życia nowego wymierny jest zwłaszcza w sferze moralnej i dlatego też powieści Kawalca mają tak wiele wspólnego z moralistyką. Powaga przedstawianych spraw powoduje, że całe fragmenty pisane są w tonie podniosłym, przypominającym niektórym recenzentom nawet tonację biblijną.

Przekroczenie granicy, przepłynięcie symbolicznej rzeki, przyobleczenie nowej skóry, zdrapanie z twary ostatniej grudki ziemi nie może dokonać się automatycznie. Złożoność tego procesu współdecyduje o głębi pisarskiej refleksji Juliana Kawalca.

ROCZNIK XVI

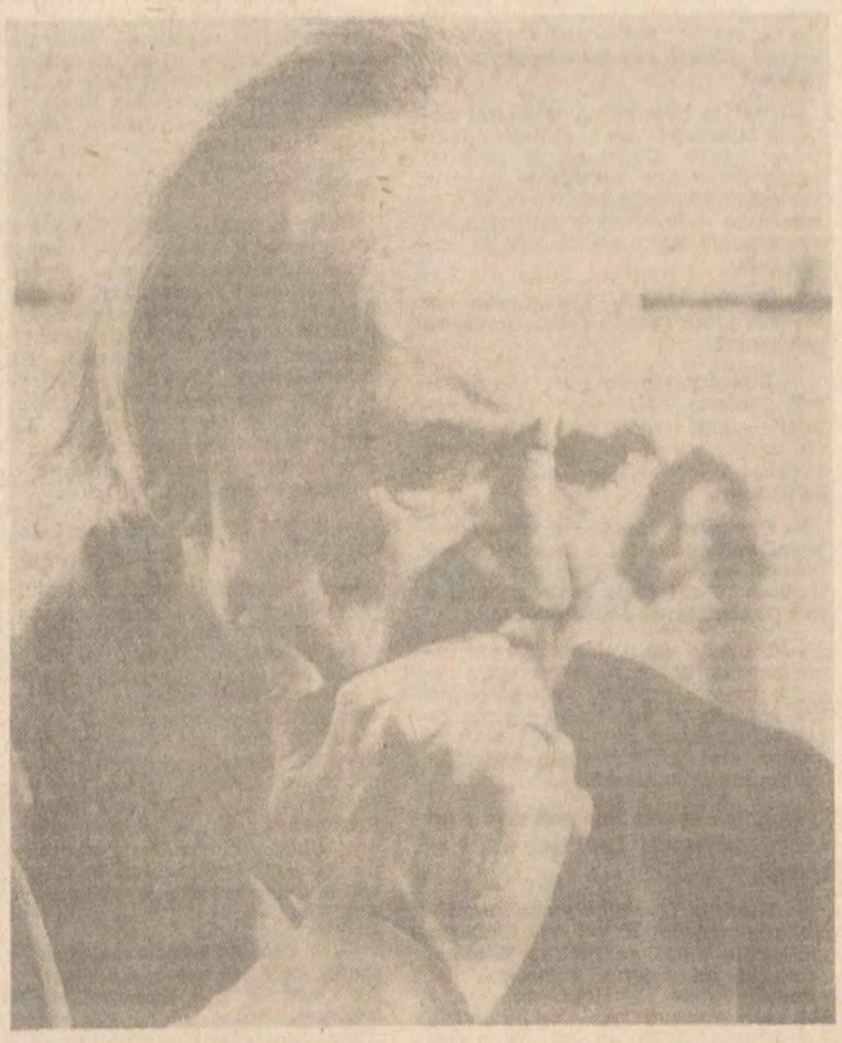

EUGENIUSZ PAUKSZTA

PISARZ POGRANICZA

Tak — od tytułu jednej z książek — nazywa się **Eugeniusza Pauksztę** dlatego, iż przedstawiał losy repatriantów (głównie z Wileńszczyzny), którzy na Ziemiach Zachodnich mieszali się z ludnością miejscową. Był to — w ślad za narodową i społeczną rangą zjawiska — jeden z najistotniejszych tematów literatury polskiej po drugiej wojnie światowej. Stanowił stały punkt dyskusji i literackich obrachunków na kolejnych Zjazdach Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. W twórczości Pauksztv zaś to temat naczelny, ujmowany przez dwa aspekty tego samego procesu społecznego: wrastania przybyszów w nową ziemię i powrotu do polskości ludności autochtonicznej. Z tej żywej współczesności zrodziło się zainteresowanie niespokojną, barwną i tragiczną historią Nadodrza. Przygodowe i romansowe wątki, wyrastające w pewnej mierze z tradycji upowszechnionej przez autora „Krzyżaków", uzupełniają patriotyczne przesłanie tej prozy. Serię utworów, realizujących temat zachodni w sposób — jak dotąd — najszerszy i najpełniejszy chyba, rozpoczęła w roku 1948 powieść pod charakterystycznym tytułem „Trud ziemi nowej". Symbolika tytułów jest u Pauksztv zresztą bardzo wymowna: „Wrastanie", „Po burzy jest pogoda", „Wszystkie barwy codzienności" itd. Większość spraw, o których pisał, zna z autopsji — był bowiem na różnych szczeblach aktywnym działaczem Polskiego Związku Zachodniego. Kontynuowane później w innych organizacjach społecznych i kulturalnych działalność nie zaszkodziła mu w rozwijaniu pisarskiego dorobku.

Obejmuje on w chwili obecnej ponad trzydzieści tomów prozy. Zamiast więc sporządzać ich rejestr, wspomnijmy raczej, że Pauksztа jest pisarzem popularnym, i to głównie wśród młodzieży, podstawowego zresztą adresata jego utworów. Czytelników pociąga atrakcyjna fabuła, żywa narracja, epicki rozmach i pewna prostota. W ten sposób wyzyskuje ta twórczość patriotyczne i wychowawcze walory. Patriotyzmu dowodził zresztą nie tylko piórem — ma za sobą piękną kartę działalności w ruchu oporu.

W jubileuszowym momencie Pauksztа znajduje się w dobrej formie pisarskiej i pozostaje wierny obranej drodze — niedawno przygotował do druku książkę pt.: „Zawsze z tej ziemi" i zbiera materiały do zamierzonej wcześniej trylogii o Powstaniu Wielkopolskim.

WILHELM SZEWCZYK

ZACHODEM POSZŁY DZIEJE

Określenie pisarz nie wyczerpuje w przypadku **Wilhelma Szewczyka** sprawy. Myślę nawet, że bardziej jest on znany jako publicysta i współorganizator życia literackiego niż autor na przykład powieści „Skarb Donnersmarcków" czy tomu wierszy „Zima boi się drzew". Taki stan rzeczy wynika po prostu z rodzaju temperamentu, a także z naturalnego niejako wyspecjalizowania się w tematyce Śląska, Ziem Zachodnich i problematyce niemieckiej. Szewczyk urodził się bowiem na Śląsku i od śląskich spraw zaczynał w debiutanckim poemacie „Hanys", opublikowanym rok przed wybuchem wojny. W innym poemacie pt.: „Noc", napisanym w czasie okupacji, snuł wizję późniejszych dziejów i przewidywał trwałość własnych zainteresowań. Pisał tam między innymi:

Zachodem pójdą dzieje i pod
zachód pługi,
brzegiem Odry, doliną · końskim
galopem.

Twórczość artystyczną Wilhelma Szewczyka ukazuje przede wszystkim problematykę regionu na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Okresowi tworzenia i rozbudowy przemysłu poświęcony jest wspomniany już „Skarb Donnersmarcków" lata okupacji hitlerowskiej ukazuje cykl powieściowy „Kleszcze" i „Czarne słońce". Z innych zupełnie, Kafkowskich, ale ujętych a rebours tradycji, zrodziła się powieść „Wyprzedaż samotności" Wyraźna zapowiedzią zwrotu w stronę publicystyki były tomy szkiców, prezentujące sylwetki działaczy społecznych i pisarzy ludowych („Śląski trud literacki", „Trzynaście portretów śląskich", „Z kraju Lompy").

Stałym przejawem publicystycznej pasji Wilhelma Szewczyka jest rubryka „Życia Literackiego", noszącą ongiś tytuł „Co robią Niemcy" a ostatnio „Z notesu Wisza". W niej komentuje zjawiska społeczne, polityczne, obyczajowe i literackie, dziejące się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, Republice Federalnej Niemiec i w Austrii. Jest chyba najwierniejszym i najregularniej wypowiadającym się komentatorem spośród wszystkich naszych niemcoznawców. Wybór tych felietonów ukazał się przed kilku laty w wydaniu książkowym. Inny przykład rzeczonych zainteresowań stanowi „Literatura niemiecka w XX wieku", posiadająca podręcznikowy i impresyjny zarazem charakter.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

ROZMAITOŚĆ ŚWIATA

Spośród wielu formuł, jakimi do tej pory obejmowano bogatą twórczość **Wojciecha Żukrowskiego**, ta, autorstwa Zbigniewa Kubikowskiego, wydaje się najtrafniejsza. Bo Żukrowski jest pisarzem-sensualistą, jego opisy oddają w sposób niemalże namacalny kształty otaczających nas zjawisk i przedmiotów. A przede wszystkim fascynują czytelnika wielością i różnorodnością spraw, tworzących tkankę tej prozy.

W bujnej, witalistycznej, w konsekwencji więc i żywiołowej twórczości Wojciecha Żukrowskiego widać kilka stałych spraw. Pierwsza z nich — to konsekwentne wypełnianie literackich obowiązków obywatelskich. Najdobitniejszym przejawem jest tu zespół zagadnień, ujmowanych stereotypowo w formułę rozrachunku z wojną. Te trwałe zainteresowania wojną i walką, heroizmem żołnierskim, a także zmysłowy sposób ich widzenia powodują, iż Żukrowski uznany został za godnego kontynuatora Sienkiewiczowskiej tradycji. Uczestnik kampanii 1939 roku, niewca cnót żołnierskich, był jednym z nielicznych, którzy nie tylko bez rezerwy i ironii, ale wręcz w tonacji bohaterstwa odnieśli się do kawaleryjskich realiów wrześniowej potrzeby. Długo funkcjonował w świadomości literackiej opis szarży z opowiadania „Lotna" (sfilmowanego, jak pamiętamy, przez Andrzeja Wajdę):

„Pochyliłem się. Nim tknąłem ją ostrogą, klacz skoczyła nagle. Nie dała się wyprzedzić. Trzewia grały. Ziemia poczęła się mocno kołysać, nachylona wściekłą falą galopu.

Ręka ściskająca szablę zwilgotniała. Wysoki gwizd kuli nad hełmem przydawał tylko piękna temu lotowi ponad jesiennym polem, ledwie powleczonym szklanym blaskiem wstającego słońca. Twarz mi stygła od bolesnego zachwytu. Nie żałowałem niczego. Cóż młodość, miłość, gdy miałem nozdrza pełne zapachu konia, wystrzałów i krwi gorącej, którą za chwilę rozleję."

Ale zwracał się nie tylko ku „Dniom klęski". W nowelach filmowych „Kierunek Berlin" towarzyszył żołnierzowi polskiemu wkraczającemu do powalonej stolicy III Rzeszy.

Żukrowski należy do najbystrzejszych obserwatorów życia współczesnego. Rejestruje i interpretuje konflikty polityczne, klasowe, moralne i erotyczne. Wszystkie one splatają się w interesującą całość w opublikowanych przed dziesięciu laty „Kamiennych tablicach". Była ta książka bestsellerem, szybko doczekała się wznowienia.

W obserwacjach tych ujawnia się często swoiste poczucie humoru, dostrzeganie ludzkich dziwactw i słabostek, pojawia się celowy element groteskowej deformacji. Od groteskowej wizji świata krok już tylko do krainy baśni. Właśnie one szczególnie interesują pisarza. Zwłaszcza zaś podania Dalekiego Wschodu, gdzie przebywał przez dłuższy czas. „Porwanie w Tiuturlistanie", „Córeczka. Opowiadania o dzieciach i zwierzętach", „Ognisko w dżungli", „Wędrówki z moim Guru", „Nieśmiały narzeczony" — te znane tytuły świadczą jak ważna i bogata jest ta problematyka w pisarstwie Żukrowskiego.

Żywioł świata odbija się korzystnie w jego książkach na żywiole narracji. Żukrowski przede wszystkim opowiada i opisuje, jest urodzonym epikiem. I nie bez przyczyny napisał Włodzimierz Maciąg, że w tej twórczości „żywioł narracji zwycięża". Zwycięża, bo ukazuje wszystkie barwy świata i — mimo konfliktów — urodę życia.

Wkrótce — jak podały „Nowe Książki" — ma się ukazać zapowiadana od dawna „Plaża nad Styksem". Oczekujemy jej z niecierpliwością.

Mgr inż. architekt
BOLESŁAW KARDASZEWSKI
Fot. W. Parys

PRAWO WIELKIEJ LICZBY

Dalszy ciąg ze str. 1

łecznych przestała być domeną jednego specjalisty, „mistrza" wszechnauk. Jest ona rezultatem kolektywnej pracy zespołu, w którym rolę wiodącą ma lub powinien mieć architekt, a zależy to w znacznej mierze od jego osobistych dyspozycji.

Architektura współczesna oparta o nowoczesne materiały, technikę i technologię przyczynia się do wzrostu roli „techników" wśród „twórców". Architektura polska bliska była i jest międzynarodowej orientacji światopoglądowej. Polega ona na hołdowaniu kanonom modernizmu, wypracowanym w latach dwudziestych naszego stulecia w szkole „Bahausu", wśród których dominował racjonalizm oparty o funkcjonalizm i konstruktywizm. Postępowy ten kierunek, odrzucał jednak tradycję architektoniczną, nie uznawał kultury kontynuacji.

Pozbyliśmy się posłusznie dorobku nie tylko lat minionych, ale i dorobku lat współczesnych, zawartych w twórczości architektów tej miary co Lalewicz, Przybylski, Szyszko-Bohusz, Pniewski i inni. Nie potrafiliśmy także wykorzystać szans jakie dawał w głoszonych ideach realizm socjalistyczny, ideach architektury socjalistycznej w treści narodowej formy. Korzystaliśmy z postępowych na on czas zaleceń Karty Ateńskiej, której tezy wydawały się nam swoistym antidotum na chaos zabudowy kapitalistycznych miast. Wydzielenie poszczególnych funkcji miasta takich jak mieszkalnictwo, praca, wypoczynek, wróżyło znalezieniem recepty na trudności kierowania ich rozwojem. Przez blisko pięćdziesiąt lat ślepo trzymaliśmy się tych reguł.

— A więc osławione dzielnice — sypialnie, czy też puste bezludne kwartały biur czy urzędów??

— Zaczynamy zdawać sobie sprawę z faktu, iż zalecenia Karty Ateńskiej poszły zbyt daleko. W sterylnie rozdzielonych funkcjach miasta człowiek poczuł się obco. dzielnice — sypialnie przy monokulturze tworzywa architektonicznego i układach urbanistycznych dyktowanych śladem torowiska dźwigu, nie dawały mieszkańcowi szans identyfikacji. Zaczynamy znów cenić swoisty kontrolowany chaos, taki który byłby bliski bogatej a jednocześnie złożonej naturze ludzkiej. Konieczna stała się weryfikacja kanonów programowych. Nie tylko program mieszkaniowy, ale usługi handlu gastronomii kultury, administracji (np. biura projektowe), przemysł, rekreacja i wypoczynek, powinny się wzajemnie uzupełnić dając żywy organizm dzielnicy miasta, już nie osiedla. Powiedział pan: „Bezludne kwatery biur i urzędów". Łódź tych wad nie nabyła, tylko dlatego iż nie jest centralą urzędów.

— W Łodzi hołdowaliśmy raczej Karcie Ateńskiej...

— Większość aglomeracji miejskich, które realizowały szeroki program budownictwa hołdowało i hołduje jeszcze Karcie Ateńskiej. Zmiany nie nastąpią szybko, ważna jest jednak świadomość poprzedająca wszelkie działania. Dodać należy iż nowy model dzielnicy, miasta powinien doprowadzić do oszczędnego układu komunikacji masowej tak uciążliwej dla ludności oraz budżetu miejskiego.

Układ aglomeracji miejskich będzie się kształtował podobnie jak układ zagospodarowania przestrzennego kraju, a więc policentrycznie, węzłowo-pasmowo.

— Tymczasem jednak odeszliśmy od historii czym jest architektura modernistyczna?

— Architektura modernistyczna była i jest architekturą protestu w stosunku do tego co stworzyły epoki minione. Uważała za swój obowiązek oderwać się od wszystkiego co miały w sobie neoklasycyzm, elektyzm, secesja. Racjonalizm jest na pewno istotnym jej osiągnięciem. Czystość projektowania, struktura obiektu, zgodność funkcji z plastyką i konstrukcją. Chłodno wyspekulowane, dalekie przyzwyczajenia i przywary natury ludzkiej. Na tym gruncie wyrósł irracjonalizm, neomodernizm, emocjonalizm, neoromantyzm.

Emocje, sentymenty, okazują się sprawą ważną, skoro projektant Brasilii, architekt Oscar Nemeyer, powiedział: „Brasilia jest daleka, zagubiona, zimna, rozległa, monotonna, szklano-betonowa, ale bez ciepła bez miejskiego klimatu, bez duszy."

— To chyba jeszcze jeden dowód na to, że nikt nie lubi rzeczy sterylnie czystych.

— Powiem coś niepopularnego. Potrafię chyba zrozumieć budowniczego domu przy ulicy Krakowskiej w Łodzi. Swego czasu był ostro krytykowany za brak smaku, za kicz, a przecież willa ta jest odbiciem potrzeb szerszych, uzewnętrznia ludzką tęsknotę do form nie standardowych, ekspresyjnych. Moim zdaniem jest to budynek znacznie lepszy architektonicznie niż niejedno pudełko w modernistycznej „willi" podmiejskiej z płaskim dachem... Modernizm mimo jego osiągnięć uczynił także spustoszenia w dziedzinie architektury. Praktycznie zlikwidował architekturę regionalną, narodową. Koszmarem zaczyna dziś być dla nas to, co Richard Neutra opatrywał jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych pochwalnymi wykrzyknikami i uznawał za dowód emancypacji architektury, a mianowicie jej wzrastające umiędzynarodowienie i globalne ujednolicenie, zarówno pod względem estetycznym jak i technologicznym.

— A więc koniec ze sztampą?

— Wracamy do głęboko zalegającej świadomości iż architekturę powinien kształtować krajobraz, warunki klimatyczne. Kształtuje ją jednak również produkcja przemysłowa, materiał, prefabrykowana technologia wytwarzania itp. Mówimy przeto o „otwartym" systemie projektowania i realizacji, w którym przy określonej ilości komponentów, będzie można uzyskać nieskończenie wiele rozwiązań.

Mówimy!... Z realizacją bowiem stawianych tez nie jest najlepiej choć zrozumienie towarzyszy nam powszechnie.

— A jak te słuszne tęsknoty przenieść do budownictwa wielorodzinnego?

— Sprawy budownictwa mieszkaniowego, wielorodzinnego limituje z jednej strony rozwój techniki z drugiej zaś masowość potrzeb. Skala działania powoduje, iż warsztat pracy architekta zmienia się diametralnie. Zanika projektowanie indywidualne zarezerwowane dla obiektów unikatowych, na rzecz projektowania systemowego, metody świadomego działania, w oparciu o paletę w zdefiniowaniu środków. Budownictwo mieszkaniowe wielorodzinne od dawna oparte jest o systemy realizacji, np. W-70, system „szczeciński". Nie wystarczą już nam systemy. Posiedliśmy nowe szczeble świadomości. Planujemy integrację międzysystemową, stworzenie subsystemów z możliwością doboru komponentów z poszczególnych „rodzin". Myślimy o metodach minięcia progu kąta prostego i płaszczyzny prefabrykacji elementów. Planujemy użycie nowych materiałów w oparciu o bazę wielkiej chemii, która pozwoli nam przekroczyć barierę wielkości elementów ze skali izby, na skalę mieszkania.

— Czy nie oznacza to po prostu końca architektury?

— Wręcz przeciwnie. Są to nowe możliwości tworzenia architektury na miarę naszych czasów ambicji i aspiracji. Rzecz w tym, aby w przekroju ogólnoświatowym projektowaniem zajmowali się architekci. Wiadomo już, jak ograniczony jest niemal wszędzie wpływ architektów na całokształt procesów zachodzących w dziedzinie budownictwa światowego.

Konstantinus Doxiadis autor dzieła „Architektura w toku przemian", ocenia, że nie więcej niż pięć a prawdopodobnie zgoła tylko dwa procent budowli wznoszonych na kuli ziemskiej, zostało zaprojektowanych przez architektów, podczas gdy pozostałe wznoszą rzemieślnicy, domorośli budowniczowie lub sami właściciele. Rzecz również w tym, aby podstawowym nakazem dla architektów nie był kompromis zaś praca projektowa stanowiła więcej niż obecne 5 proc. wszystkich ich zajęć. Wielkość pracy architektów w kraju wyznaczają zadania społeczno-gospodarczego rozwoju. Prawo wielkiej liczby obowiązuje. Do roku 1990 zbudować mamy „drugą Polskę".

— Rodzi się pytanie czy jesteśmy zdolni kontrolować ten rozwój? Czy starczy nam sił, aby założenia i projekty stały się rzeczywistością?

— Panuje w naszym środowisku pogląd, że działalność architektoniczna jest ściśle zdeterminowana warunkami zewnętrznymi. To prawda. Decyzje polityczne, społeczne, czy gospodarcze, warunkują prawidłowy rozwój architektury, ale nawet gdy takie decyzje stwarzają najlepsze warunki, to nie gwarantują powstania dobrej architektury.

Czy jesteśmy zdolni kontrolować ten rozwój?

Tak, dzięki technice niezależnie od modelu, jaki dla społeczeństwa tworzą architekci.

— Jaka więc jest współczesna architektura?

— Definicje architektury są różne.

Encyklopedie podają: „Architektura — zarazem nauka i sztuka budowania oraz kształtowania plastycznego budynków, według pewnych określonych zasad"

„Architektura jest przekutą w kamień muzyką", stwierdził Goethe.

„Architektura jest sztuką kształtowania przestrzeni"

„Architektura jest sztuką materialnego tworzenia".

Są to stwierdzenia bliskie ale nie jednoznaczne.

Architektura moim zdaniem najmniej jest sztuką i inspiracją. Najwięcej, skomplikowanym procesem rozwiązywania zdań, wynikających z przyjętych idei organizacji i funkcjonowania programu, podniesionych do potęgi przestrzeni.

„Architektura nowoczesna" u nas możliwa, to architektura, wynikająca z rozsądnej postawy ekonomicznej z zastosowania nowych materiałów i konstrukcji, a więc realizowana przy pomocy współczesnych środków współczesnym celom, wśród których dobro człowieka jest dobrem najwyższym.

Jaka jest współczesna architektura? Jest interdyscyplinarna. Jest wiedzą stykową, łączącą dyscypliny techniczne i wiedzę humanistyczną. Wymaga znajomości socjologii psychologii, ekonomii. Ktoś powiedział iż architekt to genialny dyletant. W tym paradoksalnym zestawieniu kryje się część prawdy. Współczesna architektura weryfikuje poglądy, iż mieszkanie — to maszyna do mieszkania, a kościół — to maszyna do wierzenia. Powraca do sfery psychicznej człowieka. Staje się przez to bardziej humanistyczna.

Gdyby bezkrytycznie hołdować maszynizmowi, nadszedłby czas w którym liczba chorych przekroczyłaby liczbę zdrowych. Proszę nie zapominać iż w roku 2050. 80 proc. ludności Polski mieszkać będzie w miastach.

— Ukazał pan tu zagrożenie wynikające z rozwoju cywilizacji. A przecież prawo wielkiej liczby rozwój ten potwierdza. Zapewniając że uda się nam przywrócić w budownictwie pierwiastki humanistyczne, jak będzie ona realizowana w tej przerażającej skali.

— O tym powinni wypowiedzieć się futurolodzy. W najbliższym perspektywicznym i kierunkowym rozwoju budownictwa w kraju, nie grożą nam megastruktury. Pomimo faktu szybko postępującej urbanizacji kraju i utraty przez ostatnie piętnaście lat około 650 tys. ha wolnych terenów możemy rozważać powrót, obok budownictwa wysokiego, do zabudowy mieszkaniowej cztero- zamiast pięciokondygnacjowej. Póki co w budownictwie mieszkaniowym trwać będzie wielka płyta oraz, pięciokondygnacjowy system zabudowy. Na całe szczęście uporaliśmy się z ciemnymi kuchniami, pokojami o pow. 6,0 m² i innymi grzechami przeszłości.

— Czy te grzechy wynikały z nieumiejętności opanowania nowych technik, czy też architekci zbyt łatwo ulegali jakimś administracyjnym naciskom?

— Był to ekonomizm w naszej polityce mieszkaniowej zbyt daleko chyba posunięty. Obliczono, iż głębokie trakty budynków pozwalają osiągnąć korzystniejsze wskaźniki kosztów. Zapominano o kosztach społecznych i o względności pojęcia oszczędnego budowania.

— A czy obecnie nie popełniamy błędów, które surowo ocenią następne pokolenia?

— Staramy się do nich nie dopuścić. Możemy jednak stwierdzić, iż pomimo naszej świadomości starzenie się np. nowej substancji mieszkaniowej moralne i techniczne, postępuje zbyt szybko.

— Czy nowe techniki uchronią nas przed uniformizmem i monotonią tak dokuczliwą w niektórych naszych osiedlach? Powiedzmy sobie wprost: a co z detalem architektonicznym?

— Na detal architektoniczny patrzymy inaczej. Nie szukamy przecież rozetki, konsoli, gzymsu, detal powinien być zawarty w strukturze danego obiektu. Szukamy go w skali zespołu, osiąga przez to inną skalę, oddziaływa na inną przestrzeń.

— A jak ocenia Pan pod względem architektonicznym Łódź przeszłą i obecną?

— Kiedy w 1956 roku poznałem miasto, zrozumiałem iż jest ono trudnym poligonem pracy architekta. Wszelkie działania na żywym organiźmie są skomplikowane. Nie jest łatwo znaleźć metodę przebudowy, modernizacji, rozbudowy, zwłaszcza w przypadku Łodzi, usztywnionej układem siatki prostokątnej ulic, pierzejową zwartą zabudową o określonych gabarytach.

Metodę tę należało znaleźć, bowiem spuścizna lat minionych wymagała radykalnego działania urbanistycznego i architektonicznego. Łódź była przecież nazwana miastem chaosu i brzydoty. Nie możemy jej obecnie w zakresie urbanistyczno-architektonicznym w pełni ocenić ponieważ jest w trakcie przebudowy i modernizacji.

Można jednak zastanawiać się, czy zmiana skali miasta na dalszym kroku jest słuszna. Na ile zabudowa punktowa wysokimi budynkami, każdej wolnej działki jest prawidłowa? Łatwo w takim działaniu pogłębić chaos.

— Zastanawiam się czy dopracowaliśmy się już metod przebudowy miasta. Myślę tu o różnych konkursach architektonicznych, które znajdują słabe odbicie w przekształcaniu obrazu Łodzi.

— Cierpimy na brak realizacji wielkich założeń urbanistycznych. Nasze efekty nie funkcjonują jeszcze w świadomości społecznej. Po prostu nie widzimy całości. Obawy takie świadczą o tym, iż potrzebne jest działanie kompleksowe. Niekorzystne jest chyba także i to, że w historii paru lat nie udało się nam wykorzystać dorobku konkursów architektonicznych. Organizowane są z wielkim rozmachem, ale rzadko odwołujemy się do nagrodzonych nawet propozycji. Tak więc nie znalazł swego odbicia w przebudowie miasta konkurs na kompleksowe rozwiązanie Rynku Bałuckiego, Placu Niepodległości, rejonu Świerczewskiego—Czerwona, Placu Zwycięstwa, czy też konkurs na Łódzki Zespół Kultury.

Przy nowych technikach, nowej architekturze, trzeba nieustannie pamiętać o nadrzędnych wartościach urbanistycznych, które miasto posiada jako spadkobierca określonej tradycji historycznej. Już w tej chwili łódzka secesja jest rewelacją na skalę światową. Niedługi jest chyba czas kiedy przeprosimy eklektyzm. Jest w Łodzi architektura wartościowa wieku XX, że wspomnę gmachy urzędów, banków, hoteli, obiektów kultury.

Łódź posiada więc tradycję architektoniczną. Więcej nawet, posiada tradycje kulturowe, które powinny sprzyjać rozwojowi architektury. Ta tradycja związana jest ze środowiskiem teatralnym i artystycznym, działali tu przecież wielcy reżyserzy Karol Adwentowicz i Leon Schiller. Tu działali aktywnie plastycy związani z lewicą: Władysław Strzemiński, Karol Hiller, Stefan Wegner, Katarzyna Kobro, Istniało wreszcie ciekawe choć nieliczne środowisko pisarskie.

— A jaki będzie nasz wkład do tej tradycji?

— Są pewne prawa rozwoju, są sprawdzone społecznie reakcje na określone zjawiska, które powtarzają się przez pokolenia. To, co dziś, choć tak różne od stylów dawnych epok, znakomicie kojarzy w sobie dziedzictwo odwiecznych doświadczeń. Z perspektywy lat może się okazać, że dodanie do współczesnej architektury nowego programu, nowych treści, będzie się sprawdzać nie tylko pod względem funkcjonalnym, ale także pod względem emocjonalnym. Jestem przekonany, że z tej konfrontacji epok architektura współczesna wyjdzie zwycięsko.

— A Pańskie własne realizacje? Nie chodzi tu, o ich ocenę, ale raczej o to, jak stara się Pan sprostać tym tendencjom, które zdają się określać istotę współczesnej architektury?

Wymienię dwie realizacje jako przyczynek do poglądów, które starałem się zaprezentować.

Najpierw prawo wielkiej liczby. Przy wielkiej skali trzeba wybierać taki system projektowania, aby dał się zakodować na taśmie perforowanej. Tu kryteria są jak liczby, z których trzeba zestawić optymalny program. Przykładem takiej realizacji jest dzielnica wyższych uczelni, a więc kompleks obiektów dla Uniwersytetu, zlokalizowanych pomiędzy ulicą Nowotki na północy, Narutowicza na południu, Kopcińskiego na zachodzie, Konstytucyjna na wschodzie. Jest to działanie na wielką skalę, budowane będą bowiem wszystkie wydziały uniwersytetu według jednej metody realizacji zintegrowanego systemu.

Krańcowo odmienny przykład obiektu o wyjątkowym charakterze, to zrealizowany projekt gmachu Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. W obiekcie tym usiłowałem minąć progi modernizmu. Dążyłem do osiągnięcia czegoś więcej niż czysta rzeczowość i racjonalizm w architekturze.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

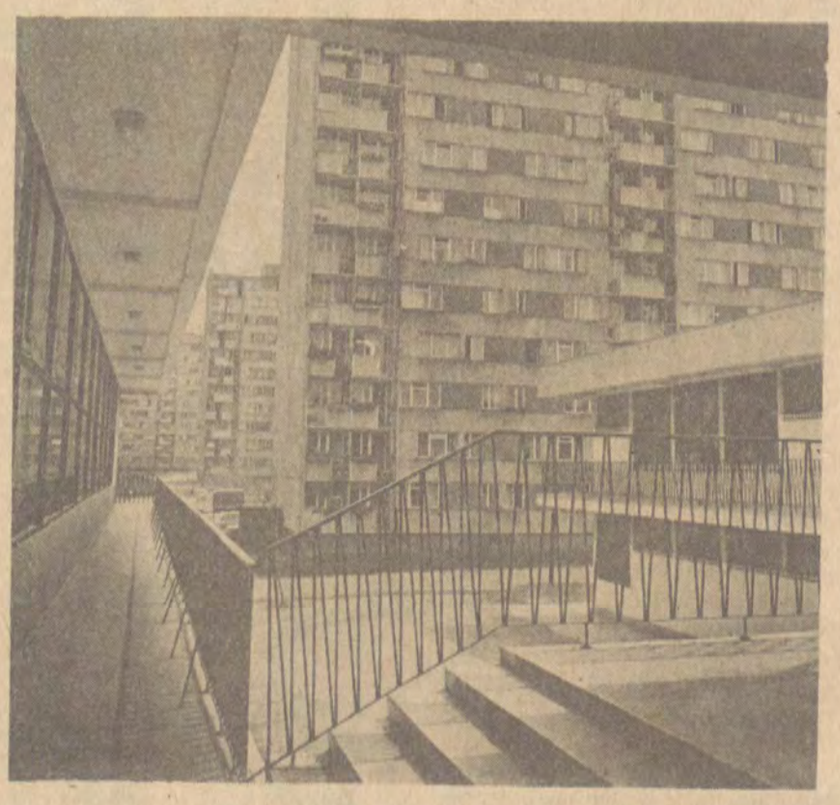

Fot. J. Stankiewicz

U PRZYJACIÓŁ

Kilka tygodni temu pisaliśmy w tym samym miejscu o odbywającym się w ZSRR III Festiwalu Dramaturgii Polskiej. Dzisiaj, kiedy impreza ta została już zakończona możemy pozwolić sobie na krótkie podsumowanie.

Najpełniej określił to wielkie wydarzenie kulturalne wiceminister kultury ZSRR — Konstantin Woronkow: „Wspólne święto ludzi teatru Polski i Kraju Rad to nie tylko wydarzenie kulturalne. Była to wspaniała manifestacja łączącej nas braterskiej przyjaźni i codziennej współpracy, bez której niemożliwy byłby tak imponujący zasięg festiwalu".

„Zasięg" festiwalowej prezentacji był rzeczywiście ogromny, wystarczy przytoczyć liczby: 100 teatrów przygotowało 122 spektakle 42 utworów polskiej dramaturgii. Bardziej jednak przekonywający niż liczby, był widok tłumów oblegających kasy w teatrach, gdzie odbywały się przedstawienia, i próbujących zająć choćby stojące miejsca na sali.

Tematyka wystawianych utworów była bardzo różnorodna i dotyczyła wielu problemów zarówno z życia współczesnych Polaków, jak i wielkich wydarzeń historycznych. Różny też był gatunek prezentowanych sztuk: były tam komedie Fredry, a także dramaty Kruczkowskiego.

Wszystkie przedstawienia spotkały się z ogromnym zainteresowaniem widzów. Premiera nad premierami stała się jednak inscenizacja „Lata w Nohant". Range tego przedstawienia podkreśla kilka okoliczności: jest to dzieło Jarosława Iwaszkiewicza jednego z największych twórców naszej literatury, którego utworów reklamować nie trzeba. Ponadto utwór ten wystawiany był na jednej z czołowych scen stolicy Kraju Rad w Teatrze im. Wachtangowa. O randze i specyficznej „magii" tego teatru pisaliśmy także w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów". Reżyserem spektaklu był dyrektor warszawskiego teatru — August Kowalczyk, i ten fakt także zasługuje na specjalne podkreślenie i niewątpliwie wpłynął również znacznie na poziom inscenizacji „Lata w Nohant".

Odtwórczyni głównej roli George Sand — Ludmiła Maksakowa powiedziała: „Udział w tym przedstawieniu dał mi wiele satysfakcji. Źródłem tej satysfakcji był nie tylko fakt, że wcieliłam się w postać kobiety o tak nieprzeciętnej osobowości. Bardzo dużo daje aktorowi praca pod kierunkiem takiego reżysera jak August Kowalczyk — i pragnę wyrazić również w imieniu moich kolegów, nadzieję, że dzięki codziennym kontaktom teatrów im. Wachtangowa i Polskiego, nie było to ostatnie spotkanie z tym artystą.

Twórczość sceniczna Iwaszkiewicza dla mieszkańców Moskwy nie ograniczała się jedynie do znajomości jednego dzieła. W Moskwie urządzono wystawę obrazującą dorobek naszego wybitnego twórcy.

III Festiwalowi Dramaturgii Polskiej w ZSRR towarzyszyły liczne imprezy uzupełniające: były spotkania, wystawy, sympozja i konferencje.

W czasie trwania festiwalu odwiedził także ZSRR zespół Teatru Narodowego z Warszawy. W swoim programie miał on dzieła dwu naszych klasyków twórczości scenicznej — „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego i montaż tekstów Aleksandra Fredry „Trzy po trzy". Obydwa przedstawienia spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem u widzów.

Festiwal już się skończył, trwał on zaledwie tydzień, lecz jego efekty mierzone nie tylko w kategoriach współpracy kulturalnej, widoczne będą jeszcze długo w przyszłości. W roku 1977 polski świat teatralny będzie gospodarzem VII Festiwalu Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej. Przygotujmy się na duże emocje.

JAPONIA – EWG

OSTRY KONFLIKT HANDLOWY

Na tle pogłębiającego się ogólnego kryzysu kapitalizmu gwałtownie zaostrzyła się walka konkurencyjna między koncernami Japonii a koncernami krajów Zachodniej Europy. Liderzy Wspólnego Rynku są głęboko zaniepokojeni, że rosnący wciąż eksport japoński przekreśla ich nadzieje na przezwyciężenie trudności ekonomicznych, wywołanych ponownym spadkiem produkcji i popytu.

Handlowo-ekonomiczny konflikt japońsko-zachodnioeuropejski osiągnął już takie stadium, że był przedmiotem gorącej dyskusji na konferencji szefów krajów członkowskich EWG, która tydzień temu odbyła się w Hadze. Postanowiono podjąć wspólne energiczne działania w celu powstrzymania inwazji japońskich towarów, zalewających zachodnioeuropejskie rynki. Wielu specjalistów uważa, że istniejąca sytuacja może doprowadzić do otwartej wojny handlowej między Japonią a dziewiątką krajów Wspólnego Rynku.

Przywódcy EWG oczekują, że w najbliższym czasie Japończycy dobrowolnie zobowiążą się do zmniejszenia swego eksportu do Zachodniej Europy. Jeśli jednak będą się upierać przy swoim, to muszą się liczyć z tym — grożą liderzy Wspólnego Rynku — że „na drodze ich importu do krajów EWG wyrosną skuteczne przeszkody".

W ciągu ostatnich 10 lat objętość handlu między Japonią i krajami EWG wzrosła ponad czterokrotnie, przy czym straty poniosła EWG. Już 5 lat temu wartość towarów, które sprzedali Japończycy na rynkach EWG przewyższyła o 780 milionów dolarów wartość ich importu z krajów EWG. W ubiegłym roku deficyt handlu EWG z Japonią przewyższył 3 miliardy dolarów. W tym roku — twierdzą mocno zaniepokojeni zachodnioeuropejscy specjaliści — deficyt ten będzie jeszcze większy. Od stycznia do lipca br., a więc zaledwie w ciągu siedmiu miesięcy, japoński eksport do krajów Wspólnoty zwiększył się o 14 procent, a import... zmniejszył się o 3 procent.

Zachodnioeuropejskie kraje z oburzeniem podkreślają, że wysoce konkurencyjny przemysł japoński „zbiera samą śmietankę na przemysłowych rynkach towarów szerokiego spożycia, podczas gdy japoński rynek — jak twierdzi przedstawiciel EWG w Tokio, Wolfgang Ernst — dysponuje wystarczającymi środkami ochronnymi, żeby nie dopuścić do większego dopływu wyrobów przemysłowych seryjnej produkcji z krajów EWG".

Chociaż na obszar EWG dostaje się zaledwie około 10 procent japońskiego eksportu, to jednak w niektórych krajach Wspólnego Rynku Japończycy zdobyli dominujące pozycje w dziedzinie zbytu drogich towarów szerokiego spożycia. I tak np. co dziesiąty przenośny telewizor czarnobiały, sprzedany na rynkach EWG, został wyprodukowany w Japonii. Prawie co drugi kieszonkowy kalkulator sprzedany w RFN nosi japoński znak firmowy.

Zachodnioeuropejscy przemysłowcy tłumaczą często sukcesy dalekowschodnich konkurentów osobliwością japońskiej strategii eksportu: żeby przeniknąć na zagraniczne rynki japońskie firmy sporządzają kosztorysy na wyroby przemysłowe według najniższych cen, osiągając przy tym, z reguły, zawrotne zyski.

Japończycy z taką samą energią, z jaką prowadzą ataki na coraz to nowe gałęzie przemysłu w Europie, bronią własnego rynku przed zagranicznymi konkurentami. Wszak ani przedsiębiorcy, ani wysocy urzędnicy w ministerstwie handlu zagranicznego i przemysłu Japonii nie myślą o tym, żeby zrównoważyć handel z EWG. „Byłoby najlepszym wyjściem — powiedział jeden z czołowych bankierów tokijskich — gdyby przemysłowcy Zachodniej Europy podjęli decyzję sprzedawania swoich towarów Kanadzie i Australii, krajom, z którymi nasz handel jest deficytowy z racji kolosalnych ilości surowców, które stamtąd sprowadzamy"...

Japończycy bez oporu zachęcają zachodnioeuropejskich konkurentów, żeby „stali się bardziej agresywni", ale jednocześnie wszelkimi sposobami starają się ich przechytrzyć. I tak np. przedstawiciel zachodnioniemieckiej kompanii samochodowej „Volkswagenwerk" w Tokio, D. Witting, jest przekonany, że Japończycy z przymrużeniem oka traktują rozporządzenia dotyczące kontroli wydzielanych spalin w zagranicznych samochodach: „W ministerstwie handlu zagranicznego nie chcą się przyznać, że manipulują przepisami w sprawie norm wydzielanych spalin, ale też i nie zaprzeczają temu". W konsekwencji mijają tygodnie, nim japońscy specjaliści udzielą zezwolenia na import samochodów. Oczywiście, wszystko to jest związane ze znacznymi kosztami. Pewien przedsiębiorca z RFN musiał na przykład zapłacić za swego Mercedesa 220D dodatkowo 4.050 marek, nim wreszcie, po upływie 42 dni, pozwolono mu zabrać auto z komory celnej. W ten sposób z reguły postępują władze japońskie ze wszystkimi zagranicznymi samochodami, nawet jeśli wwozi się je w dużych partiach — donosi korespondent „Der Spiegel".

Ekonomiczni stratedzy EWG uważają dopływ towarów z Japonii, który bez przeszkód wali się na jej zachodnioeuropejskich partnerów, za „proces niewątpliwie zgubny". Dlatego to Wspólny Rynek zażądał od Japonii niezwłocznego podjęcia konkretnych kroków w celu zmniejszenia eksportu samochodów przede wszystkim do Anglii, zmniejszenia japońskiego budownictwa okrętowego oraz zakupienia większych ilości konserw w krajach członkowskich Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, grożąc jednocześnie surowymi sankcjami w wypadku odmowy wykonania tych „zaleceń". Warto odnotować, że ostrzeżenie to zabrzmiało zupełnie wyraźnie podczas konferencji przewodniczącego komicji EWG do spraw kontaktów z zagranicą z zastępcą ministra spraw zagranicznych rządu Japonii.

Na spotkaniu szefów państw należących do Wspólnego Rynku, które odbyło się w dniach 29—30 listopada br., omawiano wszystkie aspekty deficytu w handlu z Japonią, który — według wszelkiego prawdopodobieństwa — przekroczył już dziś 4 miliardy dolarów. Przed spotkaniem, 16 członkom japońskiej delegacji — jak poinformował pewien wyższy urzędnik uczestniczący w tej konferencji — „odczytano gwałtownie sformułowany protest".

Głównym powodem tego energicznego sprzeciwu były plany Japończyków przyjęcia zamówień na zbudowanie do 1980 roku statków o ogólnej wyporności 6 i pół miliona ton, podczas gdy całe światowe zapotrzebowanie na nowe statki wynosi, jak obliczono, 12 milionów ton wyporności. Przywódcy EWG uznali takie „apetyty" Japończyków za nie dopuszczalne, jednakże japońska delegacja, z zimną krwią, ograniczyła się do uwagi, iż „skargę Europejczyków byłoby stosowniej rozpatrzyć na następnym posiedzeniu Organizacji Współpracy Ekonomicznej i Rozwoju, która ma się odbyć w grudniu br...".

Ekonomiczna ekspansja Japończyków wpłynęła na pogorszenie stosunków między Paryżem a Tokio. Główną przyczyną jest przesycenie francuskiego rynku japońskimi towarami. Tosio Doko, przewodniczący Federacji Organizacji Ekonomicznych Japonii, który przebywał kilka dni w Paryżu na zaproszenie prezesa Stowarzyszenia Przemysłowców Francuskich, odczuł na własnej skórze następstwa tej złożonej sytuacji handlowo-ekonomicznej. Odbył rozmowy z premierem R. Barrem i z ministrem przemysłu i badań naukowych, M. d'Ornano. Wszędzie przyjęto go uprzejmie, lecz chłodno.

Japonię oskarża się o prowadzenie polityki dumpingu, zagrażającego wielkim francuskim przedsiębiorstwom. Zdaniem znanego francuskiego biznesmena, J. Forgeau, Japończycy sprzedają wyroby wielu swoich gałęzi przemysłu, a głównie metalurgii, praktycznie rzecz biorąc, po cenach kosztów produkcji, a nawet jeszcze taniej. Inny znany francuski przemysłowiec zwraca uwagę na fakt, że po spadku ekonomicznym Japończycy przeszli do potężnej ofensywy handlowo-ekonomicznej i gotowi są stracić wiele pieniędzy, byle by tylko do reszty zawojować rynki, na których już teraz zajmują bardzo silne pozycje.

Jeśli 10 lat temu — pisze komentator ekonomiczny tygodnika „Le Nouvel Observateur" — francuski eksport do Japonii pokrywał w wartości 80 procent importu z tego kraju, to obecnie pokrywa on zaledwie 38 procent. Japończycy osiągnęli szczególnie wielkie sukcesy w takich dziedzinach przemysłu, jak: samochodowy, motocyklowy, stalowy, fotograficzny i budowy statków. W tych przemysłach Japończycy, zdaniem zachodnich specjalistów, zajmują dominującą pozycję w świecie.

W Brukseli Tosio Doko usłyszał wiele skarg z ust oficjalnych przedstawicieli Wspólnego Rynku. Co więcej, przewodniczący Federacji Organizacji Ekonomicznej Japonii usłyszał także pogróżki, że EWG zamierza podjąć twardą decyzję: „stworzymy skuteczną zaporę przed japońskim eksportem...".

JERZY CZECH

PONOWNY WYBÓR WALDHEIMA

LIBAŃSKA SZANSA

Zbliża się szybko koniec roku i niedługo będzie czas na refleksję, co najważniejszego zdarzyło się w mijającym kalendarzowym okresie. Być może nie starczy wówczas miejsca na dwa wydarzenia, które weszły do międzynarodowego kalendarza 1976. Powiedzmy więc o nich dzisiaj, w nawiązaniu zresztą do dwóch najaktualniejszych faktów.

Pierwszym z nich jest **ponowny wybór Kurta Waldheima sekretarzem generalnym ONZ.** Nowa, pięcioletnia kadencja powierzona została zatem człowiekowi, który może siebie uważać za zawodowego dyplomatę, ale który do najważniejszych problemów współczesnego świata nie ma wcale dyplomatycznego, chłodnego stosunku. Cechujący go realizm sprawił, że w minionej kadencji Waldheim angażował się w trudne sprawy, powodując zresztą irytację niektórych państw. Tak było w przypadku, gdy skrytykował amerykańskie naloty bombowe na DRW i gdy potraktował przywódcę Organizacji Wyzwolenia Palestyny jak głowę państwa. Nie żałowała mu ostrych słów prasa amerykańska za to, że rzekomo „dopuścił się upolitycznienia" agencji wyspecjalizowanych ONZ, a prasa syjonistyczna stwierdziła nawet, że pod kierownictwem Waldheima ONZ... „stała się groźbą dla pokoju".

A jednak powierzono mu ponownie to nie tylko zaszczytne, ale przede wszystkim odpowiedzialne stanowisko. Przemawiając na forum Zgromadzenia Ogólnego — nowo wybrany sekretarz podkreślił, że **ONZ nie wypełni swej roli, określonej Kartą, zwłaszcza w dziedzinie zapewnienia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, jeśli wszystkie państwa członkowskie nie będą przestrzegać w słowach i czynach zasad tej Karty.** Nawoływał też do „bardziej pragmatycznego podejścia" i większej skuteczności działania. Wśród najważniejszych obecnie problemów wymienił: Bliski Wschód, Cypr, Afrykę południową oraz konieczność ustanowienia nowego ładu ekonomicznego. Znany jest przychylny stosunek Waldheima do całego kompleksu rozbrojeniowego.

Rok 1976 — i to mieliśmy na myśli na początku komentarza — **pozytywnie bilansować będzie również działalność ONZ,** na forum której zgłoszono wiele cennych pokojowych inicjatyw i która pełniej starała się angażować w rozwój światowego odprężenia.

Drugim faktem roku, o którym chcemy powiedzieć dzisiaj, **jest przerwanie,** po długich miesiącach wyniszczających działań, **walk w Libanie i pojawienie się przed krajem pokojowej perspektywy.** Właśnie powołany został nowy rząd, który głosi, iż stawia sobie zadanie odbudowy Libanu ze zniszczeń wojennych. Straty, jakie przyniosła wojna domowa, są wysokiego rzędu. Z 3-milionowej ludności zginęło ponad 50 tysięcy, 10 razy więcej osób wyemigrowało, całkowicie sparaliżowana została gospodarka kraju.

Przyczyny tej wojny tylko w powierzchownej warstwie można określać w kategoriach konfliktu między chrześcijanami a muzułmanami. **W istocie jest to konflikt między prawicą, składającą się niemal wyłącznie z chrześcijan, a siłami postępowymi.** Te ostatnie znalazły sojusznika wśród Palestyńczyków, których w Libanie żyje blisko 400 tysięcy. Palestyńskie oddziały zbrojne korzystały tutaj z dość dużej swobody. Narastający latami konflikt miał więc sprzyjające warunki do uzewnętrznienia się. Tak doszło w kwietniu ub. roku do wybuchu wojny domowej.

Trwała ona długo, gdyż świat arabski był podzielony co do dalszej przyszłości Libanu. Blisko sprzymierzona z Palestyńczykami Syria — znalazła się w tej wojnie po stronie... chrześcijan, co jeszcze bardziej skomplikowało sytuację. Nie miejsce tu na wywód, dlaczego tak się stało. Zwróćmy uwagę raczej na coś innego — na grę, jaką prowadził Izrael. Pozostawał on w kontakcie z przedstawicielami libańskiej prawicy, a nawet więcej — wspierał ją sprzętem wojskowym. Powiódł się zatem manewr, aby Arabów postawić przeciwko Arabom. Obraz sytuacji na Bliskim Wschodzie zaciemnił się przez to jeszcze bardziej.

I wtedy nastąpiła pewna refleksja. **Państwa arabskie** częściowo przezwyciężyły podziały między sobą i **doprowadziły do porozumienia,** które zawarte zostało w Riadzie. Głównym jego punktem jest utworzenie arabskich sił pokojowych w liczbie 30 tysięcy żołnierzy i skierowanie ich do Libanu w celu nadzorowania zawieszenia broni. W takich to okolicznościach powrócił pokój do Libanu i dziś jest szansa już niewojennego rozwoju wydarzeń.

Wojna libańska oddaliła perspektywę trwałego pokojowego rozwiązania problemu bliskowschodniego i **w kalendarzu 1976 roku musi być zapisana w szerszym wymiarze niż tylko jako dramatyczne starcie libańskich sił prawicowych i lewicowych.**

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

OCENA

Ostatnie tegoroczne Studio 2 przebiegało pod znakiem Barburki, ale twórcy programu nie wpadli ani w uwielbienie, ani w przesadę i zrobili blok — jak zwykle — różnorodny, interesujący i kształcący. Każdy, kto miał okazję porównać koncert „Z najlepszymi życzeniami" ze Studiem 2, mógł się przekonać, że można mówić o górnictwie przez kilkanaście godzin ciekawie, a można również pod tym samym hasłem zrobić koncert godzinny, który setnie wszystkich wynudzi. Na szczęście w tym samym czasie było w programie drugim powtórzenie Studia 2 sprzed miesiąca.

W Studio 2 posadzono fachowców od górnictwa i był to pomysł równie prosty, co znakomity. Pięciominutowe „wejścia" owego zespołu ekspertów były ciekawe, poszerzyły naszą wiedzę o sprawy szerzej nie znane, a w ogóle były to spotkania sympatyczne.

Ciekawe, jak oceni program Studia 2 zespół ekspertów **„Polityki"**, który przygotowuje specjalną ocenę telewizji. **Bartosz Janiszewski,** informując tym słuchaczy, odniósł się do owej oceny ze zrozumieniem, ale pobrzmiewały w jego wypowiedzi tony znane. Komentator TV kładł specjalny nacisk, mówiąc słowo **„eksperci".** Wiadomo, że niektórzy ludzie TV są zdania, że eksperci od telewizji są tylko w telewizji. Powiedział również Bartosz Janiszewski, że telewizja nie zrewanżuje się i nie będzie ze swej strony oceniać prasy.

Może nie mam racji, ale zabrzmiały tu tony ironii. Jeśli tak, to niesłusznie. Prasa ocenia bowiem na swoich łamach także książki, a literaci nie piszą książek oceniających prasę. Także film nie ocenia prasy, choć prasa ocenia dzieła filmowe. Po prostu telewizja jest publikatorem tak potężnym, mającym tak przemożny wpływ na kształtowanie opinii, postaw, gustów i upodobań, że nic dziwnego, iż budzi zainteresowanie publicystów i ludzi kultury.

I stąd się biorą te wszystkie rubryki telewizyjne w dziesiątkach gazet. Rubryki te wypełniają swoimi refleksjami nie instytucje, lecz konkretni ludzie. Zdaję sobie sprawę, że często nie mamy racji, że patrzymy na szklany ekran przez pryzmat własnych upodobań i własnego „chciejstwa", ale z tej masy zupełnie sprzecznych ocen i refleksji układa się chyba jakiś ogólniejszy ton. I myślę, że nie powinien on być telewizji obojętny, a już na pewno nie powinien wywoływać ironii i irytacji.

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi" — powiadał biskup Krasicki i pasuje to, jak ulał, właśnie do telewizji. Żadna krytyka bowiem nie jest w stanie zmniejszyć potężnego wpływu TV na kształtowanie postaw, gustów i mody. Telewizja wie o tym najlepiej, tylko że z tej wiedzy mogą wynikać dwie postawy.

Pierwsza — lekceważąca w związku z tym wszelką krytykę i wszelkie uwagi i oceny. Oraz druga — polegająca na uważnym wsłuchiwaniu się w krytykę, bo nie zaszkodzi a może pomóc, może nawet w niesłusznych ocenach kryć jakieś jądro prawdy.

Chyba więc dobrze, że od czasu do czasu zasiadają przed szklanym ekranem ludzie, którzy chcą nie tylko p o p a t r z e ć, ale i o c e n i ć. Nawet jeśli to nie są e k s p e r c i, lecz zwykli reporterzy, dziennikarze, naukowcy czy pisarze. Być może według kryteriów Janusza Rolickiego zupełnie nie nadajemy się do tego, aby pisać o telewizji, ale z tych naszych niefachowych ocen układa się jakaś „średnia krajowa" marzeń o telewizji interesującej, kształcącej, bawiącej — słowem o telewizji lepszej niż jest.

A kiedy już wreszcie TVP będzie lepsza niż jest, to wtedy po nas przyjdą następni widzowie i niefachowcy, którzy będą chcieli telewizji jeszcze lepszej. I tak już będzie zawsze — i nie poradzi na to ani ironia Bartosza Janiszewskiego, ani irytacja Janusza Rolickiego.

TELEMAN

PIŁKA NOŻNA (4)

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzymając skakankę nad głową, przeginałem się w pasie. Pot spływał mi po szyi i ramionach, ale nie byłem zmęczony. Rzecz jasna — wolałbym mieć już ten dwugodzinny trening za sobą i rozmówić się z Patronem... O co mu chodzi?... Ssał mnie niepokój, niecierpliwiłem się trochę, złościłem. Gdybym mógł, przegoniłbym ludzi, którzy stali wokół boiska — wagarująca młodzież, paru emerytowanych, wymądrzających się piłkarzy i cała kupa nierobów zwanych także zaprzysięgłymi kibicami. Pinokio protestował kiedyś u Patrona przed wpuszczaniem ich na treningi, ale stary dał mu odprawę. Kibic ma prawo wiedzieć, co porabia jego ukochana drużyna, czy dostatecznie przykłada się w ćwiczeniach i w ogóle... No to przychodzili. Deszcz, śnieg, zawierucha — tkwili za drewnianym płotkiem; popalali, gawędzili, dowcipkowali; przyglądali się nam jak zwierzętom w ZOO.

Mniej więcej w połowie treningu nastąpiła krótka przerwa, bo na boisku pojawił się Węzeł. Zamienił najpierw parę słów z Cygarem, a potem, kiedy coach obojętnie skinął głową, krzyknął do mnie:

— Jedziesz, Maks!

— Gdzie? — spytałem z ożywieniem.

— Do starego.

— Przecież miałem być o drugiej...

— Dzwonił przed chwilą, że teraz.

W porządku. Szybciej pozbędę się niepewności. No i mogę legalnie przerwać trening.

Jakiś kibic syknął za mną:

— Nóżki go rozbolały.

Kilku zachichotało, a kiedy odwróciłem się, umilkli. To chyba ten gruby wesołek o apoplektycznie czerwonych policzkach. Teraz niewinnie spuścił oczka...

Zmieniłem łachy w szatni i wróciłem na dwór. Węzeł czekał przy samochodzie.

— Podrzucisz mnie? — zapytał. — Mam sprawę w kadrach.

Wsiadłem i otworzyłem mu drzwi.

Jechaliśmy lepką, zamgloną ulicą do śródmieścia. Był koniec czerwca — zimny, wilgotny, wietrzny, nie mający nic wspólnego z wiosną. Deszczowe niebo wisiało tuż nad dachami. Ludzie, skuleni i drżący, tłoczyli się na tramwajowych przystankach. Minęliśmy Plac Pokoju, a później most, pod którym przewalały się z łoskotem bure, wezbrane wody rzeki. Widać już było secesyjny gmach Administracji Zakładów sprawujących opiekę nad Klubem. Zaparkowałem na skraju kolistego podjazdu, który prowadził pod górę do masywnych, dębowych, lśniących, mosiężnymi okuciami wrót.

— Nie wiesz, czego on chce?

Potrząsnął głową. Patrząc w jego szczerą, uczciwą twarz czułem, że nie kłamie. Ale czułem również, że spodziewa się wszystkiego najgorszego. Został na pierwszym piętrze, a ja poszedłem na drugie. Moje kroki zapadały się miękko w żółty, wełniany chodnik. Gabinet Patrona, który był jednocześnie naczelnym dyrektorem Fabryki, znajdował się na wprost schodów. Przedtem — sekretariat. Znałem tę pindę — wyfiokowaną, chudą, z nienaturalnie czarnymi włosami, raz miłą, to znów lodowato uprzejmą. Tego dnia dopisywał jej humor.

— Może pan wejść — powiedziała.

Zrobiłem to nie odwzajemniając uśmiechu. Pchnąłem dźwiękochłonne, obite brązową dermą drzwi, w które nie sposób było zapukać, a Patron wstał zza biurka i serdecznie uścisnął mi rękę.

— Jak leci, Maks?

— Dobrze — powiedziałem zaskoczony.

— Cieszę się, chłopie.

— Ja też.

Miał pięćdziesiątkę, ale wyglądał młodziej i to mimo swoich szpakowatych, bujnych zresztą włosów. Sprawiał trochę wrażenie artysty, za przystojny jak na menadżera: pachnący, blady, z gorejącymi oczami. Przechadzał się po gabinecie, jakby naśladował nas, sportowców, którzy nie umiemy pięć sekund ustać spokojnie i snujemy się z miejsca na miejsce jak koty. Mówił o trudnościach finansowych, z jakimi boryka się zarząd. Obwąchiwałem każde słowo. Czekałem, aż się otworzy. Nie wezwał mnie przecież na koleżeńską pogawędkę...

— Wiesz, cały czas myślę o składzie, spać przez to nie mogę. Śmiejesz się?... Moll już długo nie pociągnie, jak sądzisz? — I nie czekając na to, co sądzę: — Trzeba rozejrzeć się za jakimś młodym libero, zgadzasz się, Maks?

— Owszem.

Wziąłem to za gest pojednawczy. Wie, że ja wiem, i że muszę być wściekły. Próbuje mnie udobruchać...

— Rozumiesz, żeby zmieniał go przynajmniej na połówkę, dobrze mówię?

— Dobrze.

— No widzisz. Ale w pomocy też jest dziura... A weź atak... Na pewno chciałbyś mieć lepszych partnerów. Za rok wskoczy na stałe Babinow, i będzie dobry, ale i tak brakuje kogoś na środek... Zgadzasz się, Maks?

— Zgadzam.

— No widzisz. Trzeba będzie trochę pojeździć, poszperać w terenie. Chryste Panie, wiesz, ile chcą za Czerniacha?

— Dwa.

— Zgadza się. I co, sądzisz, że warto?

— Tak.

— Aha. Tak! Tylko skąd wziąć pieniądze?

Wzruszyłem ramionami.

— A widzisz! — roześmiał się. — Dwa miliony to jest grosz... Nawiasem mówiąc, jak twoja kontuzja?

— W porządku?

Próbowałem wyjaśnić, że nie mam żadnej kontuzji, ale przerwał mi:

— Zaraz, zaraz, Maks. Spokojnie. Ja nie chcę, żebyś się niepotrzebnie żyłował. W tym sezonie i tak nie zdziałamy cudów. Ten ostatni mecz z Fortuną jest, praktycznie biorąc, bez znaczenia, dużo większe znaczenie ma twój występ w reprezentacji. Wiesz, ja umiem ważyć interesy, nie jak inni: Klub, a reprezentacja z boku... Chcę, żebyś był w formie i dlatego powiem ci wprost — nie musisz grać z Fortuną. Wyjedź na parę dni, odpocznij...

Zmroził mnie. Wszystko jasne — wyjedź, odpocznij, daj nam zarobić... Trzeba przecież kupić paru zawodników, a to kosztuje... Rozumiesz chyba, nie jesteś taki głupi...

Patrzyłem mu w oczy i usiłowałem zebrać myśli. Dał się poznać jako człowiek bezgranicznie oddany Klubowi, dużo bardziej chyba niż Fabryce. Ten Klub był chlubą miasta, ale był także jego własną chlubą. Kiedyś był także chlubą jego przodków. Fabryka z lekka na tym cierpiała. To, co powinno iść na kulturę, na stołówki, na wczasy, na kolonie letnie dla dzieciaków, szło na sport. Nie sądzę, aby przywłaszczył sobie cokolwiek z tych funduszy, podobnie jak nie przypuszczam, aby miał jakieś osobiste wpływy z tak zwanych lewych kas, które wypuszczały co drugi tydzień kilkanaście tysięcy fałszywych nie ostemplowanych przez magistrat, biletów. Wszystko dla Klubu. Powinienem go zrozumieć, rozgrzeszyć. A przecież drżałem ze złości.

— Chcę grać — powiedziałem.

— Z Fortuną?

— Tak.

— Nie ma sensu. — Położył mi rękę na plecach.

— Dla mnie ma.

— Jaki?

— UEFA.

— Och! — strzepnął palcami. — Nie jesteśmy za tym turniejem. Co innego puchary, ale UEFA naprawdę nikogo nie grzeje. Na zwykły ligowy mecz ściągnie dwa razy więcej... No i przedtem trzeba by jeszcze wygrać z Fortuną, a oni idą na mistrza i powiem ci szczerze: niech idą! Za rok my będziemy szli na mistrza, i sam rozumiesz, też mogą nam pomóc... — Rozmarzył się. — Pięknie byłoby zdobyć mistrzostwo na siedemdziesięciopięciolecie... Mówię ci, liczy się tylko mistrzostwo lub puchar...

Pomyślałem:

Ty gadzie! Chcesz sprzedać kolejny mecz.

I powiedziałem układnie:

— Wolałbym jednak grać.

— Nie ma sensu. Ponieważ nie możesz grać źle, lepiej żebyś nie grał wcale... Aha, byłbym zapomniał! Podniosę ci od przyszłego sezonu.

— O ile?

— O pięćset.

— I tak to mi nie wyrówna.

Zachnął się:

— Czego?

— Och, nic, niczego. Mogę już iść?

— Ależ oczywiście. Idź. Swoją drogą, nie jesteś zbyt grzeczny...

— Przepraszam — bąknąłem. I łamiąc bezosobową formę, którą starałem się stosować w rozmowach z ważniakami, powtórzyłem głośniej: — Przepraszam pana.

Był w końcu moim panem. — Zamknąłem drzwi. — Już ja go urządzę! — Sekretarka obrzuciła mnie złowieszczym spojrzeniem. W ręku trzymała ostatnie wydanie popołudniówki. Nie czekając, aż się wyniosę, podreptała z nim do gabinetu. Nie zwróciłem na to większej uwagi, zapamiętałem natomiast gościa, który minął się ze mną na schodach. Też miał w ręku tę popołudniówkę. Ale nie w tym sprawa. To był ten sam gość, w tej samej bordowej, eleganckiej marynarce, który nagabywał mnie wczoraj w restauracji. Zamierzałem nawet skinąć mu głową, jednakże udawał Greka. Kim był? Nowym agentem Patrona? Dobrze, że wczoraj nie dałem się podpuścić, i że piłem tylko, no... herbatkę. Nagle pomyślałem, że to może być całkiem inny agent, dla którego Patron przyśpieszył spotkanie ze mną. Coś wypada mi z dzioba do obcej kieszeni.

— Hej! — zawołałem. — Chwileczkę!

Gość odwrócił się, spłoszony.

— Słucham. — Jego twarz nie była już tak zagadkowo kamienna.

— Miał pan wczoraj do mnie interes — powiedziałem.

— Ja?

— Tak. W Cristalu.

— Pan żartuje. — Udał zdziwienie i zrobił to po mistrzowsku. — Musiał mnie pan z kimś pomylić.

Odszedł, nim zdążyłem wymówić słowo.

Uruchomiłem silnik.

Byłem tak zamyślony, że niewiele brakowało, abym potrącił jakąś obwieszoną kobiecinkę. Wypuszczając siatkę z rąk, czmychnęła na chodnik i klęła mnie stamtąd piskliwie. Potem przestała, bo wysiadłem i pomogłem jej zbierać ziemniaki. Tuż nad uchem usłyszałem swoje nazwisko. Uniosłem wzrok i zobaczyłem dwóch pochylonych nad gazetą mężczyzn. Mówili o mnie w kolejce do kiosku. Sprzedawca podsunął mi lepki jeszcze od farby egzemplarz. Spojrzałem na kolumnę sportową, ale nie było tam nic ciekawego. Złożyłem numer i wtedy, na pierwszej stronie, zobaczyłem ogromny nagłówek:

MAKSYMILIAN DRAGAN: — CHCIAŁEM GRAĆ!!!

Wstrząsnęło mną trochę.

Stojąc w bramie dla osłony przed wiatrem, przeczytałem sprawozdanie z meczu i złośliwy, pełen aluzji komentarz:

„Zaiste, dziwna to decyzja, aby najlepszego napastnika pozostawiać na ławce w chwili, kiedy ważą się losy spotkania. Maksymilian Dragan był zdrów, gotowy do walki, mało! pragnący walki. W rozmowie z dziennikarzem oświadczył, że nie rozumie decyzji trenera. Wydaje się jednak, że M. Dragan nie jest taki naiwny — nie tylko rozumie przyczynę dla której odsunięto go od gry, ale również bardzo nad nią boleje, wstydzi się za swego trenera i za swój Klub, który u końca rozgrywek tak haniebnie rezprezentuje miasto i tak boleśnie krzywdzi liczne rzesze kibiców. W rzeczy samej! Wypada mieć tylko nadzieję, iż w ostatniej kolejce wiosny zespół wystąpi w wyjazdowym meczu z Fortuną w pełnym składzie i z pełnym zaangażowaniem ambicjonalnym, tak, aby zadać kłam plotkom sugerującym opinii publicznej, że wracają NIEDZIELE CUDÓW!"

W rzeczy samej. Z jednej strony satysfakcja, z drugiej obawa. Nie przypuszczałem, że Meisner wysmaży ten pasztet.

Jeszcze tego samego wieczoru miałem kilka nieprzyjemnych telefonów, a kiedy wyciągnąłem sznur z gniazdka, zgraja reporterów zjawiła się pod drzwiami. Spławiłem ich jak umiem najgrzeczniej; wielu, węsząc aferę, przyjechało z innych miast, i byli wściekli. Nazajutrz kupiłem wszystkie poranne gazety i stwierdziłem, że zrobił się smród. Wszędzie były moje zdjęcia i to cholerne zdanie: — **CHCIAŁEM GRAĆ!!!** Dziennik wychodzący w macierzystym mieście Korony, klubu, który pretendował z Fortuną do mistrzostwa mając o jeden punkt mniej, ale lepszy stosunek bramek, podniósł wielki raban, domagając się od Federacji Sportu, aby przysłała na nasz ostatni mecz specjalną komisję. Lokalna prasa żądała przewentylowania incydentu i surowego ukarania winnych.

Czułem się podle.

Ale najgorsze miało być dopiero na treningu. Szatnia aż pękała od reporterów i działaczy. Ci pierwsi atakowali coacha, drudzy izolowali dyskretnie zespół. Koledzy patrzyli na mnie zezem. Moll był niespokojny i trzymał się z daleka. Pinokio, Krauze i Jaskóła zbojkotowali moje powitanie. Nawet Babinow nie raczył podać mi ręki. Na boisku, kiedy zaczęliśmy sparring, biegałem po skrzydle bez piłki, równie dobrze mógłbym biegać w lesie. Dziennikarze zbili się w gromadkę za bramką i ponuro obserwowali grę. Otaczająca boisko kolonia nierobów otwarcie natrząsała się z piłkarzy i coacha. Cygaro był wściekły. Gryzł gwizdek i aż kipiał wściekłością. Na stadionie pojawił się niespodziewanie sam Patron. Widziałem jak reporterzy biorą go w obroty, a on, wspaniale panując nad humorem (uśmiechał się tylko, skurczybyk, i gładził wypielęgnowaną dłonią gęste, czarno-siwe włosy) robi im wodę z mózgu.

Był wytrawnym politykiem. Umiał podejmować błyskawiczne decyzje. Następnego dnia, w środę, przeczytałem z satysfakcją w gazetach jego oświadczenie, że... zagram jednak w najbliższym meczu z Fortuną. Oczywiście, że zagram! Dlaczego niby miałbym nie grać, skoro czuję się już „prawie" dobrze. A w ogóle żeby raz na zawsze położyć kres szerzącym się plotkom, on, Patron, pragnie solennie zapewnić kibiców, iż zespół dołoży wszelkich starań... i tak dalej.

(c.d.n.)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Fot. W. Paryś

PASJE

KONRAD TUROWSKI

PAN MAGISTER SZEWC

W rejestrze wzorów użytkowych **URZĘDU PATENTOWEGO POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ** pod numerem „W 43951" zastrzeżono projekt „wiecznych sznurowadeł". Autorem jest **MARIAN BUKAŁA,** zam. w Łodzi przy ul. Tamki 6/8. Chętnie demonstruje swój wynalazek. Wyrzuca z mojego buta zwykłe sznurowadła i nawleka „wieczne".

— To po prostu guma w oplocie stylonowym — objaśnia. — **Najpierw zastosowałem oplot bawełniany, ale bardzo szybko się przecierał. Stylonowy jest znacznie trwalszy. Moje sznurowadła przeżyją kilka par butów. Dzięki nim można zaoszczędzić rocznie 12 ton bawełny... Raz się je nawleka i starczają aż się buty zedrze. Na końcu umocowana jest zapinka metalowa, która zakleszcza je w pierwszej dziurce pantofla. Drugą zapinkę zaciska się przy ostatniej dziurce. I już nie trzeba codziennie sznurować butów...**

1.

Marian Bukała pokazuje czarne półbuty, które ma na nogach.

— Noszę je drugi rok a wyglądają jak nowe, prawda? To dzięki temu że nie muszą się zginać przy chodzeniu. Proszę zwrócić uwagę, że zelówka jest bardzo gruba a czubki i obcasy umyślnie mocno ścięte. Z początku chodziło mi się trochę dziwnie, jak na biegunach. Teraz jednak są to moje najwygodniejsze buty...

2.

28 grudnia 1961 roku **„Express Wieczorny"** pisał:

„Chełmek" wyprodukował próbną serię nowych butów lekkich jak puch. Mgr Marian Bukała, nauczyciel w Technikum Przemysłu Galanteryjnego w Łodzi opracował model buta, który jest lżejszy o 13—20 dkg od normalnego obuwia skórzanego, znacznie mocniejszy i tańszy o 20—30 procent. Rzecz polega na tym, że zamiast wkładki skórzanej, która konstrukcyjnie trzyma cały but zastosowana została wkładka z korka mielonego wzmocniona płótnem. Wkładka z korka jest mocna, nie odparza nóg, izoluje, latem chroni przed gorącem, zimą przed mrozem. Skóra używana dotychczas na wkładki, poddana innej obróbce służyć może jako skóra podeszwowa.

Drugą innowacją jest wyeliminowanie skóry z obcasa. Mgr Marian Bukała chce zastosować obcas z polietylenu lub polistyrenu, zabarwionego według koloru skóry. Spód obcasa będzie też z tworzywa sztucznego, ale odpornego na ścieralność..."

„Dziennik Łódzki" obliczył, że:

„Według prowizorycznych danych realizacja projektu Mariana Bukały przyniesie oszczędności w postaci 250 ton skóry twardej (spodowej) przy produkcji 1 miliona par butów. Niezależnie od tego wyeliminowana zostanie z taśmy produkcyjnej ciężka maszyna zwana lisowaczka obcasów oraz cały szereg ręcznych czynności. Zachecamy pana Bukałę do opracowania na tych samych zasadach produkcji obuwia damskiego, które jak dotad nie trafia do przekonania naszym... nogom..."

3.

Ale **„Chełmek"** wykonał tylko dziesięć par butów według pomysłu Mariana Bukały. Odwiedzał rozmaite urzędy i instytucje szukając poparcia dla swojej inicjatywy. Codziennie nosił wytrwale teczkę, w której miał prototyp idealnego buta. Każdemu kto tylko chciał demonstrował zalety **„obuwia lekkiego jak puch".** Na próżno.

4.

W owym czasie pomysł łodzianina wydawał się tak dalece rewolucjonizować cały przemysł obuwniczy, że nie zdecydowano się na seryjną produkcję. Dopiero w kilka lat później zaczęto realizować ideę Mariana Bukały wprowadzając tworzywa sztuczne z powodzeniem zastępujące skórę. Nikt już nie pamiętał o prekursorze, którego projekt jeszcze pewnie tkwił w biurku dyrektora technicznego **Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 260.**

Marian Bukała mówi o sobie, że w ogóle jest nietypowy. Wzrost ma niższy od przeciętnej krajowej ale ramiona szerokie, silnie umięśnione zapaśniczymi treningami. Przed wojną aż minutę i 40 sekund walczył z mistrzem Polski — Świętosławskim, który słynął z tego, że każdego przeciwnika rozkładał na łopatki w niespełna minutę... Nie dziwi się, że w żadnym sklepie nie może dostać ubrania na swoją figurę. Nawet koszule musi szyć na miarę. Nie ma też butów na jego stopy, które są o cztery numeracje tęższe od długości. Pasowałyby seryjne pantofle znaczone numerem 5, gdyby miały tęgość dziewiątki. Ponieważ przemysł takich nie produkuje sam robi sobie buty...

Od roku mieszka w blokach. Brakuje tu miejsca na warsztat szewski. Ale ma przecież wielu kolegów szewców, którzy chętnie go u siebie widzą. Udostępniają zydel i narzędzia bo wiedzą, że za każdym razem wymyśla jakieś nowe sposoby, które sami mogą później wykorzystywać w swojej pracy...

5.

Szewstwa zaczął się uczyć po ukończeniu siódmej klasy w Szkole Powszechnej nr 69 przy ul. Kątnej. Rodzice mieszkali w drewniaku, który kupili przy ul. Błońskiej 19a. Matka była prządką w fabryce powszechnie zwanej „pieprzonką" z racji częstych przestojów i niskich zarobków. Ojciec pracował jako robotnik podwórzowy w browarze przy ul. Orlej. W domu były jeszcze dwie starsze siostry. Pewnego dnia ojciec zawyrokował:

— Skoro ten Wodzyński nie oddaje nam dwustu złotych, które pożyczył osiem lat temu, niech za te pieniądze nauczy Mariana szewstwa...

6.

Ciężką szkołę czeladniczą przeszedł u majstra Wodzyńskiego. Całymi dniami czyścił stare brandzle, które mistrz kupował na rynku. Wszystko to do butów zamiast nowych. W ten sposób Wodzyński oszukiwał Sandberga, właściciela sklepu przy ul. Piotrkowskiej, który był głównym odbiorcą sztybletów, kamaszków i innych rodzajów modnego wówczas obuwia.

Mistrz Wodzyński miał i tę wadę, że jak w niedzielę zawiózł gotową robotę do Żyda i zainkasował pieniądze, to zjawiał się dopiero we wtorek z wielkim kacem...

7.

Łatwo więc Marian przystał na propozycję zmiany warsztatu. Właśnie starszy od niego o siedem lat Bolek Piotrowski otworzył zakład zaraz po powrocie z wojska, niemal obok Wodzyńskiego, przy zbiegu ulic Błońskiej i Kątnej. Nie obawiał się konkurencji. Wcześniej zapewnił sobie odbiorców. Ewenementem było, że w ogóle nie pił wódki. Wodzyński dawał swoim czeladnikom od czasu do czasu po 2 zł, a Piotrowski od razu obiecał 12 zł na tydzień, czyli połowę tygodniówki, którą otrzymywał Jakub Bukała w browarze...

8.

Warsztat Piotrowskiego szybko się rozwijał. Marian awansował na podręcznego. Brał miary klientów stalujących obuwie. Zaczął chodzić do Szkoły Dokształcającej nr 9 przy ul. Żeromskiego koło Zielonego Rynku. Chlebodawca zachęcał go do nauki. W nagrodę za ukończenie szkoły obiecał dać wyprawę — zydel i narzędzia. Nie było to mało skoro same cęgi do ćwiekowania i naciągania cholewek na kopyta kosztowały wtedy 4 zł...

Ukończył szkołę jako pierwszy w swojej dziejach prymus zwolniony od składania egzaminów. Miał wtedy 17 lat. Choć jeszcze nie był mistrzem mógł otworzyć warsztat. Okazyjnie kupił więc za zaoszczędzone 120 zł używaną maszynę łańcuchową, leworamienną firmy „Singer" i urządził własną pracownię w kuchni domu rodziców przy ul. Błońskiej 19a. Było to 1 lipca 1934 roku...

Dopiero po uzyskaniu pełnoletności mógł się ubiegać o dyplom mistrzowski. 15 maja 1938 roku ukończył 21 lat i w czerwcu stanął przed komisją. Pamięta, że wszyscy kandydaci na mistrzów najbardziej bali się egzaminu z kalkulacji. Komisja podawała cenę skóry, dodatków, rodzaj obuwia i na tej podstawie trzeba było wyliczyć ile będzie kosztować para gotowych butów. Marian Bukała pierwszy wykonał zadanie. Przewodniczący komisji — Jakubiec, obejrzał jego kartkę z wyliczeniami i podał siedzącemu obok przedstawicielowi cechu a ten następnemu. I tak kartka wędrowała aż do reprezentanta Gminy Żydowskiej. Założył on okulary w drucianej oprawce, przygładził brodę i skonstatował:

— Co ja tu mam do powiedzenia skoro ten Bukała ma podpis jak sam pan minister...

9.

13 lutego 1939 roku dyplomowany mistrz szewski, właściciel warsztatu rzemieślniczego przy ul. Błońskiej 19a otrzymał następujące pismo:

„Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego zezwala Panu na zdawanie egzaminu dojrzałości typu matematyczno-przyrodniczego w charakterze eksterna w terminie zimowym. Egzamin odbywać się będzie w lokalu I Liceum i Gimnazjum Państwowego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi przy ul. Śródmiejskiej 41. W I części zdawać Pan będzie z geometrii, rysunków i propedeutyki filozofii. Egzamin rozpocznie się 24 lutego br. Przed tym dniem zechce Pan przedstawić Panu Przewodniczącemu Komisji pod rygorem niedopuszczenia do egzaminu świadectwo moralności..."

Czekał na tę możliwość od kilku lat. Całymi miesiącami przygotowywał się mając do dyspozycji tylko szkolne podręczniki. Wreszcie uznał, że powinien zaryzykować. Był pierwszym w kraju mistrzem szewskim, który zdobył maturalne świadectwo dojrzałości. To było wydarzenie! W nagrodę Izba Rzemieślnicza postanowiła go wysłać na wyższe studia do Wiednia...

Wybuch wojny pokrzyżował wszystkie plany. Na ochotnika wstąpił do wojska. Jako żołnierz 10 Pułku Artylerii Ciężkiej walczył w Warszawie, m.in. w obronie mostu Kierbedzia. Po kapitulacji uciekł z transportu jenieckiego i wrócił do Łodzi. Nadal prowadził warsztat szewski przy ul. Błońskiej 19a, który teraz pełnił podwójną rolę. Wyśmienicie nadawał się na punkt kolportażu prasy podziemnej. Hitlerowcy zrazu nie podejrzewali, że właściciel zakładu i część jego klientów to członkowie Polskiej Organizacji Bojowej „Wolność". Obrał sobie pseudonim „Duch". Był żołnierzem POB numer 627. Rozprowadzał takie tytuły nielegalnych gazetek jak „Świt", „Jutrzenka" i „Wolność". Aż do czasu gdy w 1941 roku nastąpiła wielka wsypa całej organizacji. Tuż przed świętami Wielkiejnocy z piątku na sobotę, przyjechało po niego gestapo. Wtedy udało mu się prostym fortelem wprowadzić w błąd hitlerowców. Odjechali przekonani, że niepozorny młodzieniec, którego zastali w domu nie jest poszukiwanym przez nich niebezpiecznym konspiratorem. Mimo drobiazgowej rewizji nie znaleźli też tajnych gazetek przygotowywanych na święta w zwiększonych nakładach. Były dobrze ukryte w piwnicy z zamaskowanym wejściem...

Marian Bukała natychmiast uciekł do Warszawy. Organizacja wyrobiła mu fałszwe papiery na nazwisko Kazimierza Kubika. 25 kwietnia 1943 roku ożenił się z dziewczyną jak on należącą do konspiracji. 15 maja, w 26 rocznicę swoich urodzin i w dniu imienin żony, hitlerowcy jednak wpadli na jego trop, gdy Zofia i Kazimierz Kubikowie jak gdyby nigdy nic spędzali pierwsze dni swego małżeństwa u krewnych w Głownie. Z więzienia przy ul. Sterlinga, po „badaniach" oprawcy przewieźli go do obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen. Otrzymał numer 32479. Wykorzystując swoje umiejętności, zaraz zabrał się do nielegalnego wyrobu obuwia. Z wykradanych węży hydrantowych wykonywał pokrycia drewniaków. Były nieprzemakalne. Wielu więźniów dzięki temu uniknęło przeziębienia i chorób...

10.

Po wyzwoleniu wrócił do Łodzi. Dowiedział się, że spośród 98 członków POB-Wolność aresztowanych przez hitlerowców wojnę przeżyło jeszcze tylko dwóch — Wachowicz i Starczewski, którzy cudem uciekli ze Sterlinga...

11.

W 1946 roku Marian Bukała rozpoczął pracę w szkolnictwie. Podjął też wyższe studia w Szkole Głównej Handlowej w Łodzi uwieńczone w 1950 roku dyplomem magisterskim. Był współzałożycielem powstałego w 1951 roku w Łodzi Technikum Galanterii Skórzanej oraz autorem pierwszego programu nauczania w tej szkole.

12.

Marian Bukała wręczył mi dwie wizytówki. Na jednej kazał wydrukować:

„Mgr ekonomii, mistrz obuwniczy, rzeczoznawca d/s obuwia, galanterii skórzanej i z tworzyw sztucznych, wyrobów rymarskich oraz rękawiczniczych".

A na drugiej:

„Specjalista chorób pszczelich". Pszczelarstwem zainteresował się dopiero od kilku lat. Zaczął jako zupełny amator. Przypłacił to dramatyczną przygodą. Zabrał się do przeprowadzania sztucznej rójki, ale nim zdążył zakończyć pracę, z pól i łąk wróciły na noc lotne pszczoły. Gdy zobaczyły, że grzebie w ich ulu zaatakowały go całą gromadą. Miał na głowie kapelusz pszczelarski, ale na sobie tylko trykotową koszulkę bez rękawów i krótkie spodnie. Pszczoły goniły go aż do pobliskiego stawu, gdzie musiał szukać schronienia salwując się ucieczką. Przez kilka dni był ciężko chory. Tylko na jednej ręce żona naliczyła aż 96 śladów użądleń. Na całym ciele miał chyba więcej niż 500. Lekarz orzekł, że wyłącznie dzięki swemu silnemu organizmowi szczęśliwie i bez komplikacji wrócił do zdrowia. Jego kolega, któremu ktoś doradził, aby dla nabrania kondycji biegał rano po leśnej rosie, dostał tylko dwa użądlenia pszczele i przypłacił je aż półrocznym pobytem w szpitalu...

13.

Jest też Marian Bukała autorem kilku wierszy. Napisał m.in. „Włókniarski toast".

Dzięki włóknu Łódź powstała,
włóknem nadal będzie stać.
Być włókniazem — rzecz
wspaniała.
Niech nam żyje włókniarska
brać!

Muzykę skomponował **Jan Woroszyłło** i „Włókniarski toast" stał się uznanym hymnem młodzieży łódzkich szkół włókienniczych.

14.

Prawdziwą pasją Mariana Bukały wciąż jednak pozostaje szewstwo, a ściślej obuwnictwo. Sporo trudu włożył, aby wyraźnie rozróżniano te dwa terminy. Szewstwo pochodzi bowiem od szwu z czasów, gdy buty były ręcznie szyte. Teraz w przemysłowej produkcji dominuje pięć różnych rodzajów montażu obuwia, które nic mają nic wspólnego z szyciem. Zamiast więc „mistrz szewski" wprowadził do swojej wizytówki tytuł „mistrz obuwniczy"... Nie protestuje jednak, gdy uprzedzam, że reportaż zatytułuję: **Pan magister szewc".** Na dyplomie rzemieślniczym ma przecież napisane: **„Marian Bukała — mistrz w rzemiośle szewstwo"...**

15.

Jeszcze przed przejściem na emeryturę obuwnik mgr Marian Bukała chce zrealizować oryginalny projekt letnich butów. W podeszwach zamierza tak umieścić małe mieszki, aby przy chodzeniu wydmuchiwały powietrze chłodząc stopy...

(Z tomu reportaży „Prawdziwe, nieprawdopodobne" przygotowywanego nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

HISTORIA FILMU

RASHOMON

Dalszy ciąg ze str. 3

słuchania świadków zbrodni dokonanej na czcigodnym samuraju przez zbója Tajomaru. Kurosawa dopisał jeszcze jedną wersję wydarzeń oglądanych oczyma postronnego świadka, ubogiego drwala i w ten sposób ujednolicił wieloznaczną wymowę oryginału. Z noweli „Rashomon" reżyser pozostawił jedynie rozmowę przechodniów w bramie zniszczonej świątyni i uczynił z niej fabularną ramę filmu.

Akcja „Rashomona" rozgrywa się w epoce Heian (IX—XII w.), niedaleko ówczesnej stolicy Kyoto. Z rozmowy grupy podróżnych, którzy schronili się w murach zrujnowanej świątyni przed ulewnym deszczem dowiadujemy się o tajemniczej śmierci samuraja Takehiro Kanazawy i sprzecznych relacjach, jakie złożyli przed sądem świadkowie. Oskarżony o ten czyn bandyta Tajomaru mówi, iż zgwałcił żonę samuraja, a samuraja zabił w rycerskim pojedynku. Żona szlochając, wyznaje, iż to ona zabiła męża w ataku rozpaczy nie mogąc znieść pogardy jaką jej okazał. Duch zamordowanego (który przemawia poprzez medium) mówi, iż samuraj popełnił samobójstwo, gdyż żona nie tylko chciała odejść z bandytą, lecz żądała, aby ten zabił jej męża. Drwal — przypadkowy świadek wydarzenia demaskuje całą trójkę. Kobieta sprowokowała walkę, lecz mężczyźni zachowywali się jak tchórze myśląc nie o zabiciu wroga, lecz o ratowaniu własnej skóry. Drwal również nie jest bez winy, ukradł bowiem sztylet znaleziony na miejscu zbrodni. Film kończy się odnalezieniem porzuconego w świątyni niemowlęcia, które drwal zabiera do domu, by je chować razem z własnymi dziećmi.

„Rashomon" Kurosawy był moralitetem, który w dawną legendę wpisał głęboko współczesny sens. Jest to film o względności ludzkiej prawdy. Oglądamy cztery wersje zdarzenia i każda z nich jest inna. Cztery opowieści więcej mówią o ich autorach, aniżeli o samym fakcie, bowiem biorący w nim udział ludzie wpisują w swoje opowiadania własne intencje, pragnienia, uczucia i wyobrażenia o sobie. Przedstawiając cztery subiektywne wersje wypadków na drodze do Kyoto każdy ich uczestnik inaczej określa swoje zachowanie i swoją rolę. Każdy pragnie wydać się innym i samemu sobie mężnym, bohaterskim, walecznym, wielkodusznym i lojalnym. Jednakże najbardziej prawdopodobna jest opowieść ostatnia, opowieść ubogiego drwala, który nie brał udziału w wydarzeniu, lecz obserwował je z ukrycia. Opowiadanie drwala jest najbardziej jednoznaczne — wynika z niego, że cała trójka bohaterów zajścia to ludzie źli, fałszywi, okrutni, podli i tchórzliwi. Ale czy drwal na pewno mówił prawdę? Przecież ukradł drogocenny sztylet samurajowi i pragnie ukryć kradzież, a więc być może, oskarża innych, aby zmniejszyć swoją winę.

Oryginalność „Rashomona" i jego współbrzmienie z filozoficznymi problemami współczesnej powieści i dramatu polegało na jego modalnej strukturze narracyjnej. Sens opowieści nie rodził się — jak w innych filmach — z przebiegu zdarzeń i ludzkich zachowań, bo one właśnie nie były ustalone i pewne, lecz z konfrontacji fabularnych i psychologicznych hipotez akcji, która zmieniała swój kształt i wymowę w zależności od kolejnego narratora. Z podobnym rodzajem konstrukcji narracyjnej spotkaliśmy się już przy „Obywatelu Kane" Orsona Wellesa. Oba filmy formułują to samo dramatyczne, dręczące sztukę XX wieku pytanie o istotę człowieka i oba nie dają ostatecznej odpowiedzi. Wellesa bardziej interesuje psychologia jednostki, Kurosawa natomiast stara się przeniknąć moralny sens człowieczeństwa rozdartego pomiędzy Dobrem i Złem.

Kunsztowny i oryginalny splot narracyjny „Rashomona" szedł w parze z niezwykłą stylistyką wizualną i dźwiękową filmu. Kostium historyczny zakładał wprowadzenie inscenizacyjnych konwencji starego teatru japońskiego Kabuki. Z niego pochodzą rytualne i hieratyczne gesty aktorów, pełne plastycznej i mimicznej ekspresji. Gra aktorska stanowiła gamę kontrastów, przechodząc gwałtownie od zachowań powolnych i majestatycznych do odruchów niebywale gwałtownych na pograniczu paroksyzmu. W „Rashomonie" — podobnie jak i w innych filmach nie tylko Kurosawy, ale również innych reżyserów japońskich ogromną rolę odgrywała przyroda pełna mrocznego i posępnego piękna. Pejzaż nabiera w kinie japońskim szczególnych walorów emocjonalnych staje się znakiem psychicznych dramatów. Równie tajemnicza jak obraz była warstwa dźwiękowa „Rashomona": muzyka oparta na motywach „Bolera" M. Ravela i staranie wyselekcjonowane odgłosy tworzyły kompozycję sugestywną i intrygującą.

„Rashomon" zapoczątkował w kinie światowym wielki dialog kultur, w którym głos Kurosawy zabrzmiał cennymi i ożywczymi wartościami.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SPORT

W BRZĘKU MEDALI

Niepisana umowa nakazuje, aby pod koniec roku dokonywać bilansu podsumowania tego wszystkiego, co się w minionym roku osiągnęło lub czego się nie osiągnęło. Dużo przyjemniej jest zastanawiać się nad osiągnięciami. I to jest bardzo ludzkie i zgodne z tradycją. Takim bilansom w sporcie sprzyjają organizowane licznie różnorodne plebiscyty, wśród których czołowe miejsce zajmuje niewątpliwie plebiscyt „Przeglądu Sportowego".

Dla kibica, który nie ogranicza się tylko do wizytowania boiska i bezmyślnego wykrzykiwania, ale który potrafi o różnych dyscyplinach sportowych mieć swoje zdanie, który zastanawia się nad osiąganymi wynikami, plebiscyty są okazją do uświadomienia, że poza jego umiłowaną dyscypliną są jeszcze inne i że w tych dyscyplinach działo się w minionym roku wiele interesujących rzeczy. Ten myślący kibic, kiedy przeczyta listę 20 sportowców, których „Przegląd Sportowy" zaproponował do rozważenia swoim czytelnikom, szybko spostrzeże, że nie ma na niej ani jednego przedstawiciela sportów zimowych i będzie wiedział dlaczego. Po prostu — stan tych sportów jest nie najlepszy i wszystko wydaje się wskazywać, że również w przyszłym roku — 1977 — na liście „Przeglądu Sportowego" może zabraknąć reprezentantów tych dyscyplin sportowych.

Jeżeli kibic chce wyrazić swoje zdanie w tym czy innym plebiscycie, musi zastanowić się nad sportowymi wydarzeniami minionego roku i kierując się nie tylko sympatią, ale również starając się klasyfikować w miarę obiektywnie, wytypować tych, którzy są jego zdaniem najlepsi. Ale tu rodzi się pewna trudność. Kłopot w sklasyfikowaniu tych najlepszych, którzy są sportowymi „solistami" i tych, którzy występują w zespole.

W tym miejscu czuję się w obowiązku przytoczyć listę 20 proponowanych przez „PS": G. Ciura, K. Devna W. Fibak, H. Kacperczak, B. Kocot L. Kosedowski J. Kotliński, P. Kurczewski, K. Lipień, B. Malinowski, M. Nowicki, J. Pyciak — Peciak, T. Ślusarski, E. Skorek, A. Szajna, I. Szewińska, St. Szozda, J. Werner i J. Wszoła.

W bardzo zdecydowanej większości są to olimpijscy medaliści, a reszta to zdobywcy liczących się w świecie tytułów. Rozumiem, że znakomity Edward Skorek reprezentuje nie tylko siebie, ale cały zespół również znakomitych siatkarzy, których był kapitanem i który wyróżnił się w pamiętnych olimpijskich bojach. Henryk Kasperczak błysnął w nowej roli w piłkarskiej reprezentacji, pokazując że jest zawodnikiem wszechstronnym i wielce utalentowanym. Kazimierz Deyna jest wysoko notowany w piłkarskich plebiscytach, ale to już zupełnie inna sprawa. Wydaje mi się jednak, że godnym wyróżnienia byłby tu również reprezentant piłki recznej, która też przecież zdobyła brąz na olimpiadzie. Jeśli już wyróżnia się utytułowane zespoły to warto było o tej dyscyplinie pamiętać. Ale widać zabrakło miejsca w 20 „PS" dla kapitana lub innego reprezentanta tego zespołu.

A inni?

Mam tu na myśli Andrzeja Tkacza, który był rewelacją katowickich mistrzostw świata w hokeju. Wprawdzie jego zespół poniósł klęskę, ale czy to powód, aby zapomnieć o tym wybitnie wyróżniającym się zawodniku? Czyż nie był doskonały na katowickiej tafli lodowej?

Jest jeszcze jeden sportowiec, który w tym roku niczym szczególnym nie błysnął, ale którego postawa zasługuje na najwyższe uznanie. Jest nim Józef Zapędzki. Pamiętamy dobrze sympatię jaką wzbudził swoim uporem i godnym zachowaniem, choć nie ze swej winy nie odegrał w Montrealu żadnej roli. W jednym z poprzednich plebiscytów „PS" Honorowym Sportowcem Roku została Teresa Zarzeczańska. A może więc tak i w tym roku listę 10 najlepszych wzbogacić o jednego honorowego.

Nim zapadnie rozstrzygnięcie, nim rozpocznie się Bal Mistrzów Sportu, o 20 kandydatach „PS" wypowiadają się też inne redakcje. Na wszystkich niemal listach publikowanych przez „Przegląd Sportowy" pierwsze miejsce zajmuje Irena Szewińska, drugie — Jacek Wszoła. Tylko „Dziennik Ludowy" wyłamał się ze schematu i zaproponował na pierwszym miejscu... Wojciecha Fibaka, a „Nasza Trybuna" na drugim zaproponowała Jerzego Rybickiego. Ciekawa walka na listach najlepszej dziesiątki toczy się o trzecie miejsce, o które konkurują Wojciech Fibak, Tadeusz Ślusarski i Janusz Pyciak — Peciak.

Do zakończenia plebiscytu „Przeglądu Sportowego", najbardziej reprezentacyjnego plebiscytu sportowego w kraju pozostało jeszcze sporo czasu i o ostatecznej punktacji na liście najlepszej dziesiątki zadecydują w ostatecznym rachunku czytelnicy. Chciałabym tu jednak zwrócić uwagę, że na tę punktację będzie miał też wpływ turniej, jaki się właśnie rozgrywa w Houston i w którym — jak do tej pory — Wojciech Fibak odnosi sukcesy. Zakwalifikował się już do finału i co będzie dalej zobaczymy. Według mojej opinii jest on jedynym kandydatem, który może zagrozić pewnej — wydawałoby się — pozycji Ireny Szewińskiej. Ale to jest tylko moje zdanie.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (3)

HENRYK DEDERKO

WYCOF

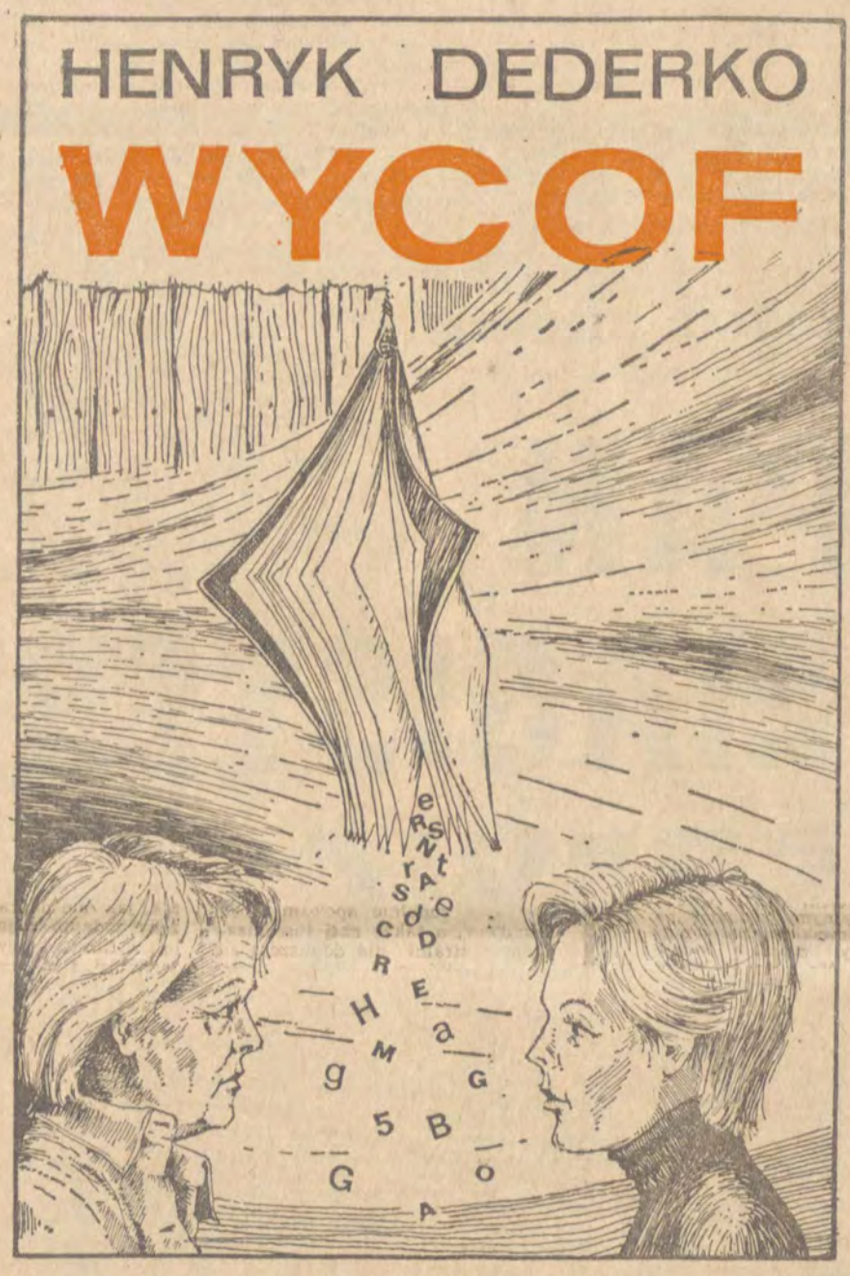

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Przyszła tu pewna pani — wyjaśnia z taktem żona, pokazując na siedzącą w kuchni babę — Przedstawiła się jako kumpela tej pani. I ta pani kumpela prosi tę oto panią o zwrot... pewnej rzeczy, która jest obecnie w posiadaniu tej pani.

Gospodarz patrzy baranim wzrokiem i powtarza w odrętwieniu „Z gospody... Aha, z gospody... Tymczasem jego żona zwraca się do Romy z taktem i delikatnością:

— Pani kumpela była łaskawa... Prosi... Po prostu chodzi o haleczkę.

— A, Józka — domyśla się Roma.

— I ta pani Józka prosi o zwrot halki — tłumaczy ze skrępowaniem gospodyni — ponieważ nosi się z zamiarem udania się do narzeczonego na przysięgę.

Roma idzie do kuchni porozumieć się z Józką. Małżonkowie zostają sami. Naradzają się szeptem. Z kuchni słychać podniesione głosy. Żona perswaduje:

— Tym bardziej nie teraz. Więc tym bardziej w tej sytuacji nie można...

— Oczywiście — wyszeptał mąż — Sam wiem, że nie wolno tak postąpić. Kawę powinna dopić.

— I kanapka ledwie nadgryziona.

— Więc teraz tym bardziej musi dopić i dogryźć.

— Właśnie, jeszcze placek śliwkowy przyniosę. Jakby nigdy nic.

— Nie, z tym plackiem, to zbyt ostentacyjne...

— Dlaczego?! — buntuje się żona — Czułam, że nie jesteś szczery. Pozwoliłbyś jej dopić, a potem byś ją tak — tu wykonała ruch duszenia.

— Coś ty... A właśnie to ty byś ją...

— Ja, skąd...

— A ja nie wiem... — judzi mąż.

— Proszę cię, nie wywlekaj tego. Nawet tego dobrze nie widziałeś.

— Zawsze taka byłaś, zawsze..

— Proszę cię, nie mów!

— Ty byś ją mogła... — oglądając się na kuchnię, mówi coś żonie do ucha. Ta łapie się za głowę i odchodzi z twarzą w dłoniach. Nagle podbiega do męża i syczy, pomagając sobie ordynarnym gestem.

— Ty byś ją...

Mąż kamienieje pod tą obelgą.

Wraca z kuchni Roma. Małżonkowie drgnęli i wracają do normanych pozycji.

— Oczywiście... — zaczyna mąż — w tej sytuacji w znacznej mierze kłopotliwej a podyktowanej przez zwykłe nieporozumienie... Człowiek chciał jak najlepiej. W tej sytuacji naturalnie niech pani kawę dokończy Niech pani siedzi i pije. Niech pani siedzi, jak siedziała i pije jak piła. O, nawet nie pomieszana. Może pani pomieszać. Jakby nigdy nic. Czemu nie. Zdecydowanie nie stawiam przeszkód.

Żona podaje mu krople z cukrem. Coś szepcze mu do ucha. Chce odejść, ale mąż powstrzymuje ją i mówi:

— Ustaliliśmy z żoną, że pójdziemy pani na rękę Oczywiście, ta rozmowa musi pozostać między nami, bo jeżeli nie, to będę przychodził do was codziennie i codziennie wpisywał uwagi. Tematów nie zabraknie. Niech pani to da.

Roma podała książkę zażaleń. Mężczyzna zaczyna pisać.

— Dlaczego od razu nie powiedziała pani o co chodzi. — dziwi się żona.

— Chyba nie bała się pani mego męża. Bać się go, to byłoby śmieszne. On bardzo przeżywa, jeżeli ktoś się go wystrzega. Kawę naturalnie może pani dopić. Mąż poważnie powiedział, że można. Teraz się podpisz — zwraca się do męża, który zastygł z podniesionym piórem. — Tu możesz się śmiało podpisać Imieniem i nazwiskiem Odważnie Widzisz pani jest wdzięczna. Z podpisem, prawda? — pyta Romę.

— Należy się z podpisem

— Podpisz się, podpisz. Tu nie ma co dumać. Imię, nazwisko, adres. A żona może? — pyta kelnerkę.

— Żonie nie przysługuje.

— Widzisz, ja nie mogę. To jak będzie... O, podpisał się, podpisał! A nie mówiłam? I datę postawił! Wiedziałam, że się zdecydujesz, wiedziałam!

Ciężarówka jedzie w kłębach dymu. Taki tu zwyczaj, że resztki nieużytecznego budulca po wyburzanych domkach pali się. Są dni, kiedy płoną ogniska wzdłuż całej ulicy.

O następnym autorze skargi kierowca ma wieści niedobre Z tego co relacjonuje Romie wynika, że skarżący się jest asystentem dyrektora zwolennikiem silnej dyscypliny, skorym do zwalniania. Typowy przyjezdny Mówi szybko, chodzi szybko, je szybko Umie się bić, dziewczynom od razu mówi, o co chodzi. Ma co chce.

Mimo tych niepomyślnych informacji, kierowca jest dobrej myśli. W każdym człowieku, do którego wozi Romę, stara się odnaleźć dobre strony. Fakt, że dotąd uzyskiwała wycofanie skarg, napawa go ufnością. Twierdzi, że wpisywanie się do książki zażaleń nie ma sensu i jeżeli ktoś to już zrobił, należy przypisać to pijaństwu. Kiedy się wytrzeźwieje, chciałoby się wszystko wycofać, ale już jest za późno. Wtedy przychodzi Roma i umożliwia temu człowiekowi spełnienie tego, o czym marzył Ludzie bardzo niechętnie obciążają swoje sumienie i skwapliwie korzystają z okazji, żeby je oczyścić. Dlatego Romie tak łatwo idzie. Gdyby było odwrotnie — podsumował pan Mirek — byłoby to płytkie.

Niewielka poczekalnia biurowa. Na drzwiach do gabinetu tabliczka: „Asystent dyrektora do spraw..." Reszta tabliczki odtłuczona.

Oprócz Romy siedzi tu jeszcze jeden petent, człowiek w podeszłym wieku. Zwierza się z myśli zorganizowania w miasteczku muzeum. Dawniej był przewodniczącym rady narodowej. Teraz na emeryturze zbiera eksponaty, fotografuje stare uliczki. Skarży się, że wyśmiewają jego manię. Szczególnie śmieszy ludzi idea stworzenia muzeum. Może nie tyle sama idea, co eksponaty, które stary burmistrz gromadzi. Są to przedmioty zwyczajne Klamki ruszty od pieca, krzesła, żelazka. Uznano, że pomysł kolekcjonowania rzeczy niestarych, banalnych przeczy idei muzeum, w którym zazwyczaj umieszcza się przedmioty niezwykłe. Staruszek ma jednak swoje racje. Chce stworzyć muzeum tuteiszej biedy, pospolitości. Twierdzi, że za kilka lat, kiedy wszystko tu się zmieni, ekspozycja będzie ukazywać rozmiar i proporcję tych zmian. Ludzie szybko przywykają do nowości. Stary dowodzi, że jeśli obywatele porównają to, co zgromadzone w muzeum z tym, co za oknem zrozumieją rozmiary postępu, który się tu dokonał. Ale ludzie są niebywale konserwatywni. Nie potrafią zaakceptować idei twórczego odwrócenia funkcji muzeum. Dotąd umieszczało się w gablotach przedmioty atrakcyjniejsze od otaczającej je rzeczywistości. Były mer pragnie czegoś przeciwnego. Żeby eksponat tworzył chwałę rzeczywistości, jej adorację. Stary pragnie przekonać dyrekcję kopalni do swojej idei. Zamierza uzyskać od niej pomoc w staraniach o lokal dla muzeum. Opowiadając o tym, upewnia się co chwila, czy nie wydaje się śmieszny.

O asystencie dyrektora jest najlepszego zdania. Twierdzi, że każdy człowiek, który zwróci się ze swoją sprawą do pana asystenta, może się spodziewać wyjątkowej korzyści dla biegu sprawy Pozbawiłby się tej pomyślności, zwracając się do kogoś innego. Mniemania o nieprzystępności pana asystenta a ściślej nieuchwytności są zazwyczaj przesadzone i świadczą raczej o niedbalstwie osób pragnących załatwić swoją sprawę.

Staruszek uśmiecha się uspokajająco, i mówi szeptem:

— Rozumiem, że informacje, które przypadkowo zasłyszałem a teraz powtórzyłem, mogą mieć dla pani znaczenie niewielkie a nawet mogą przeszkadzać w załatwieniu jej sprawy, gdyż mogą wzbudzać przedwczesne nadzieje.

Petent mówi coraz ciszej. Przez drzwi słychać jak asystent na kogoś krzyczy: „To jest budowa a nie cyrk!". Otwierają się drzwi i wychodzi zbesztany dyspozytor.

Asystent mówi: „Proszę", ale stary petent nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Prosi usilnie Romę, żeby teraz weszła zamiast niego. On teraz nie odważy się Woli poczekać na moment bardziej sprzyjający.

Biuro okazało się ciasne. Prócz biurka i półek z aktami mieszczą się tutaj tylko dwa krzesła. Asystent jest człowiekiem młodym, modnie ubranym, trochę zmęczonym. Roma podchodzi do biurka i kładzie książkę zażaleń.

— Niech pan popatrzy, co pan powypisywał.

— Ja?

— Było się czym fascynować — mówi Roma z politowaniem.

Asystent otwiera książkę i czyta:

„Jeśli chcesz tutaj siusiu zaliczyć,
To musisz w szatni klucze pożyczyć

— To moje? — pyta rozczarowany.

— Skąd. To wasi behapowcy.

Nagle biuro się zatrzęsło i przechyliło się. Z półki wypadły jakieś akta i plasnęły na podłogę. Asystent biegnie po pochyłej podłodze do okna i wrzeszczy na jakiegoś człowieka, któremu nakazuje „robić to ostrożniej" a także radzi mu żeby przestał pyskować, jeśli nie chce dmuchać w balonik. Asystent zatrzaskuje okno, które oddziela kurz na zewnątrz od tego, który wzbił się z akt i wraca do biurka.

— Proszę pani, ja mam niewiele czasu.

— Niech pan lepiej przeczyta swoje zażalenie. Jest bardzo ciekawe.

Znalazła to miejsce w książce i podsunęła ją asystentowi.

„To są frazesy to, co w karcie. Kelnerki nie skreślają potraw, których zabrakło, co sprawia, że karta to jest czysta fasadowość. Krytyka konsumentów nie znajduje zrozumienia u władz gastronomicznych. W zestawieniu dań nie dostrzega się żadnej inicjatywy. Temperatura potraw jest letnia. Funkcjonowanie restauracji „Śródmiejska" można określić jako stan permamentnego niedoinspirowania. My już nie wytrzymujemy tego na co dzień. Czy nie ma kogoś, kto by z tym skończył?"

— Dużo wtedy wypiłem? — pyta cicho inżynier.

— Średnio, ale pan rzygał.

— Ja? W restauracji?

— Nie, do klombu.

— To od was z parteru widać ten klomb?

— Wyraźnie widać.

— Niedobrze, niedobrze.

Asystent patrzy we własny tekst, przekrzywia książkę, czyta ją bokiem.

— A co znaczy ta uwaga ołówkiem: „Zaplątał się we własne sidła"? — pyta asystent zaniepokojony.

— To kierowniczka.

— To ktoś to czytał?

— Oczywiście. Tylko wtedy, gdy uwaga jest zanulowana, to nikt jej nie czyta.

— Ale ten ktoś mógł wszystko źle zrozumieć. Ja piszę tak niewyraźnie. Na przykład moje „b" jest podobne do „d" Niektórzy zupełnie nie potrafią mnie odczytać...

— Tu jest napisane wyraźnie.

— Czy to było przez kalkę?

— Teraz nie używa się, bo konsumenci kradli.

W tym momencie biuro zaczyna jechać. Jeśli zważyć, że teren budowy jest rozległy, rozrzucony na przestrzeni kilkunastu kilometrów, pomysł ruchomego punktu dozoru zyskuje wiele na doraźności. W czasie, gdy przerobiona na biuro pakamera przemieszcza się, asystent może czytać pisma, przygotowywać odpowiedzi, pisać raporty. W przyzwoitej odległości za biurobusem jedzie ciężarówka prowadzona przez kierowcę Romy.

— Ale co jest w tej uwadze dla pani niepochlebnego? — pyta inżynier. — Tu nie ma ani słowa na pani temat.

— Tam jest napisane ogólnie. Jak jest napisane ogólnie, to kelnerka wylatuje — mówi Roma poważnie.

Asystent kiwa głową ze zrozumieniem.

— Napisałem ogólnie ale nie w tym sensie, który dopuszczałby jakąkolwiek niejednoznaczność. Moja postawa była wielokrotnie oceniana i sądzę, że moja skarga nie wywołałaby żadnych nieporozumień. Niech pani popatrzy, jak oni pracują. Ja nimi kieruję i jest w tym również jakaś moja zasługa. Na przykład tam — pokazuje ogromny zryty maszynami pejzaż. — Ci dwaj, którzy teraz akurat przypadkowo siedzą, to bardzo dobrzy pracownicy. Ten w beretce na przykład znalazł niewypał. Nie wrzucił go do ognia ani nie zaniósł na stołówkę kolegom pokazać, tylko zadzwonił, przyjechali saperzy i rozbroili. To są pracownicy świadomi, zdyscyplinowani. Mamy takich coraz więcej. Albo ten drugi, który przypadkowo wstał. To mierniczy. Z dziada, pradziada. Rolnicy mają zaufanie tylko do niego. Udało się go nam pozyskać i jak pani widzi, teraz mierzy dla nas.

Asystent czuje instynktownie, że w pozytywnych wartościach za oknem istnieją argumenty na jego obronę. Nie mając pewności, czy są one wystarczające, proponuje, żeby wydrzeć kartkę. Roma podkreśla ponownie, że wpis anulowany nie jest czytany, ale kartek usuwać nie wolno, bo są numerowane. Natomiast dopuszcza się prawo konsumenta do wycofania własnej skargi.

(c.d.n)

RWPG

W popularnym i dość już bogatym cyklu Krajowej Agencji Wydawniczej „Wszystko o..." ukazała się książka Zygmunta Szeligi pt. „KWPG", prezentująca wszystko o Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Autor w przystępny sposób, w oparciu o aktualne materiały prezentuje nie tylko rezultaty działania RWPG, ale jej genezę, strukturę i wiele międzynarodowych agend RWPG

Z dość bogatego materiału statystycznego czytelnik może się dowiedzieć o roli i miejscu Polski w RWPG, a także o roli i miejscu RWPG w gospodarce światowej. Na przykład, jeśli chodzi o terytorium, to Polska znajduje się na trzecim miejscu po Mongolii i ZSRR, ale jeśli chodzi o gęstość zaludnienia, o ilość mieszkańców przypadających na jeden kilometr kwadratowy, to plasujemy się dopiero na czwartym miejscu, po NRD, która ma 156 osób na km kwadratowy, po CSRS ze 115 osobami, Węgrzech ze 113 osobami. W Polsce jest 107 osób na km kwadratowy.

Takich porównań można w książce Zygmunta Szeligi znaleźć więcej, ale nie to stanowi o jej wartości. Jest to bowiem zwarty, przystępnie napisany „przewodnik" po tak skomplikowanym problemie, jakim jest integracja gospodarcza. Książka Z. Szeligi pokazuje nie tylko osiągnięcia RWPG, ale również trudności i przeszkody, które z różnych powodów wyrastają na drodze do integracji i które trzeba nieustannie pokonywać. Pokazuje również — i to jest bardzo ważne — w sposób jasny osiągnięcia, korzyści i skutki integracji gospodarczej dla każdego z partnerów. Bogato ilustrowana, choć zdjęciom daleko do dobrej jakości, ale to już wina nie najlepszego papieru i nie najlepszej pomocy dla — tych wszystkich, którzy interesują się problemem integracji socjalistycznej i którzy chcieliby poznać drogę, jaką przeszła RWPG.

Zygmunt Szeliga — „Wszystko o RWPG", KAW, Warszawa — 1976, str. 150, cena zł 14,—

WSPOMNIENIA — PAMIĘTNIKI

Nakładem Książki i Wiedzy ukazały się wspomnienia i pamiętniki działaczy ruchu robotniczego. „Za wszelką cenę" — to wspomnienia Teodora Dudy, „Z pokolenia w pokolenie" — Tadeusza Paszty, a „Zrodzona z walki" — to wspomnienia 11 autorów, peperowców, którzy między innymi nadesłali swoje zapiski na konkurs organizowany w 1971 roku przez czasopismo „Z pola walki".

Jedenaście wspomnień zawartych w tomie **„Zrodzona z walki"** wyszło spod pióra aktywistów partyjnych średniego szczebla, funkcjonariuszy MO i urzędów bezpieczeństwa, organizatorów życia partyjnego, ludzi walczących o władzę ludową pod koniec okupacji i w pierwszych latach po wyzwoleniu. Są to wspomnienia tchnące autentyzmem, pełne ekspresji, pisane wprawdzie z perspektywy czasu, ale to nie spowodowało utraty świeżości widzenia, pełności w rysowaniu obrazu tamtych czasów. Wspomnienia te pochodzą z różnych środowisk i różnych regionów kraju, dając tym pełniejszy obraz historii PPR tamtych trudnych lat.

Teodor Duda urodził się 25 listopada 1914 roku we wsi Cześniki w powiecie Tomaszów Lubelski. Był dwunastym, najmłodszym dzieckiem swoich rodziców i los mu nie poskąpił bujnego i ciekawego życia. Był na ewakuacji w Rosji w czasie pierwszej wojny światowej, od 1930 roku działał w KZMP, później w KPP. Walczył w Hiszpanii, siedział w więzieniach sanacyjnej Polski, próbował walczyć z hitlerowcami, ale skończyło się to schwytaniem zaraz w pierwszych dniach wojny i osadzeniem w obozie jako komunisty. Udało mu się z tego obozu zbiec i dostać do ZSRR. Był w Pierwszej Armii WP, był partyzantem zrzuconym na tyły wroga, był przedstawicielem PKWN w Tomaszowie Lubelskim, walczył z reakcyjnymi bandami na Lubelszczyźnie, w Rzeszowskiem i Krakowskiem. Został pułkownikiem WP i jednocześnie ukończył zaocznie studia wyższe na Uniwersytecie Warszawskim. Ma więc co wspominać, o czym pisać, dawać świadectwo minionym czasom. Nic też dziwnego, że jego wspomnienia czyta się z dużym zaintersowaniem.

Tadeusz Paszta urodził się w 1905 roku. Z ruchem robotniczym zetknął się już w czasie młodości, gdyż jego ojciec — Józef Paszta był działaczem PPS — Lewicy i KPP. Sam zaczął swoją rewolucyjną działalność już w wieku 16 lat. Najpierw w organizacjach młodzieżowych, później w KPP. W latach dwudziestych i na początku trzydziestych studiował w Moskwie. Był działaczem partyjnym KPP w Łodzi, Kutnie, Włocławku, na Śląsku, w Warszawie, Łomży i Ciechanowie, kierowany tam przez władze centralne KPP. W czasie wojny walczył w szeregach Armii Czerwonej, później Wojska Polskiego, a po wojnie pracował w Milicji Obywatelskiej.

Tadeusz Paszta wspomnienia swoje napisał z myślą o innych, o tych wszystkich, których spotkał na swojej drodze, którzy swoim życiem i pracą zasłużyli się socjalizmowi, ale których życie ginie w zapomnieniu. **„Byłem i jestem przede wszystkim — pisze sam o sobie — agitatorem i propagandzistą partyjnym...".** A jako propagandzista dobrze rozumie, jak wielką wartość wychowawczą mają przykłady z życia ludzi, którzy potrafili przezwyciężać trudy i przeciwności, aby z całym poświęceniem realizować postawione sobie i innym cele. I takim właśnie ludziom poświęcone są wspomnienia Tadeusza Paszty.

„Zrodzona z walki" — Wspomnienia peperowców, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 494, cena zł 45,—
Teodor Duda — „Za wszelką cenę", Książka i Wiedza. Warszawa 1976, str. 280, cena zł 30,—
Tadeusz Paszta — „Z pokolenia w pokolenie", Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 408, cena zł 40,—

OCEAN INDYJSKI

Książka Kazimierza Urbanowicza pt. „Ocean Indyjski" nie należy do literatury naukowej, co zresztą wyjaśnia podtytuł: „Problemy polityczno-strategiczne". Jest więc to książka o politycznym znaczeniu Oceanu Indyjskiego, a także o jego znaczeniu strategicznym. Ale znów, aby nie było nieporozumień, nie są to rozważania wojskowego, który na mapie Oceanu Indyjskiego snuje strategiczne plany. Jest to książka, która w skrócie historycznym i politycznym ukazuje problemy tego rejonu świata.

Przez 150 lat Ocean Indyjski był „wewnętrznym morzem Wielkiej Brytanii". Obecnie w tym rejonie obserwuje się coraz wyraźniejszą obecność militarną USA. Dlaczego tak się stało?

„W przeciwieństwie do innych oceanów, gdzie wielokrotnie rozgrywały się działania wojenne na dużą skalę, Ocean Indyjski —pisze K. Urbanowicz — z wyjątkiem drugiej wojny światowej i to głównie w swojej wschodniej części, nie był widownią tego rodzaju wydarzeń. Paradoks polega na tym, że w momencie, gdy rozwija się dialog między dwoma wiodącymi mocarstwami i ugruntowuje się przekonanie o bezwzględnej konieczności pogłębienia procesów odprężenia w skali globalnej, na Oceanie Indyjskim obserwuje się wzrost obecności militarnej państw Zachodu w tym głównie USA oraz nasilenie tempa rozbudowy potencjału militarnego niektórych krajów tego regionu".

K. Urbanowicz przedstawia też sytuację militarną ChRL na Oceanie Indyjskim oraz wyniki państw niezaangażowanych w przekształcenie tego rejonu w rejon pokojowy.

L.W.

Kazimierz Urbanowicz — „Ocean Indyjski". Problemy polityczno-strategiczne". MON, Warszawa 1976, str. 286, cena zł 20,—

WARTO PRZECZYTAĆ

IRENA HOMOLA — „Kraków za prezydentury Mikołaja Zyblikiewicza (1874—1881). Wyd. Literackie, cena zł 45
GERHANRD LINDNER — „Podstawy audiologii pedagogicznej". PIW cena zł 56
„Myśl o sztuce". Materiały Sesji zorganizowanej z okazji czterdziestolecia istnienia Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Warszawa listopad 1974. PWN, cena zł 70
„Polsko-radzieckie stosunki gospodarcze". Dokumenty i materiały 1921—39, KIW, cena zł 200
JERZY TARGALSKI — „Ludwik Waryński", KIW, cena zł 45

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

PIOSENKI JULIANA TUWIMA

Twórczość Juliana Tuwima, autora niezapomnianych „Kwiatów polskich", odchodzi jakby powoli w zapomnienie. Oczywiście są wiersze Tuwima w szkolnych lekturach, znajdują się w dziesiątkach antologii, ale spora część jego spuścizny poetyckiej wietrzeje w zastraszającym tempie.

Tuwim pisał bardzo wiele, bibliografia jego prac sięga setek pozycji — wierszy, przekładów, felietonów, opracowań, utworów dla dzieci, wreszcie piosenek.

Niedawno łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia przypomniała niektóre piosenki Tuwima. Czy zresztą odpowiednie jest tu słowo „przypomniała"? Poeta pisywał teksty piosenek pod pseudonimami (miał ich bardzo wiele), jakby się nieco wstydził owej niepoważnej twórczości. Uszanowano tę wolę Poety i już po wojnie i po śmierci Tuwima wydawane na płytach jego piosenki opatruje się nadal kryptonimami: **Oldlen, Peer, Brzost, J. Wim...**

Więc jakże często słuchacze po prostu nie wiedzą, że modne znów przeboje retro pisał jeden z wybitniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego. Na przykład: **„Co nam zostało z tych lat"** — tango sentymentalne do muzyki Władysława Dana, notabene twórcy słynnego Chóru Dana, gdzie debiutował Mieczysław Fogg.

Jak niedawno doniosły „Kulisy", w Stanach Zjednoczonych istnieje wytwórnia płyt **„Dana Record"**; jej właścicielem jest właśnie Władysław Dan. Żeby te dygresje już skończyć, dodam tylko, że ów kompozytor też posługiwał się pseudonimem. Naprawdę nazywa się Daniłowski i jest synem wybitnego pisarza pierwszych lat dwudziestego wieku — Gustawa Daniłowskiego.

Julian Tuwim był autorem słów wielu piosenek, które w latach międzywojennych zyskały miano szlagierów. Pisał dla **Hanki Ordonówny, Miry Zimińskiej, Zuli Pogorzelskiej.** Jego autorstwa jest głośny przebój **„Miłość ci wszystko wybaczy"**, dalej **„Pokoik na Hożej"**, **„Tata da raka"**, **„Słomiany wdowiec"...**

A potem przyszła wojna — Tuwim wyemigrował za ocean, gdzie powstały zrodzone z nostalgii „Kwiaty polskie". Po powrocie do Polski pisał już niewiele, jakieś parę wierszy i żadnej piosenki. Zmarł w grudniu 1953 roku.

I właśnie po jego śmierci przypomniała sobie o poecie Muza Piosenki. Kiedy poezja Tuwima zaczęła powoli odchodzić w zapomnienie. Młode, powojenne już pokolenie kompozytorów sięgnęło do wierszy Tuwima. Szperając po starych tomikach znaleźli **„Zadymkę" i „Zawieję"** kompozytorzy: **Andrzej Zieliński i Jan Kanty Pawluśkiewicz.** Dziś śpiewają te wiersze: **Marek Grechuta** ze swoim zespołem i śpiewają **„Skaldowie"**.

Ale największy, pośmiertny sukces piosenkarski Tuwima przyszedł za sprawą **Zygmunta Koniecznego** i **Ewy Demarczyk. „Grande Valse brillant"**, to przecież fragment **„Kwiatów polskich"**, a słynny **„Tomaszów"** to wiersz **„Przy okrągłym stole"** z tomu **„Siódma jesień"**.

Natychmiast zresztą znaleźli się „obrońcy" protestujący przeciwko tej rzekomej... profanacji dorobku twórczego Juliana Tuwima. Najbardziej zagorzale atakował wówczas Zygmunta Koniecznego i Ewę Demarczyk pewien... autor tekstów piosenek. Nie rozumiał widać, a może nie chciał zrozumieć, że nowa muzyka tchnęła w zakurzone już nieco wiersze poety zupełnie nowe życie. I że te wiersze żyją właśnie dzięki temu, że stały się piosenką.

Sam Tuwim pisał przed laty: **„Jedną z najciekawszych i najznamienitszych cech piosenki prawdziwie popularnej jest jej anonimowość".** Może więc dlatego nie podpisywał swoich piosenek, bo nie chciał, żeby je łączono z nazwiskiem poważnego poety? Może właśnie pragnął, aby to były piosenki anonimowe.

„Co nam zostało z tych lat
miłości pierwszej
zeschnięte liście i kwiat
w tomiku wierszy..."

I pozostały piosenki, wcale nie „zeschnięte", lecz wciąż żywe i wciąż ożywiane na nowo.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SAMOCHÓD JEDZIE, JEDZIE...

Parę dni temu w łódzkim antykwariacie znalazłem się obok dwóch młodych ludzi, zadyszanych z pośpiechu a jeszcze bardziej z ważności swej misji, poszukujących jakiejkolwiek gazety z 1938 roku. Potrzebna była do filmu, dziejącego się w tamtym czasie — miała leżeć gdzieś zwinięta w rulon.

Bardzo to chwalebna i konieczna wierność szczegółu. Co do tego jesteśmy zupełnie spokojni: nasi filmowcy, a także nasi inscenizatorzy teatralni nie dopuszczą się najmniejszej gaffy, najmniejszej anachroniczności historycznych rekwizytów, strojów i wystrojów, gestów, tańców, klamek, papierośnic i sklepów przy ulicy Moniuszki. Niestety, ten pietyzm dla realiów wydaje się nie obowiązywać w filmach współczesnych.

W naszych nielicznych zresztą filmach dziejących się dzisiaj bohaterowie jeżdżą długimi samochodami o piszczących oponach, nigdy natomiast nie zobaczymy zmęczonych ludzi szturmujących na próżno obwieszony „winogronami" tramwaj. Ścisk i pośpiech trafi się najwyżej jako komiczna groteska, gdzie śmieszny grubas będzie deptał małego człowieczka, a frywolni młodzieńcy dogadywać będą zażywnym przekupkom. Ale to nie jest wierność szczegółu, charakterystycznego przecież dla naszych czasów. Tramwaj w godzinie szczytu, to coś zupełnie innego niż śmieszny skecz z tak zwanej komedii współczesnej.

Marzę o filmie, w którym zobaczyłbym robotników jadących do pracy o czwartej rano źle oświetlonym pociągiem, śpiących w przedziwnych pozycjach albo różnących brudnymi kartami w tysiąca, i żeby wagon wyglądał tak, jak one naprawdę wyglądają; żeby jednym z jadących był bohater filmu, który się zakochuje, zazdrości, jest szczęśliwy i cierpi. O filmie, w którym dziewczyna nie idzie do łóżka z chłopakiem w godzinę po tym, jak się poznali, bo to też nie jest „wierność szczegółu". — tym razem obyczajowego. Jeżeli będzie w takim filmie sklep, to niech najdłuższa kolejka stoi w nim przed stoiskiem z wódą i to kolejka pełna typów, jakie spotykamy aż nazbyt często dokoła siebie. Jeżeli będzie scena przy stole, to nie kieliszki, tylko musztardówki. Wierność szczegółu.

W filmowej Łodzi reymontowskiej paliły się na ulicach gazowe latarnie, odtworzone wiernie według tamtoczesnych fotografii. Dziś w prawdziwej Łodzi na niektórych ulicach nie pali się nic oprócz wielkiego neonu na budynku biurowym, neonu zupełnie surrealistycznego, na przykład uformowanego w litery Pebede. Albo Elkazet. W dodatku co druga litera się nie pali. Taką ulicą idzie szybko samotna dziewczyna wracająca — powiedzmy — z ubawu, jako że nie ma zwyczaju, aby młodzieniec odprowadzał swą partnerkę do drzwi jej domu. Dziewczyna musi przejść obok trzech pijanych, ryczących jaskiniowców, zajętych właśnie kopaniem w blaszaną żaluzję sklepu. Nie, takiej sceny na ekranie nie było, takiej dziewczyny nie zagrała jeszcze żadna Maja, Pia i Kaja.

Kto wie, czy nie należałoby zaryzykować tezy, że film jako całość, jako jedna ze sztuk, nigdy nie odtwarza wiernie tej rzeczywistości, która go aktualnie otacza. Czego możemy się dowiedzieć o latach trzydziestych z filmów, nakręconych w latach trzydziestych? Wtedy ważna była wierność szczegółu w odniesieniu do dziewiętnastego wieku. Współczesny film nie jest filmem historycznym i nie stosuje do siebie kryteriów zgodności z rzeczywistością. Gdyby chciał się rozliczać ze światem — musiałby zacząć od studiowania całej prawdy o świecie. Ale rozliczać się można tylko z zaszłością, z tym co minęło. Kiedyś — być może — zwalczymy alkoholizm, opanujemy jego przerażające rozpasanie. Wtedy nasze wnuki zaczną kręcić filmy o alkoholikach bez żadnej stylizacji, z całym ohydnym naturalizmem — „rozliczą się" z naszym światem. Kto wie, czy nie będą jednocześnie omijać tematu narkotyków, które — odpukać! — staną się nową, wcale nie mniej groźną plagą społeczną?

Tymczasem zaś cały świat filmu kręci się dokoła samochodu. Ciekawym byłoby wyliczyć, jaką część metrażu, liczoną w procentach — stanowią w poszczególnych filmach sceny jazdy samochodem. Wieczne trzaskanie drzwiczkami — oczywiście pełne wyrazu, a więc energiczne, złe, przerażone, męskie i policyjne — wieczne zakręty z piskiem opon, rozwiane na wietrze włosy dziewczyn, zajeżdżanie z fasonem przed schody. Samochód w tle czołówki, samochód jedzie, jedzie jedzie. Nie ma mieszkań, biur, fabryk — są samochody, a czasami tu i ówdzie hotel. Zawsze wolny, piękny, zawsze z windą i z bagażowym, który niesie walizki aż do pokoju. A z okna widać, jak ktoś odjeżdża lub podjeżdża samochodem, czyli akcja wzbogaca się o nowy element.

Zupełnie jak w rzeczywistości, nie?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

WSZYSTKO DLA KLIENTA

Nie spotykam jakoś ostatnio hasła: „klient ma rację", może dlatego, że tak się do tego hasła przyzwyczaiłem i go nie dostrzegam, a może po prostu dlatego, że handel z niego zupełnie słusznie zrezygnował. Słusznie dlatego, że choć, „klient miał rację", to była to racja klienta, która niezbyt harmonizowała i harmonizuje z rajcą przedsiębiorstw usługowych i handlowych.

Na początku grudnia ukazała się w łódzkiej prasie codziennej informacja, sygnowana zresztą inicjałami dziennikarza, a więc nie ogłoszenie, z której wynikało, że już niedługo można będzie kupić choinkę, a także robione przez kwiaciarnie stroiki, czyli taki montaż z gałązek jodły czy świerku, bombek i świeczek oraz kolorowego drutu. Stroiki takie już od pierwszej dekady grudnia pojawiły się w kwiaciarniach, choć do świąt czasu sporo i takie stroiki postawione w blokowym mieszkaniu szybko uschną.

Dla tych natomiast, którzy chcieliby żyć na poziomie europejskim, czyli normalnym, i którzy chcieliby sobie zamówić taki stroik w kwiaciarni, aby odebrać go tuż przed świętami, wyznaczono dwa dni na tę operację (14 i 15 grudnia 1976 roku) oraz po jednej kwiaciarni w każdej z dzielnic miasta. Dla wygody klientów oczywiście. Dziennikarz jednakże ani chwali tej nowej inicjatywy handlu, ani jej gani. Podaje bez słowa komentarza suchą informację, nie wyjaśniając nawet dlaczego kwiaciarnie wpadły na tak znakomity pomysł. Brakuje im jodły i świerku, drutu, bombek, czy może ludzi do robienia stroików?

Rozmawiałem z jedną z kierowniczek kwiaciarni wytypowanych do przyjmowania zamówień, a było to następnego dnia po ukazaniu się wspomnianej informacji. Wiedziała tyle samo co i ja, czyli nic. Zgodziła się jednakże ze mną, że nie jest to ani adogodnienie dla nich, ani dla klienta. Zapewne jej zwierzchnicy myślą inaczej.

Przyzwyczailiśmy się już do zupełnie absurdalnych poczynań przedsiębiorstw usługowych i handlowych i powoli przestajemy na nie reagować, szukając sposobu, jak sobie poradzić, aby te nowinki pominąć i swoje załatwić. Zawsze taki sposób się znajdzie, ale byłbym temu przeciwny. Byłbym nadal za zdrowym rozsądkiem, który pozwalałby bzdurę nazywać po imieniu.

W Orłowie koło Gdyni na przykład zlikwidowano gospodarstwo ogrodnicze, aby w tym miejscu założyć tor dla gokartów. Tor zrobiono, ziemię zalano betonem, ale żadnych tam gokartów nie ma i gospodarstwa ogrodniczego też. Być może w Gdańskiem mają nadmiar gospodarstw ogrodniczych i mogą sobie pozwolić na taką rozrzutność. Jednakże w samym zestawieniu betonowej płaszczyzny, która nikomu nie służy, z gospodarstwem ogrodniczym, które służyło ludziom, jest dla mnie coś niepokojącego.

A nie jest to problem bagatelny, bowiem co sekundę ubywa krajowi kilka metrów kwadratowych ziemi biologicznie czynnej. Zalewa się ziemię betonem, asfaltem, smołą, stawia się na niej domy, pawilony. Czy zawsze na ziemi złej? Niedawno Andrzej Zalewski w „Polityce" w oparciu o materiały GUS dał odpowiedź na to pytanie. W naszym sposobie myślenia ukształtowało się lekceważenie ziemi, jako czegoś naturalnego, podstawy, na której się buduje. Nikt nie pyta, czy na tej ziemi bardziej opłaci się uprawiać warzywa, czy wylać na nią beton? A jest to pytanie podstawowe.

Wszystko co robimy, robimy dla ludzi, z myślą o nas samych. I to jest prawda, ale prawdą też jest, że wielkie znaczenie ma również sposób realizacji tej zasady, to, jak się to robi.

W „Życiu Gospodarczym" znalazłem historię, która w sposób skandaliczny obnaża pewien sposób myślenia. Oto młody człowiek wyjechał do Libii, gdzie pracował jako ekspert, a zarobione pieniądze przesyłał da konto PKO. Wyciąg z tego konta otrzymał jego ojciec, który miał takie samo imię jak syn. Ojciec otrzymał list od siostry z Australii, która obiecała mu przysłać 2 tys. dolarów, dysponując jednocześnie, jak ma je podzielić między rodzinę. Ojciec podjął pieniądze i wydał. Syn wrócił i przekonał się, że na jego koncie w PKO jest zero dolarów. Zaskarżył PKO do sądu, wychodząc z założenia, że skoro PKO posiadało wzór jego podpisu, to nie mogło wydać pieniędzy komuś innemu, kto też nosi takie samo imię i nazwisko, ale inaczej się podpisuje. I miał rację.

Co robi PKO? PKO zamiast ukarać winnych niedopatrzenia pracowników, pisze list do siostry ojca wnoszącego skargę, aby rozważyła swoje możliwości finansowe i spełniła niespełnione zobowiązanie i tym samym poratowała poszkodowanego. Kompletny brak odpowiedzialności, ale działanie niby to z myślą o kliencie. W gruncie rzeczy bezmyślne, ale bardzo leżące w nurcie coraz — niestety — powszechniejszego przekonania, że dolarowe dary krewnych z zagranicy skuteczne są na wszystko. Jest to przekonanie o tyle szkodliwe, że wyrabia nawyk czekania na spadek po bogatym wujku zamiast solidnie zakasać rękawy i wziąć się do roboty, zamiast wyrabiać nawyk, że twój przyszły los zależy od twojej pracy, wiedzy, zdolności. A to jest podstawowa prawda, o której dość często się zapomina.

MARCIN RODAK

magazyn

ZOFIA KWIECIŃSKA

JACEK SOPLICA BYŁ ROZWYDRZONY...

Jakże często poprawiając wypracowania dzieci nie możemy powstrzymać się od śmiechu, gdy naszym pociechom „udaje" się popełnić jakiś szczególnie rażący błąd. Jest to wtedy bez mała powód do dumy. Niefortunne zdanie „sprzedaje" się na różnych uroczystościach rodzinnych, chwali się nim w biurze...

Oczywiście tego entuzjazmu rodziców nie podzielają nauczyciele. I taki np. Wiesio S., który byłby w stanie sam przez długi czas zapełniać rubryki „Humoru zeszytów" fragmentami swych wypracowań — zbiera niestety wyłącznie dwóje. Dlaczego? Bo w zdaniach, które tak nas śmieszą efekt humorystyczny, wywołany jest wyłącznie błędami językowymi, a źródłem tych błędów są najczęściej poważne luki w wiedzy gramatycznej.

Aby to zilustrować **specjalnie dla Czytelników „Odgłosów" przejrzałam prawie 500 zeszytów uczniowskich do „Prac stylistycznych". Wynotowałam setki wadliwych zdań. Spośród materiału tak obfitego, że mógłby posłużyć za temat rozprawy językoznawczej, wybrałam — by tu pokrótce omówić — tylko tę część przykładów, w których błąd językowy wywołuje nie zamierzony efekt komiczny...**

GŁÓWNE PRZYCZYNY

Są dwie główne przyczyny powstawania błędów językowych.

Pierwszą z nich jest brak dokładnej znajomości znaczenia wyrazów, zwłaszcza tych, które wyszły już z użycia czy są używane rzadko, a także nowo powstałych i obcych.

Błędy powstają również na skutek nieumiejętności wyrażania myśli, kiedy ubóstwo słownika sprawia, że uczeń nie potrafi dobrać właściwego wyrazu, którego wymaga kontekst.

Spośród zgromadzonych błędów językowych liczną grupę stanowią przypadki mylenia różnych ale podobnie brzmiących wyrazów — głównie obcego pochodzenia, choć dotyczy to i rodzimych, gdy te nie są dostatecznie przyswojone, np:

„Mam psa rasy szpicel".

„Najpiękniejsze jarzyny rosną w lesie, w którym spędziłam ostatnie wakacje".

„Moja papuga jest domatorką pszenicy".

„Indianie nosili na szyjach pięknie rzeźbione omlety".

„Mikołaj Kopernik był największym polskim gastronomem".

„W dawnych czasach b. wielu ludzi miało w głowach inspekty".

„Mężczyźni w dawnych czasach chodzili w katuszach".

„Tadeusz filtrował trochę z Zosią trochę z Telimena".

ŚWITEŹ — JANKA

Zdarza się, że uczniowie nie znający znaczenia trudniejszych wyrazów złożonych, np. nazw własnych, rozkładają je na dwa wyrazy. Opierają się wtedy na wrażeniach słuchowych i identyfikują części jednego wyrazu z dwoma wyrazami samodzielnymi:

„Mickiewicz opisuje tajemnicze jezioro, w którym mieszkała Switeź — Janka".

„Bardzo mnie wzruszyła „Opowieść o prawdziwym człowieku" Pola Woja".

Występują też błędy wynikające z nieznajomości lub nieuwzględnienia jednego ze znaczeń wyrazu wieloznacznego:

„Postępowość króla leżała w jego reformach".

DOKONAŁ ŻYCIORYSU

Często piszący szukając najwłaściwszych środków do wyrażenia zamierzonej treści, nie znajduje odpowiedniego wyrazu czy związku frazeologicznego i zadowala się środkiem językowym tylko w przybliżeniu odpowiadającym treści myślowej:

„Anielka wychodziła z rodziny mieszczańskiej".

Mieszanie przyrostków czasami narusza kompletnie sens wypowiedzi:

„Spowiedź pośmiertna Jacka była wstrząsająca".

Rażące jest użycie wyrazu „życiorys" w zdaniu:

„Jacek Soplica na łożu śmierci dokonał swego życiorysu".

Bywa, że uczniowie posługują się wyrazami, o których tylko w przybliżeniu wiedzą w jakiej sytuacji mogą być użyte:

„Zawód który mnie najbardziej pociąga to architektura".

„Chciałbym zostać jakimś dyrektorem bo to jest ciekawy zawód".

„Anielka była bardzo ładna, sympatyczna uprzejma i miała wiele innych wad".

Wynotowałam przykłady świadczące o nieopanowaniu niektórych terminów literackich:

„Zemsta" jest komedią dlatego, ponieważ bohaterzy tej powieści są ubrani tak komicznie, że cały utwór ma jakiś sens".

„Zemsta" jest komedią ponieważ pisana jest dialogiem".

Pomyłki w wyborze wyrazów napotykamy przy nazywaniu utworów literackich:

„Jeśli chodzi o Prusa to znam jego pozycję „Anielka".

Utwór literacki może stanowić pozycję np. w bibliotece, ale nie w rozważaniu którego jest przedmiotem.

„Matka przeżyła rozczarowanie gdy dowiedziała się o śmierci syna".

„Ojciec żałował, że jego syn umarł i nie doczekał wiosny".

Przyczyna błędów jest w obydwu wypadkach małe doświadczenie życiowe ucznia w zakresie takich przeżyć, niedokładna znajomość znaczenia wyrazów: rozczarowanie rozpacz, żałować.

ANIELKA POSIADAŁA TWARZ...

Często nadużywany jest czasownik **„posiadać"**. Ma on nie tylko szeroki zakres znaczeniowy, ale również należy do wyrazów bardzo modnych, jest wprowadzany na miejsce zupełnie naturalnego i neutralnego „mieć".

„Anielka posiadała twarz w kolorze różowym a włosy miała jasne".

Zdarza się, że uczniowie utożsamiają rzeczowniki własne z pospolitymi i odwrotnie:

„Jackowi w poślubieniu Ewy przeszkodził Mezalians".

MIŁOŚĆ TA BYŁA Z OBU STRON

Jaskrawym przykładem nieporadności językowej wynikającej z ubóstwa słownika może być przykład:

„Jacek kochał Ewę a Ewa jego. Miłość ta była z obu stron".

Widać zabrakło uczniowi przymiotników: obopólna, obustronna, wzajemna.

Nieznajomość znaczenia wyrazu może też prowadzić do błędnego etymologizowania, np.:

„Przemysł kluczowy to taki który wyrabia klucze"...

a także do wykolejeń łączliwości frazeologicznej wyrazów i związków frazeologicznych stałych:

„1 Maja na ulice wychodzą radosne kondukty".

W cytowanym zdaniu „kondukt" został utożsamiony z „orszakiem". Wyraz kondukt ma węższy zakres znaczeniowy i przez to ograniczoną ilość połączeń. Orszak może być żałobny, weselny, radosny, ale kondukt tylko żałobny.

Jeszcze jeden podobny przykład:

„Kiedyś wścieklizna dziesiątkowała pogłowie psów".

Jeśli pogłowie to bydła, ale nigdy psów.

Wielokrotnie notowałam błędy powstałe na skutek kontaminacji czyli skrzyżowania dwóch utartych związków wyrazowych zbliżonych do siebie formą lub znaczeniem:

„Soplica umizgał się do ręki Horeszkówny".

„Obrońcy miasta walczyli do ostatniej kropli tchu".

„Tatuś ratując tonącą dziewczynkę narażał się na życie".

„Szlachta upijała się do rozpuku".

Powtórzenie jest środkiem stylistyczno-składniowym, służącym do uwydatniania, podkreślenia emocjonalnego, w wielu wypadkach jest celowe a nawet konieczne. Dzieci jednak rzadko stosują ten środek świadomie i z dobrym efektem. Powtórzenia w ich pracach są najczęściej nie uzasadnione i wynikają z braków słownikowych i gramatycznych. Świadczą o tym choćby takie fragmenty wypracowań:

„W innym, można powiedzieć mniej bogatym w piękne, kosztowne meble pokoju, godne było uwagi tylko piękne lustro, w którym piękna właścicielka tego pięknego dworku — panna Zosia, bardzo często widziała swą piękną postać".

„Po pewnym czasie mógł mu poświęcić jeszcze więcej czasu".

„W tym wypracowaniu opisuję Anielkę, która jest opisana w „Anielce".

Podobnych wykolejeń zanotowałam bardzo wiele. Trudno przypuszczać, że przedstawione tutaj przykłady powtórzeń wyrazów i konstrukcji były przez piszących zamierzone.

Uczniowie zdając sobie sprawę z tego, że używanie w bliskim sąsiedztwie identycznych przymiotników, czasowników, zaimków itp. jest niewskazane. Unikają niekiedy powtórzeń tam gdzie są one uzasadnione, a nawet konieczne:

„Klucz nie pasował do żadnych drzwi tylko do Cioci Marysi".

Zdarza się, że uczniowie pisząc na tematy poważne, wprowadzają wyrażenia z języka potocznego, nierzadko wulgaryzmy.

„Magnaci dali lupnia Moskalom".

„Cześnik ochrzanił Rejenta...".

„Jacek chciał się oświadczyć Ewie ale pokapowano się na czas i podano mu czarną polewkę".

„Jacek Soplica był rozwydrzony".

„Anielka bała się że dostanie lunty".

Dość często spotyka się wśród wypracowań uczniowskich wypowiedzi dopuszczające więcej niż jedna możliwość interpretacyjną:

„Jacek Soplica był to mężczyzna wysoki, energiczny skory do bójek o dużych wąsach".

„Drugi warunek Twardowskiego miał się skąpać w wodzie święconej".

„Ojciec porąbał drzewo razem z mamą".

W wymienionych zdaniach błędy spowodowane zostały brakiem znaków interpunkcyjnych i niepoprawnym szykiem wyrazów — co pociągnęło za sobą wieloznaczność sformułowań.

SUKCES ŁÓDZKIEJ ŚPIEWACZKI

Na międzynarodowym konkursie wokalnym w Barcelonie nagrodę specjalną Academia Chigiana zdobyła łodzianka, solistka Teatru Wielkiego, Łucja Wierzbińska — Jóźwiak.

„Odgłosy" przeprowadziły rozmowę z młodą utalentowaną artystką.

Foto: Archiwum

— Przede wszystkim serdecznie gratuluję Pani sukcesu na międzynarodowej arenie. Może kilka słów o samym konkursie i nagrodzie.

Łucja Wierzbińska: **W konkursie brało udział ponad 50 artystów — śpiewaków z całego świata w tym 32 kobiety. Może więc Pan sobie wyobrazić moją tremę przed rozpoczęciem I etapu konkursu. Na dobrą sprawę dopiero po przejściu dwóch etapów i po zakwalifikowaniu się do finałowej dwunastki uwierzyłam w swoje szanse. Serdeczne przyjęcie zgotowane mi przez hiszpańską publiczność w Gran Teatro del Liceo i w Polau de la Musica również sprawiło mi wiele satysfakcji zawodowej. Nagroda, którą zdobyłam przyniosła mi wiele zadowolenia, gdyż wiąże się ona z dwumiesięcznym pobytem we Włoszech na koszt Rządu Włoskiego połączonym ze specjalistycznym stypendium w Akademii Muzycznej w Sienie.**

— Jak długo się Pani uczyła śpiewu?

— Z muzyką zetknęłam się już w najmłodszych latach, uczyłam się w podstawowej szkole muzycznej i liceum muzycznym. Później ukończyłam dwa fakultety w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej: Wydział Wychowania Muzycznego oraz trzy lata temu Wydział Wokalny w klasie prof. Olgi Olginy.

— Jest więc Pani magistrem do kwadratu

— Można by to tak nazwać, z tym że nie chodzi tylko o kolekcjonowanie dyplomów. Śpiewu i muzyki uczę się nadal. W tym roku byłam na 3-miesięcznym stypendium wokalnym w Jugosławii, a aktualnie nadal pracuję pod kierunkiem mojego znakomitego kolegi Romka Werlińskiego — solisty Teatru Wielkiego w Łodzi.

— A'propos. Pracuje Pani w łódzkim Teatrze Wielkim, ale równocześnie i w Warszawskiej Operze Kameralnej?

— Teatr Wielki jest moją macierzystą instytucją natomiast z Warszawską Operą Kameralną współpracuję od kilku miesięcy przygotowując partię Serpiny w „La serva padrone".

— Czy oprócz Włoch czekają Panią w najbliższym czasie jakieś artystyczne wojaże zagraniczne?

— W lutym wyjeżdżam na kilka koncertów do NRD, natomiast w kwietniu przyszłego roku do Kopenhagi na cykl koncertów z okazji Dni Kultury Polskiej w Danii.

— Wiem również, że jest już Pani szczęśliwą mamą...

— Moja córeczka Agnieszka ma dwa i pół roku. Dzięki teściowej, która pomaga mi mogę pogodzić obowiązki zawodowe z domowymi.

— Czy Agnieszka przejawia już pewne inklinacje operowe?

— Wręcz przeciwnie. Niestety podobnie jak jej ojciec pasjonuje się muzyką lekką.

— Dziękuję za rozmowę i życzę Pani wielu dalszych sukcesów w kraju i na międzynarodowych scenach.

Rozmawiał:
BOGUSŁAW SIKORSKI

Foto: Archiwum

Grupa „HEAM"

Trio instrumentalne pod tą nazwą wywodzi się z Poznania, gdzie działa przy studenckim klubie „Nurt", będąc równocześnie zrzeszonym w Wielkopolskim Klubie Jazzowym. Zespół powstał w lipcu 1975 roku, a na jego nazwę — „Heam" — złożyły się pierwsze litery imion członków-założycieli. Po kilku zaledwie miesiącach wspólnej działalności grupa wzięła udział w ubiegłorocznych VI Wielkopolskich Rytmach Młodych w Jarocinie i zdobyła tam pierwszą nagrodę — „Złotego Kameleona".

Zespół „Heam" składa się obecnie z trzech młodych muzyków. Są to: Marek Biliński — organy, syntezator (ten student IV roku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu w klasie kontrabasu ma w swoim dorobku m. in. współpracę ze Światową Orkiestrą „Jeunesses Musicales", która nagrała płytę długogrającą w Paryżu dla firmy EMI, jest także kompozytorem utworów opracowanych przez grupę), Marek Olszak-Dobosz — perkusja, instrumenty perkusyjne, Henryk Tomczak — gitara basowa, instrumenty perkusyjne (poprzednio: członek „Stressu"). Czwartym członkiem zespołu jest doświadczony elektroakustyk — Andrzej Modrzejewski, współzałożyciel grupy.

Historia ansamblu nie jest długa, bowiem dopiero nie tak dawno dokonali jego członkowie pierwszych nagrań dla Polskiego Radia i zaprezentowali się na kilku poważniejszych imprezach (jak choćby wspólne koncerty z grupą SBB oraz występ na tegorocznym przeglądzie „Jarocin 76", już w koncercie galowym). W ostatnim okresie czasu „Heam" zyskał sobie sporo sympatyków, ale wielu melomanów nie jest przekonanych poczynaniami zespołu.

Pierwsza nota o zespole głosi: „W muzyce prezentowanej przez „Heam" słyszymy elementy rocka, jazzu, muzyki poważnej i elektronowej, jednakże nie można jednoznacznie określić tego, co trio gra, mianem hard, jazz-rocku czy muzyki elektronowej. Zamierzenia członków zespołu skłaniają się ku uniwersalizmowi muzycznemu".

Co należy rozumieć pod tym ostatnim sformułowaniem — nie określono, ale skoro padło aż tyle zastrzeżeń i ja nie podejmę się klasyfikowania tej muzyki. Słyszałem niedawno grupę „Heam" na koncercie i to, co z niego wyniosłem, zawiera się w stwierdzeniu, że utwory Marka Bilińskiego nie są trudne w odbiorze, ale ze względu na długość ich trwania i charakter stają się nużące w momencie, gdy wykonawcy starają się je komplikować i wzbogacać. Na pewno cała trójka jest jeszcze bardzo zapatrzona we wzory, którym hołduje, ale młodzi muzycy winni uważać, by nie przekroczyć płynnej granicy „podobieństwa". Cieszyć natomiast powinien fakt dobrego opanowania (drobne pomyłki wszystkim mogą się zdarzyć) warsztatu instrumentalnego; to właśnie, jak i czyste brzmienie uzyskiwane dzięki niezłej aparaturze i dobrej jakości instrumentom jest atutem zespołu.

Ponieważ „Heam" stawia na precyzję i z samozaparciem pracuje nad udoskonaleniem swych muzycznych produkcji liczyć można na to, że równolegle z artystycznym dojrzewaniem przyjdą nowe interesujące rozwiązania, co pozwoli zespołowi dołączyć do grona najlepszych.

K.D.

ŁÓDZKI HANDEL ZAPRASZA

NA KIERMASZ GWIAZDKOWY

otex

otex

HALA SPORTOWA DO – 21 GRUDNIA BR.

GODZINY SPRZEDAŻY:

19 XII br. godz. 11–17
w pozostałe dni w godzinach 11 – 19

4121/K

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2548. R-2.